BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXII.

POEZYE

UCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1863.

SPIS RZECZY.

Stron.

TRZY WIESZCZBY.

Nie pieczętuj słów proroctwa ksiąg tych,
gdyż czas blisko jest. —
Ob. ś. Jana w Roz. XXII.

Wszystkich światów klęski i gorycze
Zagniewane niebo na nas zwali,
Jeźli ludzkość nie postąpi dalej.
Córa-sławy Kollara.

Zdarza to się narodem równie jak pojedyńczym ludziom, że w chwilach wielkich swoich nieszczęść, pogwałconego bytu, prześladowań za prawdę i wiarę, pod uciskiem przewrotnej władzy, utrzymującej się niemoralnym systematem — zgoła, kiedy wiara, dążenia, potrzeby większości, są w ustawnej.walce z władzą — i kiedy śród ciągłych usiłowań do wyjścia z tego ciasnego koła, wyczerpią się sposoby, prace w skrytości poczęte na jaw wyjdą, najlepsi pójdą do więzień lub na rusztowania, zbawienie ogułu roztrzaska się o słabość środków ludzkich — że wtenczas przy zachwianej woli, ludzkie środki zdają się za słabe, najmężniejsi opuszczą ręce i wzniosą oczy ku niebu, pytając: co z tego będzie? jaki nas koniec czeka? — W takich to chwilach, lud, kochający się zawsze w cudowności, wygrzebuje stare proroctwa, tworzy nowe, umacnia niemi wiarę w przyszłą lepszość — i naraz, nie wiedzieć zkąd i jakim sposobem, wszystkich ogarnia

> Jakieś dziwne przeczucie, jak przed swiata końcem,
> Jakieś oczekiwanie tęskne i radośne.

U nas, nieszczęściami głośnych, ileż to nie krążyło tradycyonalnych przepowiedni! Jedne przechowały się w księgach i starych rękopismach, drugie w ustach gminu: jak pieśń, lub powiastka. Trzy takie przepowiednie z różnych czasów, przez różnych ludzi, dostały się do mnie; w nich widziałem zamknięte losy naszego narodu, we wszystkich przejściach, od wielkości do upadku, aż do odrodzenia się w nowej postaci. Kto wie? może pod wpływem owego d z i w n e g o p r z e c z u c i a, daleko — na ziemi tułactwa, zebrane te głosy prorocze w jedną pieśń, staną się zwiastunami nowej wiosny oczekiwanej w ucisku. —

PIERWSZA WIESZCZBA.

O ZGONIE ZYGMUNTA AUGUSTA.

Niniejsze opowiadanie starego dworzanina Zygmunta Augusta, wystawia ostatnie chwile zgonu tego monarchy. Górnicki w księdze swojej: Dzieje w Koronie Polskiej, taki podaje opis: «Przed śmiercią (królewską) dzień w niedzielę 6. Julii, gdym przyjechał do Knyszyna, przyszedłem przed króla do łożnice; spytał mię jeźlim z sobą przywiózł wizerunki: odpowiedziałem, żem ich nie wziął, rozumiejąc, iż Wasza K. M. tego czasu tem bawić się nie miałeś. Król zatem: Jedźże do Tykocina, a bądź jutro u mnie z niemi. Odszedłem zaraz z oczyma zapłakanemi, a widząc pana zbytnie schorzałego, i rozumiejąc że ledwie jutra doczekać miał, jechałem zaraz na zamek — bo przedtem mieszkanie było moje w mieście w dworcu — i tam przeniosłem się z wszystkiem.» Górnicki zatem nie wrócił do króla z wizerunkami. Osnuwszy na tem zdarzeniu ustęp mój, dołożyłem ten szczegół, iż inny stary dworzanin przywiózł je w nocy nazajutrz, to jest 7. Julii, właśnie kiedy król przyjął był Najświętszy sakrament i olej święty. *August czując zbliżający się zgon swój*, czegóż mógł

goręcej pragnąć, jak oglądać wizerunki nieboszczyka ojca swego i ukochanej Barbary. Acz tego historyk nam nie dołożył, jam pozwolił sobie rozwikłać zagadkę, mięszając w nią przepowiednię opata Jędrzejowskiego, obudzającą w umierającym królu całą troskliwość o los korony, którą zostawiał bez dziedzica.

HOROSKOP.

OPOWIADANIE STAREGO DWORZANINA.

Infandum jubes renovare dolorem.
Virg.

Właśnie godzinnik którąś, nie pomnę, uderzał;
Lecz już dobrze w noc było, gdym na zamek wbieżał.
Zdyszany, z lekka ugnę oponę komnaty,
A chociaż w cieniu szedłem, wydał szelest szaty
I ciąg, co pofalował damaszkiem kotary.
— Kto tam?
— Ja, miłościwy panie!
— Ty, mój stary!
Masz z sobą wizerunki? — rzekł słabo.
— Mam panie!
Ino co z Tykocina — — Wielkie radowanie,
Gdy z lampy jaspisowej padł odblask bladawy,
Dostrzegłem w licu króla na wieść mojej sprawy.
Dał znak: myśmy schorzałe podjęli mu ciało
Oparłszy o wezgłowie. Potem, gdy się zdało
Duszno w komnacie, ręką biskupa odprawił
Krakowskiego, toż Mniszchów — mnie tylko zostawił.

— Pokaż waść! — Jam skrzyneczkę misternej roboty,
Klęknąwszy, podał; kluczyk otworzył ją złoty:
I król wyjmował. — Co zaś malarz tam nakreślił
Nie wiem, iż patrząc w pana srodzem się zamyślił

I zdumiał, zkądby zmiana? bo ono oblicze
Tak zwiędłe, przybrało się w kolory dziewicze,
A oczy, by dwa szkiełka nie z siebie świecące,
Zagrały gwiazd żywością, i ręce mniej drżące
Zdały się, gdy po długu nad łożem je trzymał
Z wizerunkiem, co pańską pierś szeroce wzdymał
I łzę dobywał. Dziw to! istne babie lato
Ono wspomnienie, co nam bramuje bogato
Jeszcze żgło nasze; jakby do wiecznej pościeli
Kwiaty co najkraśniejsze rzucali anieli —
To też go odmłodziło lepiej bezoarów,
I praktyk onych nocnych i z Zuzanną czarów;
Bo zrywając się z łoża siłą nadzwyczajną,
Wołał: Komorny, szaty! słyszysz, szaty dajno!
Płaszczyk hiszpański z krezą, łańcuch z karbunkułem,
Jako na gody. Słyszysz! — muzykę poczułem;
Bekwarka lutnię — o nie! dźwięczniejszy nad lutnię
Głos-to mej Basi — słyszysz! jak woła okrutnie —
Trzymajcie — mdleje — Matko! czego chcesz królowo?! —
I niby odpychając, zrywał się na nowo
Z wezgłowia, chcąc za onem już lecieć widzeniem;
Lecz go w pół ciała wziąwszy, z pańskiem przeproszeniem,
Wtłoczyłem w łoże, kędy na poły omdlały,
Opuścił głowę, iście pod kosą kwiat biały.
Mnie strach zdjął — nie wiedziałem, wołać-li lekarzy
Lub księdza z wijatykiem, panów dygnitarzy?
Tylkom nie puszczał z ręku, słuchał czy puls bije —
Długo, długo — aż westchnął, pot oblał go — żyje! —
Chciał mówić, usty ruszał, by pragnął ochłody;
Podałem kordyał, wypił — znów zdał się jak wprzódy
Jedną myślą trapiony; raz wraz ku oponie
Wzrok rzucając, to znowu wyciągając dłonie
Zagabał: Czyśmy sami?

— Sami.

— Niech nie waży

Nikt wchodzić.

— Komornego stawiłem na straży.

— Dobrze! — wskazał na skrzynkę: — Porusz te sprężyny. —
Jam ruszył i otworzył. — Co tam?
— Pargaminy
Zwinięte jakieś.
— Wyjmij, i czytaj co stoi. —
Rozwijam, biorę czytać, a w oczach się dwoi;
Tak dziwne konterfekty i z wejrzeniem takiem
Żem mimowolnie krzyża przekreślił je znakiem,
I czedł [1] z ciężkością, pomnę mniej więcej te słowa:

«Cichy sługa sług pańskich, opat z Jędrzejowa
Berejus, prophetico spiritu natchniony,
Wiedzion chwałą Kościoła, i zdrowiem Korony,
Takowe vaticinium, z gwiazd i książek wiela
Zebrane, ostatniemu z Jagiełłów udziela:»

— Ostatniemu! — król krzyknął — a już lat trzydzieści
Jako ta przepowiednia w mym skarbcu się mieści.
Ostatniemu! więc onej pustułki proroctwo
Jak raz odgadło domu mojego sieroctwo! —
Tak marnie, wielki Boże! — tu oko posępne
Łzą kapnęło — po chwili, jam czytał następne:

«Stan rycerski viritim na elekcyi pole
Wyjdzie konno i zbrojno objawić swą wolę
W wyborze pana — głosy padną na Liliję;
Wzdy od słońca swobody miękki kwiat się skryje.
Naród radzi i z za gór sprowadza Ząb smoczy
Co butę panków, hardość moskiewskiego stoczy;
Od pohańca mur grodzi, i w swych prac połowie
Skruszy się — — Zżęty Snopek w zamorskim ostrowie
Z twego ziarna, na naszym posadzon Wawelu,
Daje pasożytnemu rozpostrzeć się zielu:
Zbędzie dwóch koron, rzuci ziarno przyszłych swarów;
Hetmani powiązanych przywiodą mu carów;

[1] Czytał. Zastarzała forma; tryb bezokoliczny ma: cześć,

A on, mały śród wielkich, do chóru nie szańca,
Narazi na cios mściwy głowę pomazańca,
I spuści z laty berło Władnącemu-sławą.
Cny sternik! wzdy bez steru ciężko będzie z nawą;
Rozhukanemi falmi szturmuje swawola;
Z Niżu krwawą chorągwią powieje niewola,
I krzywdy zrównoważy miecz kozaczej czerni —
Sługa miru bożego po koronę cierni
Sięga po nim, i jakby każąc mir na zawsze,
Bije się przez pożogi i mordy najkrwawsze;
Aż dwakroć exul kończy na dalekim brzegu —
Kość z kości naszych, Księżyc wzbija się do biegu,
Lecz rychle go zaciemią pohańskie księżyce!
Michał archanioł z niebios tarcz znosi, stolicę
Wskaże jej chrześciańską, zkąd zabrzmi wołanie:
Od jassyru, koranu, ratuj nas hetmanie!
By Constantinus w krzyża zwycięży on znaku,
I wjedzie po łbach Turków w on gród na rumaku.
Cóż, gdy w końcu Tarcz świetna przez sidła, fortele,
Chytrością baby w brzydkim ugrzęźnie popiele!
Dwa Miecze znów powstaną z rdzy błędu otarte,
W krwi swoich zbrodzą, szponmi dwugłowego wsparte,
Co odtąd by kruk wisząc nad cielskiem nieżywem,
Będzie mu darł jelita dzióbem swoim krzywym;
Bo choć Miecze dobyte, cisza jakby we śnie,
Surmy głuchną, li same brzmią godowe pieśnie.
Aże naród zabrzęczy wrzkomo pszczelna wrzawa,
Gdy mu caryca gacha wytrząśnie z rękawa,
Co pieszcząc włoskim gorgiem szorstkie jeszcze dusze,
Fiok rzuci na łby gołe, podetnie kontusze;
Dając prym, jak mierzonym kortezana chodem
Czołgać się po względ obcy, frymarczyć narodem;
Jak wreszcie, kość rzuciwszy o męczeńską szatę,
Pójść w zamtuz marmurowy po dzieł swych zapłatę — —
Amen — skończyłem — gwiazdy nic więcej nie piszą —»

— Cóż dalej? Król zapyta; a piersi mu dyszą
Od wzruszenia. Cóż dalej?! —

— Już wszystko, co było.
Odeprę.
— Wszystko? jakże marnie się skończyło!
Sprzedany naród, Piastów berło zbękarciało!
Chyba świata skończenie, aby w dni tak mało
Upadł tron, żelaznemi słupy Chrobrych wsparty,
Uniami Jagiełłów związan. — Chyba czarty! —
I złożył na krzyż ręce, by modlił, żałował,
Że bezpotomnie nogą do grobu zstępował,
A może z sokołami przegamracił losy
Korony. Strach pomyśleć! mnie aż wstały włosy,
Gdym widział jak zgryzota siadła mu nad brwiami,
I co cierpiał. Westchnąłem: zmiłuj się nad nami
Boże i nad nim! gdy w tem oko padło z trafu
Znów na pargamin. — Panie! małom paragrafu
Jednego nie prześlepił; dopisan jest z boku,
I dopełniać się zdaje tajemnic wyroku. —

— Więc to nie koniec? widzisz, nie koniec, mówiłem;
Czytaj —

«Przez mgłę trzy gwiazdy szpetne dopatrzyłem,
Co blasku pożyczywszy, Polsko! z twojej gwiazdy,
Dopełnią na niej w czasie trzy srogie najazdy,
I w ćwierci ją rozbiwszy, jak więźnia przykują —
W ukradzionych koronach, purpurach — panują —
Upiory! krew narodu ssą, kości mu kruszą,
Chcą duszę zdusić — w piersiach jak wiercą! — nie zduszą —
Chyba —»

— Przestań! na rany Zbawiciela cicho! —
Zwinął pięści i groził. Myślę, czy mi licho
Nadało czytać. A on: — kłamie prorok, kłamie!
Kłamią gwiazdy! — i silnie schwycił mię za ramię,
Że znak będzie do śmierci. Lecz zaraz osłabiał,
I bledszy upadł na wznak. — —

Jam panów pozwabiał
Do komnaty; toż wbiegli — szmer stał się: Król kona!
Sam ksiądz *biskup krakowski* dłoń przytknął do łona,

Jeszcze biło i wargi drgały, lecz bez dźwięku,
I błogosławieństwo niby, w podniesionem ręku
Zdało się spływać na nas. — Poklękliśmy wszyscy;
W tej ciszy coś bełkotał; ci co byli blizcy
Słyszeli: kłamie prorok! — nie pojęli treści,
Jam jeden pojął, milczał. — Gdy w-tem krok niewieści,
Lekko z bocznych drzwi sunąc, mignie się przedemną;
Poznałem: to jej postać — choć pod szatą ciemną
Ruch żywy, a na ustach uśmieszka tak wdzięczna,
By z pod białawej chmurki obrączka miesięczna.
Byłbym wstrzymał, zgorszony zjawiskiem nie w porę;
Lecz oto już u łoża oparła się — w chore
Ciało królewskie patrzy, czaruje i zda się
Mówić: pójdź w me objęcia, przypomnę ci Basię! —
Na to, jakby w odpowiedź wstrzęsła się kotara:
Oto masz, przy skonaniu jeszcze trapi mara!
— Precz Syreno! wnet przytnę; dość twojej praktyki,
Precz ztąd musisz! — chcę wywieść, aż tu głośne krzyki:
Król ducha oddał! wstrzęsną komnaty ścianami;
Aż tu ryk wielki z głosem kapłanów, z dzwonami,
Cały zamek ogarnia, wylega na błonie,
Głośniej, donośniej, rzekłbyś, po wszystkiej Koronie —

Żal mną rzucił o ziemię — po czasie, źrenice
Gdym podniósł i ku łożu toczył — blask gromnice
Z jednej strony twarz zżółkłą oświecał, a z drugiej
Przez okno otworzone wpadał promień długi
Słońca, co już wschodziło nad knyszyńskim borem,
I szkarłatnym pół-lica oblało kolorem —
Patrząc w to — iściem widział jak anielskie skrzydło
Odganiało od duszy doczesność obrzydłą,
A z bram raju głos spływał: święty, święty, święty! —
W żalu i pokajaniu, rzekłem skroś przejęty:
Owo tak ziemskie wieszczby wszystkie się kończycie!
Niebieskim przepowiedniom wieczne wschodzi życie. —

DRUGA WIESZCZBA.

Rok 1767.

Zdarzenie zawarte w niniejszym ustępie, odnosi się do czasu sejmu ordynaryjnego, złożonego w Warszawie pod konfederacyą Radomską. Wiadomo iż w onej konfederacyi Sołtyk, biskup krakowski, pisał się szczególniej za dyssydentami, chcąc przez ten polityczny krok zrobić sobie większe stronnictwo dla zepchnięcia z tronu Poniatowskiego; również Mniszech partyzant saski i wielu innych nieprzyjaciół króla i familii (Czartoryskich) działało pod wpływem tej myśli. Z tem wszystkiem byli oni tylko, jak się pokazało, igraszką podstępnej plotki puszczonej przez Repnina: jakoby imperatorowa nie była z Stanisława Augusta kontentą; jako on, z łaski jej dostąpiwszy tronu, pokazuje stę niewdzięcznym, że nie przywodzi do skutku interesu dyssydentów i Greków; że przewrotnym rozumem poniszczywszy dawne prawa kardynalne, władzy hetmanów i liberum veto, zakrawa na samowładztwo. Gdy zaś podstęp wydał się konfederacyi Radomskiej, ci sami, dawnych swobód popieracze, widząc się oszukani w nadziei pozbycia się króla, wystąpili na sejmie jako żarliwi obrońcy wiary rzymsko-katolickiej; w tej walce wiedli rej: Sołtyk krakowski, Załuski kijowski biskup, Rzewuski hetman polny koronny, syn jego starosta doliński i *poseł kaliski cześnik* Kożuchowski. — Czterech tych

pierwszych porwano z własnych pałaców i wywieziono do Kaługi. Po tym gwałcie, szlachta, co w długim pokoju zależawszy pole, znosiła tyle obelg z nikczemną cierpliwością, udała się, tknięta do żywego, z papierowej Radomskiej konfederacyi do zbrojnej Barskiej, która zawiązała się w lutym, a dała się widzieć działającą w marcu 1768, pod marszałkiem Michałem Krasińskim podkomorzym rożańskim, i Puławskim starostą wareckim.

KAZANIE.

USTĘP DRAMATYCZNY.

Daj mu łzy Magdaleny, objawienie Jana.
MAGNUSZEWSKI.

I.

Cela w klasztorze OO. Karmelitow berdyczowskich. W jednym kącie tapczan nakryty rogożą. Na ścianie, przed wizerunkiem NP. Częstochowskiej lampa goreje. — Po drugiej stronie celi stół dębowy, na nim kilka ksiąg, krucyfix Ksiądz Marek siedzi przy otwartym brewiarzu oparty na łokciach — sen go zmorzył — budzi się.

W imię Ojca i Syna — coś głowa snem cięży;
Klasztor śpi, nigdzie światła po celach u księży.
Noc nie aurora, tobie muzy też nie trzeba,
Ale siły natchnienia z ksiąg świętych i nieba.
Do pracy więc! dziś święto: masz prawić kazanie;
Prawże o czem nie wiedzą wierni chrześcianie.
To sztuka! ale większa, zmusić ród człowieczy,
Ród krzywy, do czynienia poczciwie i k'rzeczy —
Od czegóż argumenta? wiąż nimi grzeszniki,
I jak pięcią drutami smagaj schyzmatyki;
Od czegóż piekło, wiara, treść pisma i prawdy?
Otwórzmy one księgę: w niej jak w źródle zawdy,
Piłem moc.

(Otwiera księgę i czyta.)

«Ewangelia świętego Łukasza.
Rozdział dwudziesty pierwszy, te słowa ogłasza:
«A kiedy Jeruzalem wojskiem niezliczonem
«Otoczoną ujrzycie, płaczcie nad jej zgonem!» —

Srogie słowa! i któż jest ona Jeruzalem? —
(Myśli.)
Jużci biedna Ojczyzna, zalana Moskalem!
Cóż więcej pisze?
«Bowiem dni to pomsty, ano
«By się spełniło wszystko, co jest napisano.»
I spełni się, i spełni! wina ojców spada
Na syny co nielepsze — Czytajmy:

«A biada!
«Brzemiennym i piersiami karmiącym, albowiem
«Będzie ścisk wielki i gniew nad ludzkiem pogłowiem —»

Jak raz do nas.
«I legną od ostrza, i między
«Wsze ludy ich wygonią ku jarzmu i nędzy — —
«A Jeruzalem będą deptali poganie,
«Aże się nie wypełni pogan panowanie —»
To schizma! schizma! — Chryste Panie! ześlij zbroję
(Zamyka książkę i powstaje w zapale.)
Księcia aniołów, biodra opaszę nią moje —
Podobien wojującej Judyt, szablę w rękę,
Lub drugi Mojżesz oślą pochwycę paszczękę! —
I wskoczę na łeb smoka co się tam przewala,
Psując jedność kościoła twego, czcią Baala,
Niecąc pożar, co nie dość że trawy stepowe
Pożegł, ba i winnice objął Chrystusowe! —
Oneć biskupy, szczepy najsłodsze, cóż robią?
Schizmie swobody, krzesła w senacie sposobią;
Rzekłbyś, w bród wywietrzały w nich przykłady święte
Józefata, co krwią swą Rusiny zawzięte
Umiał hamować: albo z zygmuntowskich wieków
Solikowskiego, który pisać się na Greków

Nie chcąc, a zewsząd ciśnion do aktu za niemi,
Zrzucił mucet, piersiami stawił się nagiemi,
I wołał: Tu zabijcie, a nie dam podpisu!
(Wstrząsając głowę z żalem.)
Dzisiaj! lelum polelum — wszytko od kaprysu —
Święta wiara na włosku, z nią Rzeczpospolita,
Istny dom przy gościncu; nie prosi, nie pyta,
A zawsze goście nowi w cztery ściany jadą:
Libertyzm z farmazonią, peruki z pomadą,
Wraz z gwarancyą moskiewską, francuzkim faworem,
Poszustno i buńczuczno z całym sobie dworem.
To też jezdny i pieszy pachołek struchlały
Czai się za piec, kiedy ruskie jenerały
Wodzą rej na obradach, jako gęsi szare —
Toż pany, co klejnoty dzierżą jak świat stare,
Co siła senatorskich stołków, buław liczą,
Płaszczą się kreaturom za podłą zdobyczą;
Albo zatkawszy uszy na swoich zamczyskach,
Kochają się w koniach, winie, metresach i psiskach! —

Biedna korono! czyżby ostatnia godzina
Miała wybić dla ciebie? —
(Klęka przed obrazem.)
Ucieczko jedyna!
Patronko Polski, Litwy, coś przed najściem szwedzkiem
Ratowała nas grzesznych Czarnieckim, Kordeckim;
Dziś-że dasz na potępę bez skruchy, poprawy?
By łotra, co ma umrzeć na krzyżu niesławy,
Od którego Zbawiciel odwróci swe skronie,
I nie rzeknie: Dziś ze mną będziesz w raju —
(Powstaje z energią.)
O nie!
Na tak ciężki upadek, to rychło! to rychło!
Chyba samo krwi bicie w żyłach by ucichło,
Szable poprzyrastały do pochew; mogiły,
Te twierdze nasze, kości swych nie wyrzuciły,
Jako w dniu ostatecznym; chybaby już twarze
Przestały goreć wstydem —
(Z smutkiem.)

A przecież tak karze
Pan Bóg, jeźli lud ojców odstąpi zakona —
Czemże upadł Rzym, wielka Babilonja ona?
Cudze miłował bogi, wziął służbę u brzucha;
A tu pod nim, pod ziemią, rosło państwo ducha
Silne, że barbarzyńców co krwią okipieli,
Ugięło pod palmowe berło ewangelii —
Ducha! bożego ducha w ognistych językach,
Mieć nam w konfederacyach, sejmach i sejmikach,
By mówił przez marszałki, posły i kapłany
Głośniej niż ów kniaź Repnin, głośniej niźli ściany
Więzień, niż mróz sybirski — głośno jak trzask groma,
Jak deszcz siarczysty którym spłonęła Sodoma —
A wtedy że się ruszą, Marek gardło stawi:
Będzie leń do niewczasu, lenistwo swe zdławi;
Będzie pijak, kostera — z flaszą ciśnie tuzy;
Rozkochany przed panną wynajdzie exkuzy;
Który myśliwy — gończym dobrą da odprawę;
A który dworak — krzyżem przeżegna Warszawę.
Sknera nawet w okupie odda garść dukatów —
I wszyscy, jako jeden, skoczą do bachmatów,
Przymierzać siodła, z skarbców dobywać potrosze
Moderunki i zbroje, co jeszcze kokoszę
Zapamiętają wojnę. — A kiedy raz w strzemię
Wstąpią grody, powiaty, województwa, ziemie,
Nie oprą się, zagony rozpuściwszy liczne,
Aż o Dnieper, o Dźwinę —
O śliczne! o śliczne
Niebo, nad naszą Polską wtenczas się otworzy:
Jako druga Chanaan zakwitnie kraj boży!
Szlachecka złota wolność, by ziarna różańca,
Skupi się koło tronu swojego wybrańca,
Z dobytemi w pół kordy, z okiem na granice,
Czy pohaniec nie wkracza? — z okiem na świątnice,
Czy znowu, kąkol w zbożu, nie naszli bluźnierce
Ósmym mieczem boleści przebić Maryi serce? —
Daj to! daj to, o Panie! — Jam mnich, chuda fara,
Brewiarz przyjaciel, cela świat wszystek — lecz wiara

Mocna jest we mnie; nie wiem przez jakie sposoby,
Mógłbym nią martwych wskrzeszać, wypędzać choroby,
Z tym oto jednym krzyżem bić Amalecyty
Mógłbym —

(Kładzie dłoń na piersiach.)

O! tutaj siedzi jakiś duch ukryty —
Nieraz gdy się zamodlę urasta w olbrzyma,
Cztery ściany mej celi rozdyma, rozdyma —
I ja z nim gdzieś wysoko wyłażę, że słyszę,
Że widzę, co się dzieje po świecie, co pisze
Przyszłość: Całe narody z książęty ziemskiemi,
Wojny, wielkie odmiany, przed oczyma memi
Snują się, warzą, niby morskie nawałności,
Niby dyalog, w którym grają ludzkie złości,
Bo krwi pełno i płaczów — strach idzie po skórze —
Chcę odpychać, nie mogę, gdzieś siedzi w kapturze,
I gdy się już namęczę tą apokalipsą,
Tedy wołam: per ipsum, cum ipso, in ipso!
I tak odpędzam — kogo? Czarta, czyli Pana?
Coć może objawieniem nawiedza jak Jana,
Co wielkim trąby głosem nad tobą już woła:
Napisz o siedmiu złotych świecznikach kościoła —

(Przechadza się, staje i po chwili dumania.)

Kto wie? tyś prorok Marku — ty drugi Izaja! —

(Z śmiechem.)

Ha, ha, ha! stara pałko, szatan przez cię baja;
Oto już na łysinie rośnie ci róg pychy. —
Masz kaptur, zakryj. — Mnich dumny choć cichy,
A przysięga pokorę —

(Z wesołą ironią.)

Jednak to splendor nie lada,
Marek prorok! — on dziwne rzeczy przepowiada:
Urodziny, wesela, słoty i pomory,
Lepiej niż sam Niewieski i wszystkie znachory!
Marek zuch! Marek słynie na całej tu Rusi;
Marka na rękach noszą, poją i pić musi —
A klasztorowi z tego idą vota mnogie:
Barany, stare lipce i ornaty drogie,
I Bóg wie nie co. — Jakże nie dąć tu mospanie?

Marek jeszcze opatem tynieckim zostanie:
Abbas centum villarum!! —

(Wstrząsając głową.)

Patrzcie, jako w klechę
Legjon czartów zajechał, i sprawia uciechę!
A biczemże! — wszak w piśmie stoi: że nieczyste
Nie będziesz cierpiał, w piekło nie grzązł oczywiste —

(Zdejmuje z kołka dyscyplinę i obnaża plecy.)

A biczemże po cielsku! — Tak, to zdrowo, zdrowo!
Z takiej łaźni duch wyjdzie czysty, jako słowo
Samego Pana. — Jeszcze! bezpięty umyka
Jak myszka, gdy mu dojmiesz, z kąta do kącika.
Nałóż sobie pokutę — refektarz zamiatać
Co piątki, w piecu palić, z kuflem się nie bratać —
To mało! siedzi — z księdzem przeprosić lektorem —
Ależ szlachectwo moje dotknął dyshonorem?
Drwił z herbu! — O mospanie, to sprawa gardłowa!
Biczemże — oj przeproszę!! — Czart gracko się chowa
W zakamarek szlachecki, myśląc że bezpieczny.
Wynijdź szatanie! w imię pańskie! — Jaki grzeczny,
Kłania się. — Sam tu, do mnie; na tym to rzemyku,
Jak ów święty pustelnik, przywiążęć zbytniku —

(Przywiązuje rzemyk do stołu.)

Ha! teraz lżej mi. — Ciężkie brzemię ze sumienia
Spadło; duch znowu gore, oko rozpromienia,
I miłość chrześciańska — kwiat wonnej roślinki
Z serca rośnie, pod cień swój zaprasza ptaszynki
By mogły kwilić. — Ty ksiądz, ty duszewny lekarz,
Na płaczący ród ludzki jak roślinka czekasz
Z piersią otwartą, mówiąc: o wielcy i mali!
Pójdźcie tu, jak w karbonę będziecie rzucali
Miedź i srebro; on wszystko w jeden kruszec zleje
Na dzwon, aby wam w duszach rozdzwonić nadzieję.

O rozdzwonię! mam siłę, co pokuty hartem
Może się mierzyć z grzesznym, filozofem, czartem;
Mam usta, z których brzydkie żmije nie wyskoczą;
Mogę kazać. — Na myśli jakoś mi ochoczo,

Nawet złośnik swą mową ócz mi nie zapruszy:
Mnichu! niebo wskazujesz, sam w błocie po uszy —
Wymodloną krwi kroplą z ran Ukrzyżowanego,
Niosę skarb miłosierdzia równy dla każdego.
Mogę kazać —

(Idzie ku drzwiom i słucha.)

Organy już huczą, i cienko
Pieją baby: zawitaj nam ranna jutrzenko —
To godzinki — do sumy mam czasu dostatek
Wyjąć choć kilka z pisma świętego notatek,
Obrać przedmiot — a jaki? Dość spojrzeć na ławy,
A staną ci przed okiem złe i dobre sprawy
Twoich parafian. — Tylko, jak słyszałem zdala,
Siła panów koronnych do nas tu się zwala.
Warto z czemsiś wystąpić. — O veni Creator!
Podrwisz sprawę mój Marku jeźliś zły orator;
Będą ziewać fircyki. — Ty prawdę tnij złotą;
Hołotę mierz panami, a panów hołotą;
Masz za sobą powagę — przecież ksiądz Piotr Skarga
Na sejmowem kazaniu gracko panów targa,
Czemużby ty? — o powiem, o wyrzucę w oczy
Robaka, który ciało republiki toczy;
Niech się rumienią. — Żwawo do dzieła, mój Marku
Pomnij, że to nie fraszka kazanie na karku.

(Otwiera ewangelię i rozmyśla.)

Z słów, o Jerozolimy zburzeniu, wywodem
Prostym się zastanowisz nad naszym narodem.
Z podobieństwa o fidze, co gdy puści listki
Wróży lato, ty kraju wróż upadek blizki:
A słowami Chrystusa: «Zaprawdę przeminą
Niebo i ziemia, słowa moje nie przeminą:»
Uderzysz jako gromem siarczystym słuchaczy;
Niechaj wory włosienne nawłóczą śród płaczy
I zgrzytu zębów — czoła posypią tym prochem
Po którym dzisiaj chodzą w zaślepieniu płochem.
Albowiem do zbawienia droga przez pokutę;
Tak lekarz kładzie ogień na ranę zatrutą,

Tako ramię ucinasz coć gorszy, tak oko —
Lepiej teraz niż potem —

(Wznosząc ręce z natchnieniem.)

Duchu! coś wysoko
Nosił mię nieraz w chmury nad przepaścią ziemną,
I dziwy wywoływał mocą swą tajemną;
Ponieś mię dziś najwyżej! z óczu łuskę ostatnią,
Zdejmij, język mój rozwiąż opłątany matnią,
Abym słyszał i widział co mówią wyroki,
Co niewinny baranek, co bestya, co smoki?
Niechaj wiem gdzie ofiara, którą Pan wytyczy:
Syn-li ma pierworodny pójść pod miecz rzeźniczy —
Czy jagnię-naród?— Boże Jakubów, Izaków!
Ukaż mię ofiarnikom owieczką śród krzaków;
Dam krew za winy Polski —

(Chwiejąc się słabym głosem.)

Czy mię już ubiega!
Nogi drżą — padam, padam —

(Pada przy łożu; głosem przerywanym, cichym — w zachwyceniu.)

Alfa i Omega
Jam jest początek — koniec —

PRZEOR, uchylając drzwi.

Dobry dzień waszmości!
Słyszę głos, nie przeszkadzam — zapewne masz gości?

(Postrzegając klęczącego.)

Ba, nie! trwa na modlitwie — gorąca to dusza!
Czasem tylko, jak mówią, hula bez kontusza;
Lecz za to pokutuje biczowaniem, posty,
Ścieląc sobie gościniec aż do nieba prosty —
Nie przerywajmy. — Jedno spytam:

(Głośno.)

Ojcze Marku!
Wszakto dziś macie kazać, a podczas jarmarku
Państwa różnego — milczy — suma wyjdzie raniej;
Jaśnie wielmożni, oraz wielmożni —

KSIĄDZ MAREK, marząc.

Porwani!!

Dwaj pasterze. —

PRZEOR.

Pasterze? czy w gorączce? — Zbytki
Tak zatapiać się, zwłaszcza —

KSIĄDZ MAREK.

Porwani — w kibitki —

PRZEOR.

Kto mówi o porwaniu? — ja tylko przychodzę
Przypomnieć. —

KSIĄDZ MAREK.

Senatory! gwałt izbie —

PRZEOR.

Przeszkodzę! —
Znów sacra cum profanis, brewiarz z polityką
Miesza, choć wciąż ostrzegam: na słońce z motyką
Nie rwać się; mocniejszego zawsze lepsza racya.

(Biorąc go za ramię.)

Ojcze! ocknij się wasze.

KSIĄDZ MAREK.

Tam — konfederacya —
Pod sztandar krzyża —

PRZEOR.

Widzę, tu pal i z moździerzy
To go nie zbudzisz. — Ojcze! dosyć tych pacierzy;
Wszak kazanie was czeka — już dosyć —

(Wstrząsa nim.)

By kłoda
Nie rusza się — hum! — z twarzy patrzy mu pogoda
I zapał —

(Po chwili odstępując z uszanowaniem.)

Czy duch jego — dziwne sprawy boże! —
Teraz gdzie się przechadza po niebieskim dworze
Równo z anioły? Czy też proroczem bujaniem
Ugania gdzieś daleko za swojem kazaniem?
Pan Bóg to wie najlepiej. — Ni fallor, w żywocie,
Coś takiego czytałem o świętej Dorocie —
Pięknaby dla klasztoru, gdyby w nim pochowan
Ksiądz Marek, na świętego był kanonizowan!

(Oddala się — ksiądz Marek zostaje nieruchomy.)

II.

(Kościół berdyczowski. Solenne nabożeństwo. Celebrant po odśpiewaniu ewangelii odstępuje od ołtarza i usiada po lewej stronie. W ławkach i stallach około wielkiego ołtarza mieszczą się znakomite osoby płci obojej — służba, dworzanie i drobniejsza szlachta, zamują ławy ku środkowi kościoła — po bokach i oddrzwi stoi mieszczaństwo i lud prosty. We drzwiach zakrystyi kilku mnichów i przeor w żwawej dyspucie.)

PRZEOR.

(Do nadchodzącego braciszka.)

I cóż ojcze Hilary — co mówił?

OJCIEC HILARY.

(Wzruszając ramionami.)

Ni słówka.

PRZEOR.

Ależ przecie? —

OJCIEC HILARY.

Wstał tylko — i dobył ołówka
Kreśląc coś na papierze szybko, by pociągiem
Jednym, chciał rzecz swą wydać. —

PRZEOR.

Biada z dziwolągiem!
A tu państwo dostojne nudzi się i ziewa.
Leć waść, lećcie wy wszyscy, niech mi wnet przybywa —
Na cały ruski miesiąc zasadzę do kuny.
Lećcie! —

KILKU MNICHÓW.

Ot i ksiądz Marek — blady, jakby z truny. —

PRZEOR.

Czekamy jegomości — cóż znowu się święci?
Waść chory?

KSIĄDZ MAREK.
(Cichym głosem.)
O, zdrów jestem, tylko bez pamięci
Chwilem był.

PRZEOR.
A kazanie?

KSIĄDZ MAREK.
(Pokazując papier.)
Gotowe.

PRZEOR.
Laus tibi

(Ks. Marek idzie przed W. ołtarz i po krótkiej modlitwie wstępuje na ambonę.)

STAROŚCINA.
Patrz jak spojrzał surowo, pewno przytyk wścibi
Do nas w kazaniu.

PODKOMORZYNA.
Wyjdę.

MARSZAŁKOWA.
Tu popy żarliwe
Zwyczajnie na prowincyi — oj nie ma jak tkliwe
Kazania misyonarskie w stolicy!

GŁOSY MIĘDZY SZLACHTĄ.
Widzicie
Nasz ksiądz Marek — to swada! prawi wyśmienicie. —

JEDNA Z SZLACHCIANEK.
Ja zawsze płaczę.

DRUGA.
I ja.

SKARBNIK.
Wielki patryota
Moskali jako sobak nie cierpi.

WOJSKI.
To cnota
Niepospolita dzisiaj! —

KILKA GŁOSÓW.
Sza! cicho!

JEDNA Z WIEŚNIACZEK.
U kmochy
Nie dawno syn umierał: krzyk wielki i słochy,

Ślą na gwałt do klasztora; ksiądz Marek dobrodziej
Przyszedł, coś pomorkotał, i syn zdrowy chodzi —
Znowu tak rok na gody —

DRUGA.

Nie o jednym cudzie
Świętobliwego ojca powiadają ludzie.

GŁOSY W CIŻBIE.

Sza! sza! słuchajmy! —

KSIĄDZ MAREK.
(Z ambony.)

W imię Ojca, Syna
I Ducha — Amen. Słuchajcie! Ruina
Wisi nad Polską!!! Miałem objawienie:
Oto biskupów wloką na więzienie,
Starców z senatu, z izby — gwałt za gwałtem
Tak cały naród chcą grabić ryczałtem. —

Widziałem hufiec pod sztandarem krzyża;
Stanął na wstręcie, karku nie uniża;
Bo imię Jezus z przeczystą Marią
Na dwugłownego ptaka z góry biją —
Widziałem grody, ziemie i powiaty
Sypiących męży — jakby antenaty
Ze snu powstały, taka moc ich duża!
Nie jedna krwią się równina zakurza,
Dymy owioną czoło Jasnej Góry —
I ot gmach runie wspaniałej struktury,
Szczątki rumowisk miecąc w świat szeroki! —

Potem, z trzej strony trzy widziałem smoki
Z wichrzącym wichrem, żelaznemi dzioby
Na Matkę naszą trzy kopało groby,
W jednym jej stopy, w drugim grzebiąc dłonie
A w trzecim głowę — serce tylko w łonie
Będzie się krwawić, rozdzierać i kipieć —
Ten pierwszy kielich żółci musi wypić! —

Znów stanie cisza od wielkiego sromu:
Ni się pożalić nie będzie nikomu,

Cudzy nam grzechy palcami pokażą,
Mówiąc: niech piją piwo jakie warzą. —

Dobry gospodarz ramion nie założy,
Chocia mu tucza wybije dar boży,
Nowemi ziarny skibę swą zapleni;
Tak, po tej tuczy kraj się zazieleni.
A okrzyk pójdzie: ładu, ładu, ładu!
Chwasty wyrywać, ścinać płonki sadu,
Na podłych pieńkach szczepić gałąź cenną,
Jałowe pole zmienić w niwę plenną. —

I na dniu trzecim dzieło się dokończy:
W koło pasterza trzy stany się złączy,
Piejąc hymn zgody. — Alić smoki znowu
Wyciągną szpony, dzioby do połowu,
Ze zgrają kruków, co pierś własnej matki
Podrą na szmaty, rozniosą ostatki. —

I znowu cisza jakby na pogrzebie,
Z głową zwieszoną każdy pyta siebie:
Gdzie nasze winy? za co ta pokuta?
Grzbiet uchylając przed świstaniem knuta —
Niebo sieroctwem naszem się rozczuli,
Zeszle człowieka, gdzieś z drugiej półkuli,
Co jak lew z Judy zbroją swą zachrzęści,
Dwom smokom z gardła wydrze łupu części;
I w wysileniu na cios chrobrej ręki,
Z konia się zwali w głąb smoczej paszczęki. —
Finis Poloniae! — jęk pójdzie wodami,
Ócz miliony zaleją się łzami —
Krew matek, dziatek, popłynie dzień długi
Jako z źrenicy. — Oto kielich drugi;
W całopaleniu umiera ofiara! —

Potem mi cień się ukazał, czy mara
Z pod zgliszczów wyszła, po piaskach, po morzach
Niby chrztu pragnie by upiór — i w zorzach

Słońc powstających czyta zbawcy imię,
I chrzci się, chrzci się w krwi, ogniu i dymie. —

I byłem w duchu, pośrodku wód mnóstwa;
Aż widzę: Olbrzym ze znamieniem bóstwa
Wyszedł na koniu — pismem był okolon:
Gniew boski — anioł przepaści — Appolon —
I, patrzę dalej — za nim rój skorpionów
Szarańczą zjada liść koron i tronów;
A głos wód wielkich grzmiał z trąby spiżowej:
Jam jest Antychryst, zwiastun wiary nowej —
Słyszałem potem, jak rzekł do upiora:
«Dość twej włóczęgi — pora ożyć, pora!
Nie wskrzeszęć całkiem, piersi tylko wskrzeszę,
Abyś zgłodniałą nakarmił mi rzeszę.»
Toż Pan zastępów przytrze jego butę;
Na ćmę skorpionów spuści mrozy lute;
Samego zwiąże, zarzuci na skałę,
Gdzie pokutować ma czasy nie małe. —

Potem, w widzenium widział: trzej smokowie
Kładli koronę na Polski tułowie,
Mówiąc: stój bez nóg, oddychaj bez ducha —
I postawili w straży psa z łańcucha,
By krew wysysał kiedy zagra w żyłach,
Ilekroć tułów chce powstać o siłach —
Śmierci szukają w on czas ludzie smutni,
Ale nie znajdą. — Aż oto dźwięk lutni
Usłyszan będzie od jelonków w górach,
Co na strażnika w noc spadną — na murach
Jego zamczystych «Śmierć» wypiszą krwawo — —

I oto w pysze ucieka Farao
Od mnóstwa konnych i wozów tysiąca —
Dzień Zmartwychwstania! — jak siarka gorąca
Krew, z środka serca w członki wpada, wierci
On trup — widziałem — zrósł się z czterech ćwierci!

Filistyn hufem nastąpił nań mnogim,
I pobit — raz — dwa — wzdy wyrokiem srogim
Pan od zwycięzców oblicze odwróci,
I on dzień prędką nocą się ukróci
W grobach wschodzącą. — Hozanna! hozanna!
Pieją mu ludy, a Najświętsza Panna
Wianki męczeńskie z łzą zroni na głowy
Rycerskiej wiary —

Widziałem grobowy
Kamień lecący na Polskę niebogą;
Lewiatan srogi nastąpił nań nogą,
Kości druzgotał, na wiatry rozwiewał —
Popędliwości wszystkie swe wylewał —
I to ostatni kielich!!!

Z rąk Heroda
Niby dziecinę świętą — część naroda
Ujrzałem w duchu, do ziemi dalekiej
Idącą na brzeg babilońskiej rzeki,
Myć swoje szaty we krwi barankowej
Z win swoich własnych, z winy adamowej,
Dźwiganiem krzyża, piciem łez rozpaczy,
Aż się wypełnią wszystkie dni tułaczy.
A dni to długie! pokąd na stolicy
Baranek z palmą nie stanie w prawicy,
I nie wyzwoli lud niewolny z oków,
A ślepych z sideł fałszywych proroków —
Tyle słów objawienia. — Cierpmy, nie ma rady;
Oto anioł nad Polską zatrąbił trzy biady! —
Dabitur vox,
Fugiet nox,
Veniet lux,
Et miserabit Deus super regnum Mariae
Reginae Poloniarum!

(Ksiądz Marek przeżegnawszy lud, schodzi z ambony. — Na kościele rozlegają się jęki i westchnienia.)

GŁOSY MIĘDZY LUDEM.

Ratuj! ratuj nas Panie! padamy na twarze;
Ratuj! zdrożności nasze niech nasza krew zmaże;
A synom folguj! —

PRZEOR.

(Pomięszany i w gniewie.)

Wszelki duchu! co on bredzi?
Zginęliśmy! w klasztorze nikt się nie osiedzi.
O crimen! lud buntować — jeszcze gdzie? z ambony!
Osadzę winowajcę. —

GŁOSY MIĘDZY LUDEM.

Koniec! koniec świata!

JEDNA Z SZLACHCIANEK.

Daję na mszę.

DRUGA.

Ja na trzy.

TRZECIA.

Da Bóg dożyć lata
Pieszo do Poczajowa iść się ofiaruję.

POKOJOWIEC HRABIEGO.

Nie wiedziałem — ksiądz Marek poeta, rymuje.

(Z śmiechem.)

Wierszem kazanie!!

DRUGI.

Mniejsza o to, lecz nie w porę
Przy takiem państwie, by żart? —

SKARBNIK.

To wyciął perorę
Nasz stary — daj go katu! – Prawdą, a nie grzechem
Rzec można, że się u nas wszystko dzieje lichem,
Cnoty ni krzty, a gdzie to! dawniej za mych czasów. —

KASZTELANIC.

(W stroju francuzkim w grupie fircyków.)

Temu klesze kazałbym wyrżnąć ze sto basów!
Jakiem prawem śmie wścibiać nos w sprawy koronne;
I lud dużyć, postrachy rozsiewając płonne?

FIRCYK.

Fanatyk!

DRUGI.

Wart do czubków.

SKARBNIK. zbliżając się ku rozmawiającym.

Bez ujmy honoru

Ichmościów, nasz ksiądz Marek jest lumen klasztoru!

Człek święty, dobry Polak, znamy go tu wszyscy. —

KASZTELANIC. z pogardą.

Partyzant Czartoryskich! —

SKARBNIK.

Co tam Czartoryscy!

Kocha Polskę i kwita; jego słowom wierzę,

Drzemy się między sobą, Moskal nas zabierze. —

KASZTELANIC.

Ha, ha, ha! czcza obawa. — Aść wiedz, partya nasza

Ma Turka, Austryę.

SKARBNIK.

Z drzewa kruchego ta laska.

Na ojczystym kosturze oprzeć się najlepiej —

Oj, miał prawdę, że do nas aż trzech się przyczepi!

Zginiem jak muchy! —

SZLACHCIC NOWO KRZYŻOWANY.

W [illegible] — [illegible]

Będziemy zawsze szlachtą — [illegible] —

[illegible]

[illegible]

Ta [illegible] — [illegible]

O [illegible] —

[illegible]

[illegible]

[illegible] — [illegible]

Już [illegible] —

[illegible]

[illegible] —

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

GONIEC.

Puśćcie! pilne wiadomości. —

PODKOMORZY.

Dworski księdza biskupa!! mów co masz?

GONIEC, zbliża się i mówi na ucho.

Sztafetą

Prosto pędzę z Warszawy, i mam sub secreto
Donieść jasnemu panu, iż biskup krakowski,
Toż kijowski i hetman porwani w powózki,
Zataszczeni na Sybir. —

PODKOMORZY.

Kiedy? jak? co? za co?

GONIEC.

Trzy dni temu, kniaź Repnin —

PODKOMORZY.

Ha! to mnich ladaco

Pierwej już wiedział?! —

GONIEC.

Pierwej? chyba cudem, ptakiem,
Bom dniem i nocą pędził — a wyminąć szlakiem
Niktby mię nie mógł. —

PODKOMORZY, zamyślony.

Przecież on mówił — słyszałem.
Byłażby to przestroga? —

GONIEC, podając list.

Ot czarne na białem —
Ten list przekona. —

PODKOMORZY, czyta — składa ręce i obraca się ku ołtarzowi.

Chryste, w świętym Sakramencie
Utajon! kość rzucona. — Wspieraj przedsięwzięcie! —

(Nabożeństwo odprawia się dalej. — Ksiądz Marek leży krzyżem przed wielkim ołtarzem.)

TRZECIA WIESZCZBA.

Okres niniejszego ustępu naznaczam w chwili pierwszego rozproszenia się konfederacyi Barskiej, której jedna część, właściwie zbrojna, z Potockimi, z Józefem Puławskim szukała protekcyi od Porty — a druga piśmienna, w Cieszynie zakładała bióro generalności. — Pod tę porę przypada także zniesienie zupełne hajdamaków, którzy zdradą otoczeni, przez samychże Moskali pokuci w dyby, jedni zaludnili Sybir, drudzy poginęli tysiączemi śmierciami, okrutniejszemi od mąk jakich lud w ślepocie zemsty mógł się był dopuścić na szlachcie.

DUMKA UKRAIŃCA.

Ztąd ja przyszłości brudne obłoki
Rozcinam moją źrenicą, jak mieczem;
Rękami, jak wichrami mgły jej rozdzieram —
Już widno — jasno — z góry na ludy spozieram. —
MICKIEWICZ.

Dwojgiem srebrzystych ramion Rosia w okół ściska
Zielony ostrów, ptaszkom lube koczowiska.
Od dołu włos sitowia: tam kaczki się myją;
Znowu murawa, kędy bocian z długą szyją
Przechadza się samotny — dalej gęszcz leszczyny,
Gdzie słowiki zlatują z całej Ukrainy;
Ponad gąszczą, dąb rzadki, klon z liściem szerokiem
Gospoda tym, co rade bujać pod obłokiem;
Toż gdy się z słowikami wodne ozwą stada,
Myślałbyś, w zakład z Rosią, kto kogo przegada?
I przegadali. — Rzeka do snu się układła,
Szczęśliwa, że ostrówek patrzy na zwierciadła
Lic gładkich, które czasem pomarszczy jaskółka,
Lub wietrzyk, dla miesiąca sypiąc srebrne kółka.
Widno, że zalotnica pewna swej zdobyczy,
Kiedy płynące chwile spojrzeniami liczy —
Bo niegdyś, gdy namiętność miotała nią sroga,
Szalała, zapieniona jak Dniepr z swego proga.
Nie pomagały groble, upusty, łotoki —
Szumiała i szumiała, lub rączemi skoki

Wpadłszy na koła, łukiem rozbryzła się tęczy,
Mściwa na drobnych ziarnkach co je kamień dręczy —
I tyle skwierku, huku, od doby do doby,
Jakby Rosia od wielkiej szalała choroby.
Dzisiaj już taka cicha! — Ba i na ostrowie
Coś inaczej niż dawniej — czyżby kochankowie
Zmówili się na żywot odludny, bezczynny?
Że młyn — co na mil kilka burczał jak bąk trzcinny,
Gdzie bywało nawoźno jakby przed świętyma,
Gdzie swaty zajeżdżali czy lato, czy zima:
Bo młynarka nadobna, a sznurów korali
Nieraz jej same panie wielmożne zajrzali.
Teraz, przez gąszcz zarośli ledwie co się miga
Ściana opadła — woda na koła nie wbiega,
A nad strzechą obdartą, niby wiedźma jaka
Komin, dla jadącego gościńcem czumaka
Przedmiot trwogi i różnych dziwacznych powieści
O latawcu, jak co noc z młynarką się pieści,
A przed świtaniem znika; jak ona w żałobie
Dnie trawi; jako razu, o północnej dobie
Przed młyn zajeżdża suta, poszóstna kolasa:
W niej pan złocisty; za nim na konikach hasa
Orszak swadziebny — huczna rzępoli kapela —
Mówią: i pop się znalazł do tego wesela,
Co ślub dawał. — Na godach miód, wino się lało,
Tańczono do upadła — ale cóż się stało?
Parobek, co się z kąta przyglądał ochocie;
Złość mu przyszła: w garść zapiał, by kogut na płocie:
I wnet goście, muzyka, pan młody, i młoda,
Jak wymiótł gdzieś przepadli — ino wielka szkoda
Została się. — Snać djabeł nie puścił to płazem,
Zniósł groblę, młyn, pomięszał groch z kapustą razem.
Odtąd z miejsc onych ludzie jak od dżumy stronią;
Czasem się pastuszkowie za bydłem zagonią,
Co przed muchą uciekłszy, tam ochrony szuka,
I mówią: że we młynie zły duch zawsze stuka —
W dzień mniej, lecz w nocy, księżyc kiedy wejdzie młody,
Koła się obracają jakoś przeciw wody,

Żarna robią i pytle, a czeladź się szasta,
Potem skoki i chichy — kur zapieje — basta!
Raz nawet, jeźli wierzyć gawędom wieczornym,
Udało się tam zakraść parobkom motornym,
Co dostrzegli — ten figiel dał się im we znaki —
Jako z baby bies namełł cały wór tabaki.
Ale co nam te baśnie! — choć zwykle u gminu
Musi się w bajkę oprząść treść każdego czynu,
Jak w jedwab' gąsienica — aż z poczwarki w końcu
Dumką — skazką — wyleci motylek ku słońcu.
Owóż baśnie — motylki — niech ustąpią oku,
Co wyłuszczone z powiek, czegoś szuka w mroku
Łóz pobrzeżnych na Rosi — że choć wiatr nie wieje,
Coś je wstrząsa i szepty słychać, by złodzieje
Zmawiali się dwór złupić, uprowadzić stado. —
A tu zachodni odblask przyświeca tak blado,
Ledwie gdzieniegdzie rąbek chmurki obrumieni;
Teraz niby łódź bieży — niby kilka cieni
Robią wiosłami, w poprzek kroją szybę Rosi,
Sterując wprost na ostrów, chociaż prąd unosi —
Jak ostrożni, od wioseł i kropla nie bryźnie;
Przemknęli — śród sitowi łódź gadziną śliźnie,
I staje gdzie brzeg goły — — Teraz ich obaczę:
Jeden wyskoczył w burce, drugi po nim skacze
Do ręki wyciągniętej — postać to sążnista!
Na głowie bokiem siedzi czapka zawiesista,
A rąk cztery mieć zda się — rozprawiał z zapałem,
Raz nawet brzęknął kordem u boku — słyszałem.
Na to ów burkowaty zwieszał głowę, znowu
Jak koń tręzlą zerwany w tył rzucał, z ostrowu
Chcąc niby w rzekę skoczyć — a ruch przeciwnika
Coraz naglejszy, każdy odwrót mu zamyka
Od brzegu gdzie się cofał — już chwycił za kołnierz
I w głos huknął po rosie: — To mi z waści żołnierz!
Czy tylko baby straszyć? — cóż stało się waści?
We dwóch nam się nie odciąć stu bisów napaści?
Przecież broni nie nosim dla samej parady! —
Pluń na biesa, i naprzód! —

Nie ma, nie ma rady!
Jęknął kozak w wezbraniu myśli utłumianej,
Podobnej łodzi, prądem na poroch zagnanej,
Co stoma falmi na dno Dnieprowe ciśniona,
Przecież na wierzch wypływa — i z jego tak łona
Wypruła się łódź myśli i płynie po czole —
Co tam bies! tu bies siedzi — tu pali — tu kole —
Mówił — w pierś tłukąc ręką, jakby ją chciał strzaskać;
To znowu z urąganiem: — Miałeś kogo głaskać
Ojcze! tyś wilka chował — ot wrócił do lasu,
I z tego coć najdroższe, pierwszy udarł pasu! —
Mnież to przed nim dziś stanąć? — człek od wstydu zgore;
Wszak wie wszystko, jak wiedział — pomnę w ową porę,
Nimeśmy co zaczęli — nim święcono noże,
Nim ukazy czytano w motrzańskim klasztorze —
Słowa te dotąd słyszę: Synu! Sokoliku!
Biednaż twoja godzina! za siedm dni prażniku
Lat siedem srogiej kaźni, na stryczku, na palu —
Puśćcie panie starosto — puśćcie — umrę z żalu! —
I twarz ukrył w dwie dłonie i jak bóbr zapłakał.
Starosta wąsa kręcił, a okiem wciąż skakał
Od stepów ku niebiosom — zdało się że ziemne,
Że ludzkie myśli w słowa chciał ubrać tajemne
Religijnej pociechy, i ten napój miodny
Wlać do serca watażki.

— Jaki dziś łagodny
Wieczór — mówił wciągając oddech — jakże krzepi!
Patrzno waść — słowem ręczę że będzie ci lepiej!
Bydełko brodzi w paszy, żytko ślicznie rośnie,
A sady całe w kwiecie, i ptaszki radośnie
Szczebiocą po szczelinach, nawet muszki małe
Brzęczą — swojemu Panu wszystko na cześć, chwałę,
Że się zima skończyła — już ją zapomnieli!
Człowiek tylko wesela i smutki źle dzieli.
Raz do zbytku używa, znów czarno zawidzi,
I mogąc żyć na nowo, przeszłością się biedzi —

Otóż waść stare grzechy zmyj pokutą, skruchą,
A najlepiej poprawą — u czerni masz ucho,
Masz wziętość — a co począć, stary nam objawi —
Naprawisz!

Na to kozak: — Już się nie naprawi!
Skoszony kwiat mołojców — w stepach głuchuteńko!
Choćby znów krzykiem czajki zawiódł Chmielniczeńko;
Choćby grzmotem porohów huknął jak przed laty:
Jest szabla i Bóg żyje i kozacka mąty!
Głos jegoby nie poszedł dalej od tej wełny
Co tu pęka u brzegu —

— Ej, co nam w bawełny
Obwijać, rzekł starosta, wszystko licha warte,
Szlachta — Bóg widzi — resztę stawiła na kartę;
Z Barskiej mąki już pono nie będzie kołaczy;
Z onych konfederatów cóż mamy? tułaczy,
Schnących z głodu w Multanach, kiedy inni ligi
Szukają gdzieś po dworach, i dostają — figi.
A Moskal, jako broił tak broi — do wspólki
Z panami koronnymi — śle brodate pułki
Rabować nasze dwory, was okuwać w dyby,
Chłopów, panów pod knuty, na Sybir! — Lecz gdyby —
Tu, starosta krok zrobił i ręką za szyję
Ujął kozaka: okiem w głąb duszy się wpije,
I ku starej swej piersi hołubi mołojca —
Och gdyby! — zaczął z cicha — jak dzieci do ojca
Przyszliście do nas! — gdyby, tak zabyć co było,
Wziąść się razem, pan z chłopem —

— Co wam przystąpiło
Panie Korsuński? — Co wam? — patrzy, nie dowierza,
Nareszcie kręcąc głową — u was jak u jeża
Skóra, panowie szlachta, niech się prostak który
Otrze o nią, dalibóg, własnej zbędzie skóry.

Nie! nie! chleb chłopskiej pracy to słodka ponęta;
Panować to tak dobrze wam — wy krolewienta!
Wyżbyście chcieli?! —

— Chcemy! zobaczysz że chcemy!
Rzekł starosta od duszy — zobaczysz choć nie my
To nasze dzieci, wnuki — dla Polski, Ojczyzny
Wszystko — przywilej, dumę, bogactwa, pańszczyzny,
Rzucim na ołtarz. — Wolność taką mieć będziecie,
O jakiejeś podobno nie słyszał na świecie;
Złotą, szlachecką wolność, tylko razem, razem —
I chciał garnąć do siebie — lecz watażka głazem
Wpruł się w ziemię; ni ręką, ni słowem, ni okiem
Nie oddał mu uścisku. Podobnie nad stokiem
Dąb suchy, nieruchomy, stoi i pogląda
Jak tam ruchem i życiem na źwierciadle prąda
Odbił się — Obraz wdzięczny przecież go nie łechce:
Usechł — nawet w złudzeniu zazielenieć nie chce.
Starosta jeszcze mówił — w końcu słów nie stało;
Starosta jeszcze ściskał — ramię go zbolało,
A więc z ręką, sierotą wracał za pas lity,
I stał niemy, jak mówią, z pantełyku zbity;
A szczęście, że go z boku nie widział nikt trzeci,
Bo by skonał od wstydu —

Tymczasem z chmur sieci
Wyplątany, by rybka, miesiąc rozlał blaski
Na rzekę, na dymiące sioła, stepy, laski,
I na białą ścieżynkę w gęstwinie —

Cóż oni?
Któryż pierwszy krok zrobi? kto słowo uroni?
W tę ciszę, kędy słychać chód tych cieni drzewnych,
Szum głosów gdzieś z za świata ziemskiego zawiewnych,
Trudno! chyba ktoś obcy wpadnie do rozmowy —
Puhu! puhu! ot z pustki krzyk zawiodły sowy —
Nietoperz im przed oczy przewinął się z piskiem;
Młyn cały zaturkotał, a w chaszczu poblizkim

Chichot dziki, szalony — — Kozak jakoś strusił,
I pod burkę się chował; szlachcic naburmusił
Brwi duże; słuchał, patrzał, aż strzepnął palcami:
— Stary frant, stroi czary! — My swoi, my sami!
Wernyhoro, cóż znowu? daj pokój tej psocie,
Napędziłeś nam Piotra, aż w zajęczym pocie
Kąpie się mój towarzysz — czyś nie rad dla gości? —

Na to z krzaka coś huknie: — Prosim jegomości,
Tędy, tędy — do młyna; bies wyprawia tłokę.
Witam, witam! nie darmo widzieliśmy srokę,
Jak dziś rano skrzeczała. — Chcecie sałamachy?
Młynarka tam częstuje kruki, swoje gachy;
Jest wędzonka z szlachcica i popa i żyda —
Chi, chi, chi, chi! — i w chaszczach znów przepadła bieda;
Tylko liść zaszeleścił.

Dwaj nasi podróżni
Szli śmiało za chichotem, lecz zawsze ostróżni,
W prawo, w lewo patrzyli — kozak trzykroć splunął,
A starosta samopierw jak polskiego sunął;
Wszakże często, to gałęź leszczyny odgarnie,
To połę odplątuje pochwyconą w tarnie,
To szepce Zdrowaś Marya, za szkaplerz się trzyma,
A kozakowi mówi: Furda, nic tu nie ma!
Tak przebywszy zarośla, wyjdą na lewadę
Niewielką, wykoszoną, gdzie światełko blade
Tuż pod gajem migało z szybki czy szczeliny,
I w liście drzew zielonych męszał się dym siny.
Więc wprost szli za światełkiem, co gasło, migało,
Nawet w oczach kozaka wciąż się oddalało,
Jak ognik na smętarzu. Tak kiedy się dziwią,
I mówią: czy tu ludzie żywią, czy nie żywią,
Naraz, gdzieś niby na dach zaleźli po ciemku,
A pod nimi głos gruby huczał: «Semku! Semku!
Tłuczesz się jako Marek po piekle — dość psoty!
To swoi — czuję swoich — wstrzymaj kół obroty —

Pokaż drogę i poświeć» — i za każdem słowem
Pierś głucho odstęknęła westchnieniem grobowem.

— Źle z starym! rzekł starosta, w sam raz przybywamy,
Ale u kata, jak tu dostać się do jamy?
Poświećcie no, otwórzcie! to my Wernyhoro! —
Wołali, aż tu czudo pogięte we czworo,
Z łbem dużym jak u konia, wypełzło z nienacka
I błysnęło łuczywem —

— Prze świętego Jacka!
Parsknął starosta śmiechem — hajduk to za katy!
Drwi z nas — widzę żeś łebski; czyś czasem od szaty
Za paniami dworskiemi nie naszał ogona?

Chi, chi, chi, chi! oj naszał, gdy za mąż szła wrona
Za wróbla — oj we młynie było weselisko! —
Znów chi, chi — w całe gardło, i skłonił się nisko
Wyszczerzywszy kły duże, dwie ślepie przymrużył,
I gdy starosta wchodzi, ramieniem mu służył.
Jakoż chałupa w ziemię do pasa wkopana
Miała próg zbyt za nizki dla takiego pana.

Cztery ściany świetlicy płomieniem opłyną,
Szczupłe, lecz wymaszczone połoniecką gliną.
Widać rządny gospodarz, bo i stół nakryty:
Na nim chleb, sól dla gości; bo i wyśmienity
Plastr miodu lipcowego ślinkę do ust niesie,
A pod rzędem mis czystych długa półka gnie się.
Tylko że na ognisku zimnem, ni węgielka —
Tak bywa, gdy śmierć przejdzie, lub niedola wielka.
I tu przeszła, lub przejdzie: — W ciemnym izby rogu
Z kulbaką pod głowami, na siennym barłogu,
Między kudłami burki krymskiej, broda biała,
I głowa — siwy sokół — gościom się kłaniała.
Potem, by nie dość jeszcze tego powitania,
Rąk dwoje, pierś zarosła, zwiodły się z posłania,

Tak porywczo, że obok wiszące nad chorym
Ratyszcze, szabla, kołpak z wierzchem różnowzorym,
I janczarka — o mało ze ściany nie spadły.
— Witajcie! mówił — myśli moje was odgadły.
Panie Korsuński, Bóg ci odda to sowicie —
I tobie — choć na macierz porwało się dziecię.
Wiem wszystko — różne kary Pan spuszcza na ludzi;
Zbawiony, kto przynajmniej nad grobem się budzi!
Czas by się opamiętać! — jam rozpamiętywał,
A nie wiem, jaki duch mi do ucha wciąż śpiewał
Wielkie dziwy! — Oj dobrze żeście pokwapili;
Życie ludzkie na włosku — nie wiele mam chwili,
Pokąd widno — tu w czole — potem się zakręci,
I — chodź Kuba do wójta — —

A dwaj goście, zgięci
Nad starcem, żałośliwie patrzyli mu w lice.
Pocieszają jak mogą — choć często źrenice
Jeden ocierał chustką, a drugi rękawem.
Przeszło pierwsze wzruszenie — i starzec niebawem
Nabrawszy tchu w pierś wątłą, kazał siąść przy sobie,
I zaczął mówić zwolna do nich w tym sposobie:

— Dobrze żeście przybyli! póki dusza w ciele,
Mogę wam coś przekazać — choćby słów niewiele,
A i one są czemsiś — — Wierzcie mi, są słowa,
Często ważniejsze czynów, gdy je gmin przechowa
W świętościach wiary —

— Nie wiem, Bóg-li mię naznaczył
Swym palcem, bym wam przyszłe rzeczy potłomaczył,
Czym też sobie uroił jaki sen na jawie?
Żyjąc na tem pustkowiu sam jeden — mnich prawie,
Nie wiem — —

— Sto lat za pasem — dużo się widziało
Nie takich wojen — z ludźmi żyło się niemało:

Jeszcze z jakimi! — Hetman nieboszczyk Mazepa
Znał mię, rad moich słuchał i żeby nie ślepa
Fortuna, co zdradziła, byłby Moskwę zdławił —
Nawet Rzeczpospolitę zepsutą naprawił,
Wlewając w krew zatęchłą ogień krwi kozaczej —
Na polu pod Pułtawą los zrządził inaczej!

Długim się czas wałęsał, potem w Tureczczyźnie
Przy naszych — jakby szczęście gdy się raz wyśliźnie
Można odbić — i próżno! Ze szwedzkim warchołem
Nie było żadnej rady — nogi za pas wziąłem,
W świat za oczy, do ziemi francuzkiej, za morze,
Czy tam się co nie zrobi? — Byłem i na dworze,
Z blizka królów widziałem — włosy mi powstają,
Myśląc: w jakie się ręce narody oddają;
Jak liżą stopy pierwszej pańskiej wszetecznicy —
Istna trzoda baranów, dobra do rzeźnicy!
Uciekłem, przeklinając to gniazdo zepsucia,
Niegdyś najzagorzalszy żebrak ich współczucia;
Podejrzywałem pomoc, choćby ją dać chcieli,
Jak w bajce, kiedy djabeł wyciągnął z topieli
Chłopkowi wóz i konie, potem go podchodzi,
By mu dał co się w domu nowego narodzi.
Chłop kontent wraca do dom, żona wita — synkiem —
I ciesz się tu prostaku djabelskim uczynkiem!
Dlategom zawsze radził ze swymi się trzymać —
Z Lachami — bo to swoi; cudzych się nie imać.
Wszak i teraz ganiłem konszachty z carycą —
Ślepi! może wam kiedyś oczy się przeświecą,
I poznacie. —

Nie jedną prawdę, o panowie
Koronni! piłem do was — nie poszło na zdrowie,
Sami powróz kręcicie. Niby to swobodę
Kochacie; lecz tak właśnie jako dziewkę młodę,
Upatrzoną na łanie, na siłę wleczoną,
By swem zdrowiem rozgrzała skrzepłe pańskie łono —

W końcu psami wyszczutą, gdy jej kwiat opadnie —
Toż lada jaki przybysz nad wami zawładnie,
I nie stanie nikomu wrogom się zasłonić!
Darmo, jak za pańszczyznę lud będziecie gonić
W pola, zbroić kosami — pójdzie, krew przeleje,
Ale dlatego wianek już nie zielenieje —
Bo swobodę wam kochać dla wszystkich pospołu;
Bo swobody moc idzie nie z góry, a z dołu!
Tam siła. — A cóż u was? cukry i łakotki
Karmicie wasze dzieci? — Nie tak stare przodki
Robili, gdy je w zbroi w obozach chowali —
K'temuż miewali męży nie z pierza, a z stali,
Twardych na wszystko, lecz z sercem mięsistszem,
Mniej ciężących nad ludem, więcej z naszym mistrzem
Chrystusem, kochających. — Wybaczcie starosto
Za te prawdy — jam życie całe chodził prosto,
U grobu nie chcę krzywo —

Starosta chciał na to
Coś odrzec — ale starzec znów rękę kosmatą
Wyciągnął, dwakroć kiwnął: — Niewcześnie się bronić
Kiedy ziemi trzęsienie zacznie w dzwony dzwonić;
Kiedy lud się poczuje w swojej mocy, kiedy
Zrobi z wami rachunek za odwieczne biedy:
Kładąc na jednej szali pot każdego snopka,
Łzę wdowy, hańbę dziewki, ból bitego chłopka —
A doda krew rekrucką za wolność przelaną,
Którą ich tumanicie jak bańką mydlaną —
Cóż wtedy będzie? Wiem ja — nie życzę nikomu
Dożyć takiej godziny; bo niczem trzask gromu,
Którym Bóg całe miasta grzeszników w proch ściera,
Przy tem, gdy w ręku czerni zawładnie siekiera,
I wyrok, każde czoło co się nad gmin wznosi
Jako głuszące zielsko w zbożu, naprzód skosi.
O, to nie śmiech panowie! Widzisz nóż w jaszczurze?
Siedzi cicho — i jasny zda się — lecz w lazurze
Przypatrz się: ujrzysz małe rdzy plamki, by z rosy —
A wiesz ty? to krew lasza z czasów Rusej Kosy!

Syn stepu — gdy mu dojmie bicz srogiego panka,
Patrzy w nią, przemyśliwa o zemście Bohdanka,
I ślepy — Moskwie, djabłu dać duszę na kwity
Gotów — niżby go wiecznie ssały pasożyty. —
Widziałeś Koliszczyznę? — o widok nie lada!
Ani tucza gradowa na łan tak nie spada
Jak oni — gdzie raz spadli: zaorz, zasiej solą;
To gniew boży! szarańcza! Wierzaj, z taką wolą
Swobód, zemsty, świat wszystek mogliby przetworzyć,
Lub zburzyć. Ożyć tylko, pozwólcie im ożyć,
A i wy ożyjecie. — Te konfederaty —
Żal się Boże! — widziałem — kielichy — wiwaty —
Ściskania — rąbanina — jakieś ceregiele.
Układy — manifesta — a zawsze w kościele
Z kropidłem i kadzidłem — a zgody ni tyle —
Młódź kozacza przynajmniej dziś wszystka w mogile!
Wiatr nad nią płacze — grzebią nóżkami koniki —
Z dumką o chrobrych chodzą z siół do siół lirniki! —

— Oj Wernyhoro! — smutnie rzecze pan Korsuński,
Rękoma twarz zakrywszy — nie piernik toruński
Słowa twoje — jak gwoździem wbijają się we mnie;
Twardą bierzem naukę — daj Bóg, niedaremnie!
Jeszcześmy cali — męże są światli — jest siła —
Rzeczpospolita może znowu by odżyła —

Odżyła! — śmiech beleśny przebiegł mu po wargach —
Odżyła! — w waszej pysze, frymarkach, zatargach?
Gdybyś jak ja, tam widział! Pierś twoja za krucha,
Rozprysłaby jak glina pod ciosem obucha,
Pod górą wielkich nieszczęść nad Polską wiszących,
Gdybyś je mógł ogarnąć w tych rysach palących,
Któremi na tle nocy Odwieczny mi gada —
Uzbrój się —

Wieszczbiarz uciął — a twarz jego blada
Rozgorzała by obłok, gdy zachód czerwony
Zapali go promieniem. — Niby ukrzepiony

Zerwał się — wzrok wytężył — głęboki — wysoki —
Za granice tej ziemi. Taki wzrok proroki
Mają tylko. Dwaj goście uklękli — nie śmieją
Tchu wydać. Rzeczy zwykłe przed nimi maleją,
Jakby się uczepili dwojga skrzydeł kani
I lecieli za wieszczem w głąb górnej otchłani —

Wernyhora tymczasem wiódł rozmowę dziwną
Z duchem, czy marą, wieszcza rozkazom przeciwną,
Bo zaklinał:

— Cyt Dnieprze! nie szum — mnie czas w drogę;
Rusałki, nie ciągnijcie do pląsów — nie mogę;
Mołojce! spać do mogił — to chmury, nie morze —
Taborem konno, w czajkach za mną, Zaporoże.
Hetmański buńczuk wieje — huczą samopały —
Huknęli: Po Bug nasze! — Orle! orle biały!
Roztocz ogromne żagle, odgraj pieśnią laszą:
Co moje to i wasze — a zemstę przygaszą —
Patrzaj! jak już spokojnie, by gwiazdy przed wschodem,
W mogiły się spuszczają długim korowodem.
Na mej drodze tak jasno! śmigam mlecznym łukiem,
Jak tabun ukraiński z zerwanym munsztukiem —
Otóż i bramy raju — kędy się wywodzą
Rzeczy przyszłe — i ludzie nim jeszcze się rodzą
Odgrywają na próbę to samo — co w czasie
Gdy się wcielą na ziemi, po drugi raz gra się.
Któż obejmie ćmę oną, zamkniętą w tej bezdni!
Tu króle — wodze — męże, tu piesi — tam jezdni —
Ścierają się — mordują — o co? o cień drewna,
Cień pieprzu, lub tabaki — i jak trzoda chlewna
Jeden drugiemu z gardła wydziera cień złota —
A mędrek, niby pająk, wszystkich w sieci mota.
Wojna królów — nie patrzmy! Tam, widzę ruch wielki,
Dach się wali — kolumny padają i belki —
A po zwaliskach brodzi czy tygrys z uwięzi?
W lewo, prawo tnie zębem — już dopadł gałęzi

Najwyższej, i z niej strząsa jako jabłka, głowy
Koronne i mitraste, pod stopień tronowy,
Z którego purpurowym płaszczem na dół ścieka
Krew króla — — Ćma narodów chciwie ją połyka,
Gasząc w sobie pragnienie do zbrodni Kaima —
Aż wszystko się zbratało: dłoń z dłonią się ima,
I, jak świat wielki od skwarów do lodów,
Zaczyna się wiek nowy braterstwa narodów —

— Gdzież Polska? o! gdzież ona?! Przelećmy mrowisko,
Co wznosząc górę plewy, tam czołga się nizko;
Czy żaki nad księgami kisną, piją, jedzą?
Wiedzą gdzie się co dzieje — o sobie nie wiedzą —
Przeskoczmy —

Ha! po szablach, po wąsach, po krzyku
Poznałem — nasza szlachta radzi na sejmiku — —
Zapewne pospolite ruszenie? Wszak wrogi
Napadli ziemie. Może chcą wezwać lud mnogi
Do wolności? — do praw swych? — Patrz poszło pod kreski,
I przystali na rozbiór i na knut moskiewski! —
Nikczemni! — o nie wszyscy. — Jakaż postać męża
Staje u drzwi sejmowych, całą pierś wytęża
Na okrzyk: Nie pozwalam! — zaklina na rany
Chrystusa — on, jak Chrystus sam rozkrzyżowany
Na progu, jeszcze ciałem: Stójcie! stójcie! woła.
Lecz zbrodnia dokonana — gruba noc do koła —!

Lata mijają — w kątku światełko tam miga —
Chorągiew wywieszona, lud od roli zbiega
Z kosami, lemieszami — przed ludem wywija
Na koniu wódz, czy chłopek — na nim karazyja
Krakowska. Już stanęli na szerokim łanie;
Moskiewskie puszki hukną, kosy idą na nie
Wprost jak ściany — zdobyli! lonty krwią zaleli
I orzeł skrzydła podniósł, białe jak z kąpieli —
A tam w mieście — o dziwy! szewczyk patryota
W lochach odbiera rotę przysięgi, i miota

Przekleństwa zdrajcom kraju. — Cechy mu posłuszne,
W dzień pańskiej rezurekcyi wyprawią zaduszne —
Dają hasło: grzmią strzały, dzwony na gwałt biją,
I z juchtu moskiewskiego szewcy buty szyją — —
Blade panki z za pieców wyłażą i kręcą,
Pracę ludu przedają w chytrą dłoń książęcą;
I choć stryczkiem szubienic gmin zbrodnie ich mierzy,
Płaczcie! trup Matki Polski obnażony leży. —

— Długo, długo nieszczęścia i wojny się wloką,
Lud zawsze rolę sprawia łzami i posoką;
Znikąd mu wybawienia. Ach! tej nocy — może
Z tej garstki lwów-mołojców zejdzie jasne zorze
Swobody i dla niego — — Znowu kosy, włócznie
Ciągną w pola. — Czej teraz ramię ich nie spocznie,
Aż to godło wywalczy na chorągwiach lśniące:
Za waszą i za naszą wolność! — Ha! tysiące
Z siół litewskich, podolskich pod sztandar się stawi,
Patrząc weń, jak w ciągnący długi klucz żórawi,
Co im wiosnę zwiastuje. — Lecz głupie to stado,
Jak dawniej, znowu ginie słabością i zwadą —
Garść tylko ulatuje pod nieba gorętsze,
W łzach, pracy, powołanie odgadując świętsze —
Przez męczeństwa, wytrwanie, wiarę w życie ludu,
Cudem chce wskrzesić Polskę. — Och! bo trzeba cudu,
I jakiego —!

Nad tuman knutów i służalstwa,
Strat śmiertelnych i zwątpień, szyderstwa, ospalstwa,
Serc głuchych na proroctwa, ócz ślepych na czyny,
Widzę — coś się przebija do płaczu doliny —
Ni to sokół, gołąbek — z gałązką zieloną!
Mówi: wierzcie! o wierzcie! — co wierzą, nie toną!
O nie sokół — nie gołąb! Młodzian jasnowłosy
Spuszcza się, a z nim deszczyk urodzajnej rosy:
Piaski, stepy i góry rozmaja jak wiosną,
I piaski, stepy, góry, rosną, rosną, rosną —

Iście jak ona wierzba, z której to chłopięta
Wykręcili piszczałkę: dusza w niej zaklęta
Wyśpiewała im całą grobu tajemnicę —

Młodzian teraz w kajdanach — patrzy w okolicę
Błękitną, nad tłum czarny co zawodzi płaczem,
Mówiąc: płaczcie nad sobą! jam już nie tułaczem —
Wolna ojczyzna ku mnie z niebem się przechyla!
Padło dwanaście strzałów — i skrzydłem motyla
Święta dusza wzlatuje w odwieczne pałace. —

— Ileż jeszcze wybiega na męczeńskie prace!
Iluż kona w wilgotnych podziemiach — Sybirze —
Na szubienicach! —

— Chłopcze! chłopcze! brzęk na lirze
Wydaj, a rzewny, długi, w cały świat rozgłośny;
Niechaj z duszy mej zwalę ten ciężar nieznośny
Przyszłości naszej! — Brzęknij — w dumkę opowita
Napowietrzna myśl moja, ziemi się nie chwyta,
Jak sokół, lecąc w słońce, pogardza padołem —
Graj chłopię — ja w lud patrzę — jam teraz sokołem! —

Wernyhora, czy cud-li? by nigdy w chorobie
Nie był, z łoża zeskoczył, podniósł dłonie obie,
I kładąc je na głowach starosty, kozaka,
Garnął k'sobie pod skrzydła. — Oni się do ptaka,
Do piersi tulą, w oku czytają natchnionem
W jaki przestwór ich porwie?

— Niżej! niżej tonem!
Znów rzecze stary. — Chłopię, to ni owo gędzie —
Niżej — tak — posuwisto puść palce łabędzie;
Dumka wichrem niech leci po stepach, burzanach —
Mogiłach, Dniepru, morzu —

Chłopię na kolanach
Sparło lirę, skroń do niej żałośnie przyciska;
W szpetnej, szalonej twarzy coś boskiego błyska —
Rzekłbyś, przez trupią czaszkę gwiazdeczka malutka.
Starzec znów skinął — i przegrawka krótka,
A tęskna, jak turkawki gruchanie po lesie,
Taką dumkę-samczyka w usta mu naniesie:

DUMKA.

Tuman-li to w górach, jarach, jak morze się chwieje?
Czy gwiazdami, by ziarnkami Bóg na polu sieje?
Czy się niebo zawaliło,
I skowronki nam pobiło? —

Oj nie mgła to, oj nie gwiazdy, ni obłok się zwalił —
Lud to biały, powstał cały — sobótkę zapalił.
W trzy żubrowe rogi dzwoni:
Do spis, do spis i do koni!

Na wołyńskich, widzę, polach trzy rzeki się łączy:
Dniester spada, Bug się skrada, i Dnieper rwie rączy —
Z trojnej strony potop wali —
Z czwartej obóz mknie Moskali.

Hańczarychy jar głęboki wyrównany trupem!
Lacki ptaku, pilnuj znaku, a nie baw się łupem!
Jeszcze stoi carskie znamię,
Jeszcze długie carskie ramię.

Dniem i nocą taniec idzie, tabor mknie do granic —
Posły chodzą, zwodzą, godzą; Lach nie zważa na nic:
Z ciał pobitych drogę mości;
Szlak czerwony dla złych gości.

U mogiły Perypiaty i Perypiatyki,
Jak skoszona, błoń zielona, padną najezdniki.
Lud koronę zdartą zdejmie —
Lud — król w polu i na sejmie.

Rozbujane białozory zalecą daleko:
W kraj soboli, w kraj niewoli. i tak Moskwie rzeką:
Co nam bić się — nie chcem cara!
Nas pobrata w wolność wiara.

Odtąd dziwy niebu, ziemi, pokażą anieli —
W znak zbawienia, odkupienia, słowo: lud się wcieli —
Ziemia niebem — — Cudy! cudy!
Pół-bogami staną ludy.

Cudy! cudy! tam kapłani maluczcy i święci —
Bóg w sumieniu — w poświęceniu —

— Ha! w mózgu się kręci!
O! bo też dziwy! — Nie chcę — głos mi już zastyga,
Choćbym chciał zmódz, nie zmogę. Dniepr z łoża wybiega —
Szklanną wydął się banią — ot! pęka nademną:
Zalewa, topi, dławi — — Ciemno! ciemno! ciemno! —
Starzec mdlejący zwolna w ramiona się chylił
Starosty i watażki; coś nucił, coś kwilił
A uśmiechał się — w końcu wzrok postawił słupem
I skonał —

Oni oba uklękli nad trupem;
Pacierz krótki, wojenny mówią — — Po pacierzu
Oba wielkiemi kroki przejdą po alkierzu,
Każdy w stronę przeciwną wzrok i kroki ciska,
Niby jeden drugiego bał zaczepić zblizka;
Opisawszy kół kilka, nie wiem jak się stało
Że przy trupie ócz czworo i rąk się spotkało,
We wzajemnym uścisku nowego sojuszu:
Łza była na siermiędze, druga na kontuszu,
Równie czysta i święta, jak płacz dwojga dzieci,
Gdy je macierz pogodzi —

— Pan nad duszą świeci —
Rzekli razem — on, duszą niech świeci nad nami! —
I wyszli — — Na lewadzie dół kopią szablami,
Kędy starca spuszczają w zbroi i kołpaku —
Przy księżycu, przy długim białych brzóz orszaku,

Co jak płaczki zawodzą w spuszczone rańtuchy —
Teraz — w całym ostrowie taki pokój głuchy!
Tylko z gębą otwartą i źrenicą szklaną
Chłopię, jak kumir jaki siedziało pod ścianą.
Ni to ono boleje nad gęślą zepsutą,
Co u nóg jego leży, i przeciągłą nutą
Opłakuje zgon własny po ostatniej dumie —
Nie płacz! — nutę twej dumy Ukraina umie! —

EPILOG

DO NASZYCH WIESZCZÓW.

Przedhomerowy znacie wiek bajeczny,
Gdy młodą ziemię trapiły sny dziwne;
Gdy na Olimpie drżał Jowisz odwieczny,
A w Delfach gaje milczały oliwne?
Wtenczas wieszczowie rządzili lutniami,
Cerber usypiał, piekło łup wracało,
Egejskie morze jak szkło się zrównało,
 Teby wstawały murami.

A dziś-że mówcie, co lutnią trzymacie
Naszych dusz rządy — nie siła-ż zwierzęca
Cięży nad duchem w całym majestacie,
Jak wąż do koła ziemi się okręca?
Prometeuszów, chcących wykraść niebu
Ogień, czyż tyran do skał nie przykuwa?
Sto ócz Argusa, czyż w straży nie czuwa
 Milionowego pogrzebu?

O wieszcze! komuż, jak nie wam nadana
Moc, złoconego cielca ogniem stopić?
Komuż, jak nie wam, gdy ludzkość zbłąkana
Śród mgieł, zawiei — prawy ślad wytropić?
Nie darmo, kiedy od tronu Jowisza
Poeta odszedł bez działu, ubogi —
Bóg mu otworzył wstęp na swoje progi,
 Orła dał za towarzysza.

Toż zbrojni wiarą, miłością, nadzieją,
Toczycie w szrankach przy gęśli, przy śpiewie;
Zakute stalą olbrzymy truchleją:
Na cień proroka Saul ciska się w gniewie.
Czyż nie widzicie jak codzień i co dnia,
Z pod nóg im państwo ducha się wyzwala?
Jeszcze pieśń jedna — a ludów pochodnia
Stosy sobótki zapala!

O! tylko śmiało! nie na gorzkie płacze,
Nie na kancony, w puściźnie wam dali
Gęśl przedbojańską, owi trzej oracze,
Co pieśni mieli, a nie mieli stali.
Na ziemi Lecha stal z pieśni się rodzi;
Boga-Rodzicą Polska nam stanęła,
Mazurkiem — jeszcze Polska nie zginęła —
Hymnem do Boga już wschodzi!

Wam ja to niosę wróżbę Polski losów:
Królom, rycerstwu — wszystko się spełniło;
Wieszczba kozacza najwyższych niebiosów
Sięga — i będzie, co jeszcze nie było —
Świat stary mgłami zachodzi — ot — kona!
Kapłani w nowym, hymn przymierza dzwonić —
Cuda ujrzymy — odsłonić! odsłonić!
To nie Izydy zasłona. —

W styczniu 1841 r.

OBJAŚNIENIA.

DO PIERWSZEJ WIESZCZBY.

Przepowiednię Stanisława Berciusa opata jędrzejowskiego, żyjącego za Zygmunta Augusta, zdarzyło mi się czytać w jednem dziele niemieckiem, pod tytulem: Vaticinia, wydanem ile przypominam sobie, w połowie zeszłego wieku. Istotna treść onej następująca:

Flos valis — symbol Henryka Walezyusza noszącego w herbie lilie białe.

Nominis Corona (Stefan Batory). — W greckim Stefan znaczy koronę; natomiast położyłem ząb, właściwy herb Batorych; ztąd i przysłowie jakie było o nim: że brał szlachtę na zęby.

Exul fortunatus. — Zygmunt III, wygnany z własnej Szwecyi, znalazł tron w Polsce; miasto tego, użyłem herbu Wazów: Snopek.

Gloria succedens (Władysław IV.). — Przystosowanie do imienia Władysław — władający sławą.

Manipulus sterilis. — Jan Kazimierz zeszedł bezpotomnie, i w nieszczęściach zostawił Ojczyznę.

Sidus noctis brevis (Michał Korybut). — W herbie Wiśniowieckich były gwiazdy, i jego gwiazda krótko świeciła na tronie.

Manus congregatorum (Jan III.). — Zdaje się odnosić do jego naczelnictwa nad wojskami chrześciańskiemi, w odsieczy

Wiednia. Wolałem za godło wziąść herb Sobieskich, tarczę Janiny, którą, podług podania, Michał archanioł miał znieść z nieba pierwszemu Janinowi, protoplaście rodu Sobieskich.

Diversi coloris (August II.). — Czy dla tego że zmienił wyznanie, odstępując luteranizmu? Użyłem w mej powieści herbu saskiego: dwa miecze na krzyż złożone.

Solus biceps (August III.). — W długiem jego panowaniu dwugłowy orzeł moskiewski rozpostarł swój wpływ na Polskę.

Sonitus Apum (Stanisław August). — Naród ocknął się z letargu pszczół brzęczeniem, pracując około naprawy Rzeczypospolitej.

Ostatniego króla maluje symbolem: Custos vigilantium. Dałyby się przystósować do tego rządy moskiewskie w królestwie kongresowem. Ów Custos całkiem przypada do carewicza Konstantego, istnego odźwiernego więzień napełniających całą Polskę przy obudzonym duchu patryotyzmu.

DO DRUGIEJ WIESZCZBY.

Ojciec Marek z zakonu Karmelitów berdyczowskich, później przeor w Barze, jest osobą najpoetyczniejszą z całej konfederacyi Barskiej. Patryota, jakich mało; w rzeczach obchodzących sprawę kościoła, gorliwy do fanatyzmu; wiary najwznioślejszej i najczystszej, posuniętej do przepowiadania przyszłości, uzdrawiania chorych, wskrzeszania umarłych. W życiu codziennem surowość klasztorna ustępowała przed jego wrodzoną dobrocią serca i towarzyskością; był bowiem wesoły, pobłażający, i nigdy nie usuwał się z hucznych szlacheckich zgromadzeń, gdzie między wiwaty umiał zawsze wmięszać mądre słówko przypominające o obowiązkcah względem ojczyzny lub religii. Dla tego też noszony na rękach od drobnej szlachty, od panów ruskich obdarzony zaufaniem i używany do działań konfederacyjnych; w ciągu wszystkich prac swoich i wypraw, gotowy

zawsze do poniesienia korony męczeńskiej, pojawia się nam jak drugi Piotr Eremita, z tajstrą na plecach i kosturem w ręku, zagrzewający do tej nowej krucyaty przeciw schyzmatyckiej Moskwie. Mąż z tak silną wolą i wiarą, z tak niespracowaną czynnością, byłby niewątpliwie podniósł w opinii narodu dzieło konfederacyi Barskiej, byłby zfanatyzował całą Polskę; ależ jakie to żywioty składały tę wielką opozycyę narodu przeciw gwałtownemu wdzieraniu się Moskwy? Oto na czele stali Krasińscy (biskup i podkomorzy) z głową nabitą dumnemi planami wsadzenia na tron królewicza kurlandzkiego, męża Krasińskiej. Oto Radziwiłły, Potoccy, Pułascy, sprzysięgli na poniżenie króla i familii, bez obszerniejszych widoków ratowania Rzeczpospolitej. Oto drobniejsza szlachta, służąca jednej lub drugiej partyi: i lubo wszystkich ogrzewała równa nienawiść do Rosyi, jednak wewnętrzna niezgoda, brak jednej głowy, nigdy nie dopuściły silnego zaśrodkowania władzy. Zwyciężali Pułascy, Zaręba, Sawa, Morawski, ale poróżnie i w niepoczesnych walkach; nigdzie stanowczego kroku; wszędy kupy, nigdzie armii. Dodajmy do tego między możnymi obudzoną chętkę naśladownictwa cudzoziemców, rozpowszechniające się wyobrażenia szkół filozoficznych francuzkich; ztąd ostyganie w wierze, pogarda obyczajów narodowych. Nie dziwno nam będzie, dla czego fanatyczne kazania księdza Marka nietylko nie wywierały wpływu tak stanowczego, jak np. w czasie wojny hiszpańskiej kazania mnichów idących z krzyżem do boju; ale nawet gorszyły tych, co materyalnem okiem rozważali słabość sił konfederackich. Człowiek jak on, udając się z podobną misyą między lud jednogo z nim wyznania, byłby niezawodnie obudził ogromnego ducha; ale pod godłem złotych wolności szlacheckich, możnaż było wówczas coś takiego pomyśleć? Nie sądząc zatem człowieka podług pojęć rozwiniętych w życiu historycznem narodu, nie mogę jak tylko hołd oddać wysokiemu poświęceniu się, i widzieć w nim uosobionego ducha konfederacyi Barskiej. Wszyscy, którzy pisali o tej epoce nie oddali mu sprawiedliwości; owszem skrzywdzili naród, obdzierając go z tak poetycznej, tak szczytnej figury męczennika za ojczyznę i wiarę.

Rulhière podający to co od emigrujących usłyszał, stawia go w daleko poetyczniejszem świetle niż Wybicki i Kitowicz.

Mówi bowiem: Ojciec Marek miał około lat 45, obyczajów nadzwyczaj surowych i czystych, wyobraźni egzaltowanej, słynął z największej świątobliwości. Wyszedłszy z klasztoru na czele processyi z chorągwiami i szkaplerzami, przebiegał wsie i miasteczka ogłaszając i zachęcając do powstania. Przy oblężeniu Baru, kiedy oddział wojska miał zrobić wycieczkę, ksiądz Marek z innymi księżmi ubranymi w komże, uzbrojonymi w relikwie i przenajświętszy Sakrament, stanął w pierwszym szeregu. Wycieczka skończyła się z największą stratą dla konfederatów; lecz ojciec Marek użył tej sposobności do wyrzucenia dowódcom, iż ich niezgody nie dopuszczają błogosławieństwa niebios. I w rzeczy samej, nikt nie chciał słuchać, a każdy rozkazywał. Po kilku dniach oblężenia, Bar zdobyty został. 1200 konfederatów okuto w łańcuchy i zagnano w Sybir. Ojciec Marek wpadł w ręce zwycięzców. Postać jego święta i natchniona wzbudzała uszanowanie w żołnierzach. Jenerałowie skazali go na śmierć, żołnierze padli mu do nóg prosząc o błogosławieństwo. Wtedy zaczął im prorokować, iż ze śmiercią jego przyjdzie koniec na carstwo moskiewskie; z obawy by się to nie sprawdziło, zamknięto go do więzienia, gdzie, jak wieść niesie, miał wielkie pokazywać cuda.

Kitowicz mówi oziębłej, więcej jak polityk, niż swojego czasu kronikarz. «Miała też ta konfederacya i proroka, niejakiego Marka Karmelitę, z pobożności prawdziwej czy obłudnej (sam Bóg wie) wziętego wielce u panów ruskich, który tej konfederacyi pomyślny obiecywał skutek, i na dowód swej obietnicy pioruny i grzmoty, jako niegdyś Samuel prorok, sprowadził, albo też gdy z naturalnej przyczyny oburzone powietrze piorunem wystrzelić miało, w tym punkcie mu ordynans swój do wystrzelenia dał, i tym sposobem zaufanie swemu proroctwu zjednał. Lecz nie sprawdził, bo konfederacya zniszczoną została; sam zaś prorok Marek schwytany od Rosyan, batożkami ocięty i gdzieś do klasztoru wtrącony, z oczu ludzkich zniknął.»

Wybicki jeszcze lżej go traktuje w swoich pamiętnikach, mówiąc, iż wcale nie miał miny surowego proroka, owszem, podług przysłowia ruskiego, był cokolwiek hulaka.

Dzisiejsze pokolenie — sprawiedliwsze, a może głębiej

wnikające w ducha, umieściło ojca Marka w poczet wielkich swoich męczenników.

— Miałem objawienie, i t. d.

Prawdziwy szczegół o proroctwie znalazłem w pewnym starym zbiorze aktów konfederackich, i takowe umieszczam w wiernym odpisie:

Profesya pobożnego Marka Karmelity, który gotując się na kazanie, zamiast notaty pisma świętego, te wiersze prophetico spiritu napisał, o które gdy był od przełożonego strofowany, że się w takie rzeczy wdaje, które mogą klasztorowi szkodzić, z pokorą wymawiał się, że nie wie co pisał; który ex consilio starszych, przysiądz na to musiał że nie wiedział co pisał; i tak po egzaminowanym juramencie, te wiersze i publicum wydać kazano, których kopia tenoris sequentis:

Dotąd jest Polska berło niekwitnące,
Dotąd nie będzie wstępnie działające,
Ale jak tylko na wstępnem zostanie:
Drgną strachem lutrzy, moskwa i poganie!
Pierwsi dwaj swojej krnąbrności przypłacą,
A drudzy prawo wraz z państwem utracą.
Kościół na skale stanie się wspaniały:
Dwóch-głowny, kolor zamieny swój w biały.
Natenczas pielgrzym wielkie swoje śluby
Złoży przy grobie, Bogu trybut luby.
Niewolnik wolny będzie bez okupu,
Strzelec pozbędzie łakomego łupu —
Róża natury chłód w ciepło zamieni,
Kogut z chytrości jak wąż się wyleni,
Tak nasze runo znowu w swoje wieki.
Wieszcz opowiada czas już niedaleki.
Ale ty Polsko! po czasu niewiele
W smutnym się musisz wprzód pogrześć popiele!
Chytrzy sąsiedzi twoi ciebie zdradzą
I z wielkim ciebie mocarzem powadzą;
Z tak strasznych wojen będzie tortur wiele,
Miecz krwi niewinnej obficie wyleje;
Wiele niewinnych marnie zginie braci.
Wstyd poświęcony Bogu panna straci,
Kapłan z ofiarą przy ołtarzu lęże —
W toż licho z mnichem zakonnicę sprzęże.
Cna góra złotem otoczona kołem,
Niech ufa w Bogu, nizko bije czołem,
Bowiem najbliższą będzie strasznej burzy:
Dym ją z innemi zarówno okurzy.
Kościoły z ozdób obdarte zostaną,
Dni zgoła wszystkie płaczliwe się staną:

Lecz się Najwyższy tej krzywdy użali,
Na nich się samych to nieszczęście zwali.
Więc czyń twojemu wieczne dzięki Bogu,
Bo on im przytrze wyniosłego rogu. —
A ty, jak fenix z popiołów powstaniesz,
Całej Europy ozdobą się staniesz!

Dabitur vox, fugiet nox, etc. etc.

Te słowa wyjąłem z bardzo osobliwego listu ojca Marka, w odpowiedzi na list Branickiego, łowczego litewskiego.

«W awantury się nie wdaję, bo dekretem bozkim wygrana integritas fidei, libertatis et integritas graniciarum etiam in avulsis i od Trójcy Przenajświętszej podpisana, a ty siedź cicho do czasu; co mi doniesiono z góry, ja tobie donoszę. Dabitur vox, fugiet nox, veniet lux, et miserabit Deus super regnum Mariae Reginae Poloniarum. To ci z niebieskich ciekawości donoszę, które żadnym sposobem odrzucone być nie mogą. Ja tam będę, ty teraz bądź.»

DO TRZECIEJ WIESZCZBY.

Jako z baby bies namełł cały wór tabaki.

Całą tę powieść o młynach pustych na Rosi, a mianowicie ostatni ten wiersz, winienem opowiadaniu Seweryna Goszczyńskiego, który napisał był poemat Wernyhora (zginiony w rewolucyi) gdzie wprowadził fantastyczną scenę djabłów zamieszkujących młyny i robiących tabakę z czarownic.

Proroctwo Wernyhory. — W ustach ludu ukraińskiego, wołyńskiego i podolskiego przechowuje się od dawna proroctwo Wernyhory, kozaka rodem ze wsi Dmytrykówki za Dnieprem. Prowadził on życie tak świątobliwe, i tak wsławił się pomiędzy swoimi ziomkami proroctwy, iż lud z dalekich stron przychodził do niego, ażeby albo zasięgnąć jego rady, albo prosić o przepowiadanie przyszłości. W takich chwilach wpadał zwykle w sen magnetyczny. Po zgonie, grób jego był miejscem pielgrzymki, a w czasie ostatniej wojny tureckiej i

poprzednio jeszcze, gdy niektóre zdarzenia zdawały się być przez niego przepowiedziane, zabronił rząd rosyjski pod surowemi karami zwiedzać miejsce w którem zwłoki jego były złożone. Kary były bezkuteczne; lud, a szczególniej lud pognębiony pragnie wierzyć: pamięć Wernyhory jest ciągle w religijnem poszanowaniu. Rzecz szczególna! — Wiele jego przepowiedni spełniło się; w tych latach spełniła się jedna, tycząca się własnych zwłok jego. Wiedzieli jego współziomkowie, że przepowiedział, że prochy jego rozproszą się po całym świecie, i dlatego starannie pielęgnowano grób tego. Ale pod smętarzem płynęła rzeczka, która przed kilkoma laty tak wezbrała, iż cały smętarz zerwała i uniosła. Utwierdziło to wiarę ludu i wzmocniło pamięć proroctw, z których jedne już należą do przeszłości, inne dopiero się mają spełnić. Mamy jedno z jego podań ludu w ruskim języku spisanych, i ogłaszamy, jeźli nie jako proroctwo, to przynajmniej, jako ciekawy szereg zdarzeń w które lud wierzy. Może w sprawie ojczyzny i wolności będziemy mieli szczęście walczyć i umierać na polach nad-dnieprskich; wtenczas tego proroctwa słowa mogłyby pierś ludu nastroić do wielkich czynów i ofiar.

Wernyhora przybył do kraju polskiego z okolic nad-dnieprskich r. 1766 i osiadł we wsi Makiedonów, w starostwie kaniowskiem. Tam przepowiedział, iż wkrótce powstanie hajdamaczyzna, że już w Małorosyi lud na to się zmawia, że wielu wyginie, że kraj tamten nie zostanie hetmańszczyzną, ale powróci pod rząd polski, a za lat kilkanaście potem, będzie w mieście Kaniowie zjazd wielki, z którego umowy złe w czasie dla Polaków wynikną skutki. Gdy hajdamaczyzna powstawać zaczęła, i to przepowiedzenie pomiędzy ludem się rozgłosiło, wszędzie hajdamacy starali się schwytać Wernyhorę, lecz nigdzie znaleźć nie mogli, nawet Makiedonowa mieszkańców do ścigania go i do hajdamaczyzny namówili. Wernyhora uciekł, i skrył się w domu na wyspie rzeką Rosią oblanej, na której mieszkali sami młynarze. W owym czasie całe starostwo korsuńskie było w posiadaniu Suchodolskiego; ten mieszkając w Korsuniu, gdy się dowiedział że Wernyhora ukryty u młynarzów, był u niego sam na wyspie, i gdy go o rozmaite rzeczy wypytywać zaczął, on mu odpowiedział:

1. Miejsce to przez młynarzów na wyspie zamieszkane, będzie ozdobione kosztownemi murami i wspaniałym pałacem, do którego się zjedzie dwóch monarchów.

2. W kraju polskim niezabawem zrobi się wielka wrzawa, brat zmaże krwią brata ręce swoje, będą rabunki, obcy żołnierze wiele złego nabroją, i wieże napełnią niewolnikami. Potem z trzech stron wielka część kraju rozerwaną będzie.

3. Polacy, w nienawiści ku swemu królowi, długo będą się sprzedawali; nakoniec zagorze pożar wojny, i wielka część Polski rozebrana będzie na trzy części.

4. Powstanie w kraju człowiek mały, bitny, ale nie takiej siły aby zwyciężył nieprzyjaciół; ten pojmany będzie, a kraju polskiego reszta rozebraną zostanie. Wisła pod stolicą krwią się zafarbuje, a król jej nie umrze w swej stolicy.

5. Naród jeden daleki, zamordowawszy króla powstanie, tak iż wielu królom i książętom strasznym się stanie; zgnębi go jedno królestwo, a na odebranym od niego kraju małym, powstanie część Polaków i rząd nowy.

6. W roku trzecim po powstaniu Polaków będzie w wielkiej części trwała straszna wojna. Posunie się później mocarz z zachodu, i na czele narodów pójdzie na wschód i Smoleńsk zdobędzie i Kreml obali; ze szczytu wielkości strącony, wygnany zostanie na wyspę.

7. Będą się zjeżdżać monarchowie i radzić, a ostatni zjazd będzie w Rusi Czerwonej, ale z układu monarchów nic do skutku nie przyjdzie. Będą się kojarzyć związki, aby Polskę utworzyć, ale te zrazu skutku nie wezmą, i nie udadzą się. Przyjdzie do wojny z Turkami, którzy pokonani zostaną, i Rosya jak koń rozhukany pomknie się w głąb Turcyi, lecz potem się Turcya pokrzepi. Polacy zaczną powstawać, wojownik wielki z narodem bitnym, zwycięży Rosyan, i wtenczas naród polski mocniej powstawać zacznie, wpadnie potem na obóz moskiewski pod Konstantynowem, na jarze Hanczarycha zwanym, Moskalów zbije; bić już będzie do mogił Perepiata i Perepiatychy, gdzie drugi obóz moskiewski stanie, wszędzie ścieląc trupem moskiewskim. Przyłączy się do Polaków Turczyn i Anglik, pójdą przez Kijów; zawalając Dniepr trupami moskiewskiemi, zajdą

w daleki kraj moskiewski, i w końcu powitają Moskale Polaków jako braci: z nieprzyjaciół zrobią się przyjaciele.

8. Polski kraj zostanie w dawnych granicach za pomocą Turków i Anglików.

9. Mały i mało znany naród wystąpi i zjedna sobie znaczenie w Europie.

10. I Małorosya szczę'cia zażyje; lecz nie dojdzie dla niej czas w którym wielkie zajdą rzeczy: mówiłbym o nich, ale się boję, aby Dniepr ze swoich nie wystąpił łożysk.

11. W znacznej części świata odmieni się zewnętrzne nabożeństwo, nastaną nowe rządy, stare zmienią się, albo upadną, i szczęśliwość trwać będzie przez wiele lat.

Panować to tak dobrze wam — wy królewienta —

Chmielnicki zawołał do wojewody Kisiela, który warunki ugodne podawał od króla: «Korol jako korol, ale wy korolewienta szlachta broicie mnoho, i nabroiliście.» —

Mówiąc: płaczcie nad sobą, jam już nie tułaczem —

Kiedy Szymona Konarskiego wieziono na miejsce stracenia, na wzgórzu za Wilnem mnóstwo kobiet, powiewając chustkami, przeciągłym jękiem żegnało męczennika — wtedy on podnosząc z sanek nogę okutą ciężkiemi łańcuchy i wstrząsając niemi zawołał donośnym głosem: Nie nademną płaczcie, bo ja za chwilę wolnym będę, ale nad sobą! —

OBJAŚNIENIA DO EPILOGU.

Gęśl przedbojańską owi trzej oracze, i t. d.

Grecy zabrali byli w niewolę trzech cudzoziemców, którzy zamiast oręża mieli gęśle. Cesarz zapytał ktoby oni byli? My Słowianie, odpowiedzieli — mieszkamy w najzachodniejszej stronie morza Baltyckiego; han awarski przysłał dary do naszych starszych i żądał wojska przeciw Grekom, starsi odpowiedzieli że dać nie mogą z przyczyny wielkiej odległości.

Han bez względu na świętość poselstwa nie puszczał nas do ojczyzny. Słysząc o przychylności Greków wynaleźliśmy sposób dostania się do Tracyi. Nie znamy oręża, tylko gramy na gęślach; nie masz w ziemi naszej żelaza. — Cesarz dziwił się skromnym obyczajom tych ludzi, ich pięknej postaci i ugościł, i podał sposobność powrócenia do ojczyzny.

ŚWITEZIANKA.

FANTAZYA DRAMATYCZNA.

OSOBY.

Książe.
Janusz, syn jego.
Maryla.
Donna antonia.
Maska.
Joasia.
Fani.
Królowa Palmiry.
Pokojowiec.
Rybak.
Goście płci obojej w maskach i bez masek.
Służba dworska. Orszak królowej. Okręt.

(Scena nad brzegiem jeziora, i w zamku księcia.)

PROLOG.

(Wieczór jesienny — księżyc wschodzący nad borem oświeca romantyczną okolicę jeziora Świteź. — W oddaleniu widać na wzgórzu wspaniały zamek.)

PANICZ w zielonym stroju myśliwskim, z strzelbą na plecach, wypada zdyszany.

Przeciem się wyrwał z salonowych nudów!
Serce mi biło tak do twoich cudów,
Bracie Świteziu! — a dusza tak rzewnie
Do swej Maryli tęskniła, że pewnie
Byłbym gdzieś zemdlał śród moich mentorów:
Starych kuzynek i ojców przeorów — —
Bo też jak na złość obsiedli mię w kącie,
Prawiąc przestrogi: jak się mam zachować
W podróży; jak się z pieniędzmi rachować,
I, Bóg wie nie co — a na horyzoncie
Słonko jesienne coraz nikło, nikło — —
Szczęściem z podwórza kilka głosów krzykło:
«Kot! kot! —» jam skoczył ciotkom przez robrony —
— Hajże go! hajże! i jak oparzony
Torbę myśliwską porwał, zdjął rusznicę,
I, co tchu biegłem na te trzęsawice,
Pożegnać Świteź — pożegnać Marylę — —
Z całej wieczności dnia, zaledwo tyle
Mogłem oderwać, by w tem krótkiem mgnieniu
Nabrać w pierś życia na trzy długie roki,
Co dzień malować w tęsknem przypomnieniu:
Marylę — Świteź — ten wieczór — obłoki.
Przeklęty odjazd! tak mi nie na rękę —
Ale cyt —

(Przysłuchuje się.)

Ona! — Widzę jej sukienkę
Za krzaczkiem łozy — Marylko! —

DZIEWCZYNA, wybiegając.

Ach! kto ty?

PANICZ.

To ja, kochanie.

DZIEWCZYNA, rzucając mu się na szyję.

Jasieńko mój złoty.
Czemu tak późno? miesiąc już nad lasem —
Czy Jasio kochać nie przestał mię czasem?

PANICZ.

Och, nie mów tego — jam w takiej rozpaczy!

DZIEWCZYNA.

Ty mój kochanku?! — Czy nie masz Maryli,
Byś smutek wylał? — wylej-że go, wylej! —

PANICZ.

Nie śmiem —

DZIEWCZYNA.

I czemu?

PANICZ.

Może nie przebaczy
Maryla?

DZIEWCZYNA.

Wszystko! oprócz jednej zdrady.

PANICZ.

O to się nie trwóż gołąbko!

DZIEWCZYNA.

(Wpatrując się w niego.)

Jakiś blady!
Czy nie udało ci się polowanie?
Kaczki nie ciągły, lisa-ś nie wytropił?
Możeś nie dospał, nie dojadł, nie dopił?
Może ci się sprzykrzyło już kochanie? —

PANICZ.

Nie, nie, nie!

DZIEWCZYNA.

Więc cóż! — Dawniej to bywało
Miałeś serce na dłoni —

PANICZ, z westchnieniem.

A jednak kłamało!

Wstydzę się —

DZIEWCZYNA.

Jakto? — Więc wszystkie zaklęcia
Na stałość, wierność, były chytrem sidłem
Na ułowienie prostego dziewczęcia?
A jam myślała, że przy twoim boku
Jak pod anielskiem bezpieczno mi skrzydłem? —
Och! Och! (płacze)

PANICZ.

Ty płaczesz? zatrzymaj łzę w oku
Na prawdziwsze nieszczęście.

DZIEWCZYNA.

O, nie może
Być już prawdziwsze!

PANICZ.

A ja się założę
Że jest —

DZIEWCZYNA.

Dobij mię!

PANICZ.

Cokolwiek krwi chłodnej,
A powiesz sama, żem litości godny
A nie wyrzutów.

DZIEWCZYNA.
(Ocierając oczy.)

Słucham.

PANICZ.

Więc się dowiedz
Żem ja nie sługa, nie ubogi łowiec — —
Wszystko udanie — jam książęce dziecko,
Ot, z tego zamku! — Przybrałem prostaczy
Ubiór, bom sądził, że trudno inaczej
Trafić do ciebie —

DZIEWCZYNA.

Trafiałeś zdradziecko!

PANICZ.

Prawda! lecz zdrada łatwo się wybaczy,

Kiedy na końcu po miłosnej próbie
Miałem cię zrobić księżną —

DZIEWCZYNA.

Prób nie lubię.
Czemuś odrazu prawdy nie powiedział,
Byłabym nigdy w ten niezmierny przedział
Nie ciskała miłości!

PANICZ.

Siłą woli
Młodzieńczej zgładzę przedział między nami:
Tatuś mój dobry na wszystko pozwoli,
Wreszcie majątek za trzy lata da mi
Cały, ogromny; wtenczas ślub nas złączy.

DZIEWCZYNA.

Zobaczysz Jasiu, że to źle się skończy —
Trzy lata! Serce zapragnie odmiany.
Ty panicz — w samych roskoszach chowany,
Zdepcesz mię, trawkę, gdy po kwiat różany
Sięgniesz. Na Litwie pełno ślicznych róży!

PANICZ.

Ej, co mi Litwa! — od jutram w podróży;
Na trzy lat jadę w zagraniczne kraje
Poznać, co robią inne tam narody.
Na myśl rozstania serce mi się kraje!
Ale cóż począć! trzeba się do mody
Stosować w świecie. Ztąd odgadłaś smutek
Na mojem czole. Żegnać się przychodzę —
Jadę przed wschodem.

DZIEWCZYNA.

Myśl tam o niebodze.

PANICZ.

Tobą żyć będę.

DZIEWCZYNA, zrywa pęk kwiatów.

Ten pęk niezabudek
Weź na pamiątkę. — One ci przypomną:
Że tu Maryla z miłością niezłomną
Czeka na ciebie. —

(Z prośbą.)

Przynajmniej co doba
Raz, spojrzyj na nie. Lecz, jeźli przypadkiem
Myśl twoją inna zaprzątnie osoba,
Bukiet się zmniejszy zaraz jednym kwiatkiem —
A ja z powrotem kwiatuszki policzę. —

PANICZ, wesoło.

Dowcipny pomysł! kontrola w miłości —
Nie bój się! wszystkie powaby dziewicze
Tyle obchodzą mię, co przeszła zima —
Jasio cię kocha — Janusz ci dotrzyma.

DZIEWCZYNA, chwiejąc głową.

Trudno! —

PANICZ.

Nie wierzysz?

DZIEWCZYNA.

Już wierzę. My prości
We wszystko wierzym — lecz wy, tak niestali —

PANICZ, dobywając noża.

Więc ci przysięgnę na ostrzu tej stali,
W obliczu nieba, tych gwiazd —

DZIEWCZYNA, kładąc mu rękę na ustach.

Ciszej, ciszej!
W złą wymówisz godzinę, duch usłyszy
Jaki piekielny, zapisze przysięgę —

PANICZ, z wzrastającym zapałem.

Więc ci na piekieł przysięgam potęgę.

DZIEWCZYNA.

Jasiu, mój Jasiu! czy słyszysz? — szum głuchy
Między drzewami — na wodach? — to duchy
Łowią w powietrzu słowa. — Ach, ja zginę
Z tobą Jasieńku, gdy zdradzisz —

PANICZ, z mocą.

Nie zdradzę.
Umiem dotrzymać, jeźli się usadzę!

DZIEWCZYNA.

Pamiętaj! —

PANICZ, obejmując za szyję.

Teraz pierwszego całuska. —

DZIEWCZYNA.

Ot masz — — Bywaj zdrów!

PANICZ.

Zaczekaj —

DZIEWCZYNA.

Ha! pluska

Śrebrzysta pręga przez wodną głębinę —
Bądź zdrów! —

PANICZ.

Nie puszczę.

DZIEWCZYNA, wskazując ręką do góry.

Widzisz te mgły sine
Nad lasem —?

PANICZ, odwraca się od niej — ona znika.

Widzę — bardzo osobliwe!
Niby moskiewski rysak, długą grzywę
Na wiatry puścił; w sankach siedzi gwiazda,
Księżyc jak zwoszczyk wiezie — to mi jazda!
Takbym chciał ciebie powozić, ty rybko!
Nieprawdaż? — mów-że —

(Okręcając się w kółko.)

Znikła — Marylo!! — choć jedno ściśnienie! —
Milczy — figlarka zręcznie psoty płata — —

(Patrzy na jezioro.)

Nigdzie ni słychu — jezioro w pierścienie
Rozpryska; czarne krzyżują się cienie,
I coś tam w bieli nad falmi ulata —

(Oddala się wolno w zamyśleniu.)

Co też się stanie z nami, za trzy lata?! —

SCENA PIERWSZA.

BAL W PAŁACU KSIĘCIA.

(Salony oświetlone — marmurowe kolumny — ściany źwierciadlane. W głębi na wywyższeniu muzyka. — Goście przybywają: jedni w zwyczajnych balowych ubiorach, drudzy w maskach tworzących historyczne grupy. Wesele krakowskie — Górale — Kozaki — arlekiny — i różnego koloru domina. Po lewej stronie grupa mężczyzn; po prawej Janusz, przy drzwiach szklannych, prowadzących na taras, stoi odwrócony i patrzy na wschodzący księżyc nad jeziorem.)

LEWA STRONA.

PIERWSZY MĘŻCZYZNA.

Coraz przybywa gości — jakie stroje:
Pióra, brylanty, tyftyki, zawoje —!
Sadzi się szlachta.

DRUGI.

W naszej okolicy
Bal niesłychany; nawet i w stolicy
Sam król nie mógłby zawsze tak wystąpić.

TRZECI.

Stary też książe lubił ciągle skąpić!
Dziś za to —

CZWARTY.

Panie! Dogódź ciekawości:
In gratiam czego te okazałości?

TRZECI.

Jak to? pan nie wiesz?

CZWARTY.

Nie wiem, choć się bawię.

TRZECI.

Wszak książe Janusz wrócił! Trzy lat prawie
Bawił w Wenecyi, Paryżu, Londynie —
Patrz, stary książę rozpływa się w synie.

PRAWA STRONA.

(Janusz zamyślony, książę zbliża się do syna.)

KSIĄŻĘ.

Co ci to dziecko? jak nie swój wyglądasz —
Mów, mów, czy jeszcze czego po mnie żądasz?
Uczynię —

JANUSZ.

Papo! tyś się wydziedziczył
Dla mnie z majątku, z władzy; tyś wyliczył
Sumy w gotówce, zbierane tak skrzętnie —
Trzebaż mi więcej?

KSIĄŻĘ.

Czemuż tak niechętnie
Przymujesz gości? grzecznym być wypada
Wszak to sproszona synu, maskarada —
A nie za pieniądz —

JANUSZ.

Owszem, mnie to bawi —

KSIĄŻĘ.

Bądź-że, bądź wesół —

JANUSZ.

Niech Papa zostawi
Mnie choć na chwilkę: spazmy mię tak męczą! —

KSIĄŻĘ, z uśmiechem wskazując na kobiety.

Widzisz, kobietki do ciebie się wdzięczą —
Jedna w stroju wieśniaczki mruga na cię.
Bierz się, bo żwawa. (Odchodzi.)

JANUSZ.

Z Bogiem stary gracie:
Tak znudził! wszystko nudzi mię tu razem!
Kobiety zimne; stokroć lepiej z głazem
Mieć do czynienia niż z szlachcianką, co to
Na cztery nogi kuta twardą cnotą —
(Widząc zbliżającą się wieśniaczkę.)
Czegóż ta znowu? zaczepię ją —
(Głośno.)
Masiu!
Daj rączkę — zgadnę kto jesteś? —

DZIEWCZYNA.

Ej Jasiu!

Próżna fatyga —

JANUSZ.

Po błękitnych oczach
Jak niezabudki, po jasnych warkoczach
Wniósłbym, że jesteś —

DZIEWCZYNA, przerywając.

Lubisz niezabudki?

JANUSZ.

Dosyć.

DZIEWCZYNA.

Nosisz je?

JANUSZ.

Był raz moment krótki,
Żem je na sercu nosił. — Czcze wybryki!
Gust taki nie wytrzyma dziś krytyki.

DZIEWCZYNA.

Doprawdy —? Ni jednego nie masz kwiatka?

JANUSZ.

Czy to gra w niezabudki?

DZIEWCZYNA.

Nie. — Zagadka.

JANUSZ.

Zagadka i maseczka. — Sęk dwojaki.

DZIEWCZYNA.

Czy lubisz wieczór?

JANUSZ.

Jak który —

DZIEWCZYNA.

Ot taki
Jak dziś jesienny? —

JANUSZ.

Lubię, gdy wesoło
Schodzi mi —

DZIEWCZYNA, wskazując ku jezioru.

Ot tam? —

JANUSZ, pomięszany.

Tam? Tam? —

DZIEWCZYNA.

Ha! trzesz czoło,
Jakbyś przywołać chciał pamięć leniwą?

JANUSZ.

O, nie — tak — temu trzy lata — dość żywo·
Jedna mi scena odbiła się w duszy —
(Zamyśla się — dziewczyna znika w tłumie.)
Ej co tam myśleć! — Taniec mię ogłuszy —
Czy tańczysz Masiu? stańmy w pierwszej parze —
(Nie postrzegając jej.)
Znikła jak widmo. —Same dzikie twarze —
Nie ma w czem wybrać; z figur, czyste pniaki —
Głosy piskliwe, i ręce jak raki —
W grze hazardowej mógłbym mieć rozrywkę —
Lecz szlachta goła: zgra się, stawi dziewkę
Ze wsi, na kartę — nie ma szansy żadnej —
(Z głębokiem westchnieniem.)
Biedny ja książę, pan szerokowładny! —

LEWA STRONA.

INNA GRUPA MĘŻCZYZN.

PIERWSZY.

Otóż mospanie odprawił ją z kwitkiem,
Choć się mizdrzyła —

DRUGI.

Snadź znudził się zbytkiem —
Dziśbym nie poznał. — Chłopak był jak róża;
Teraz twarz blada, oko się zachmurza,
Jakby w nim wszystkie wygorzały żądze —
O już to nie ten Janusz co był, sądzę.

PIERWSZY.

Obce powietrze.

TRZECI.

Mówią, że mozoły
Książkowe.

CZWARTY.

Ależ jaki nie wesoły!
Usiadł by Sułtan, nudzi się — ach, ziewa!

DRUGI.

Po Rzymach, Wiedniach, zwyczajnie tak bywa.

CZWARTY.

Wspaniała feta, ale brak zachęty;
Gospodarz stary, syn bardzo nadęty.

DRUGI.

Snadź nie znajduje dla siebie kompanii:
Wszystkie piękności nasze w czambuł gani.

PIERWSZY.

Ba, nie! — Widzicie jak ramię pod ramię
Rad szarmantuje aksamitnej damie,
Z alabastrowym gorsem; kibić cudna!
Szkoda, że maska kryje ją obłudna —

DRUGI, z ironią.

Jeżeli szpetna, nie zdejmie jej snadnie;
Jeźli przeciwnie, ręczę, wszystko spądnie.

TRZECI.

Teraz w tłum znikli — .

PIERWSZY.

Wiąże się intryga.
Do budoaru wchodzą — rączka miga
Od twarzy. — Patrzcie na przeciw zwierciadła:
Z tajemniczej piękności maska spadła.

SCENA DRUGA.

GABINET KSIĘCIA JANUSZA.

(Janusz wprowadza Antonię, która trzyma maskę w ręku.)

JANUSZ.

Kocham Siniorę, kocham jak szalony.

ANTONIA.

Mamże uwierzyć?

JANUSZ.

Na ślepo.

ANTONIA.

Androny!
Czy mi to jeden przysięga, a zdradził.

JANUSZ.

Jam się na wieki kochać cię usadził.

ANTONIA, wskazując na zwitek w ręku Janusza.
A toż co w ręku? czy bilecik słodki.

JANUSZ.
Wiersze — w zapale złożyłem dwie zwrotki.

ANTONIA.
Jesteś wierszopis?

JANUSZ.
O gdzie tam! od wczora
Cierpię splin jakiś — serce, głowa chora,
Szukały ulgi —
(Z uniesieniem lirycznem.)
Ale ty, o bóztwo!
Budząc w mej piersi takie uczuć mnóstwo,
Wyrzecz: że kochasz — zostanę poetą!

ANTONIA.
Upadam do nóg! — pod smutną planetą
Poeci wszyscy gdzieś rodzić się muszą:
Na sentymenta mózgi sobie suszą;
Każdemu trzeba kochanki z księżyca —
W słowach i czynach zawsze tajemnica,
Nic, prosto z mosta — a to, na śmierć nudzi,
Nie wiem jak kogo, ale mnie. — Do ludzi
Trza być podobnym, to może się zyska;
Lubię galanta kiedy szablą błyska
I laury zbiera choćby na sejmikach —
Amorki rade siadać na wąsikach.

JANUSZ, zdejmując kord ze ściany.
Więc chcesz? do korda zaraz się przywiążę.
(Na stronie.)
Rymy na potem.

ANTONIA.
Prześlicznyś mój książę!

JANUSZ.
I tyś przecudna! Ta szata balowa
Tak ci do twarzy! — Żaden się nie chowa
Kształt pod fałdami: wydatne, choć skryte;
Taką gdzieś z morza wyszła Afrodyte.

ANTONIA.

Nigdy tak książę nie mówiłeś grzecznie —
Czy mię przestajesz kochać?

JANUSZ.

Kocham wiecznie!
I, nie od wczora kocham. Jak czas leci!
Będzie rok temu — pamiętam, w Wenecyi
W świętego Marka kościele, o mroku
Chodzę jak błędny — a czucia w natłoku
Nigdzie nie mogą wylać się, zawisnąć —
Szalony! chciałem choć posąg przycisnąć
Pierwszy lepszy do serca — byłby ożył.
Dość, żem całunek, patrz, ot taki —

(Całuje ją.)

złożył
Jakiemuś Doży. — Gdy w tem, za kolumną
Spojrzę — ktoś klęczy schylony nad trumną:
Kobieca postać w kirze — by Kanowy
Dłutem, wykute rysy ślicznej głowy
W promyku się kąpały, co z szyb padał;
Obraz ten, jakżeż w duszy mi zagadał! —
Toś ty, Antonio była! — Próżnom potem
Szukał za tobą wszędzie, sypał złotem,
By ślad twój odkryć, wiedzieć choćby imię —
Traf niespodziany! spotykam cię w Rzymie
Na balu, pomnisz — u ambassadora —
Wszystko gasiłaś owego wieczora
Wdziękiem, dowcipem; jak słońce na niebie
Świat obracałaś cały w koło siebie.
A teraz znowu — tu, na Litwie naszej,
Czy ty Sylf jaki? czy ciebie lot ptaszy
Przeniósł przez Alpy, śniegi, o mil tyle,
Na mój rodzinny zamek, w jedną chwilę?
O, nie chcę badać czar-li to, czy cudy?
Dość, że cię kocham, szaleniej niż wprzódy —
Czemu? Sam nie wiem — czy to wspomnień wina,
Czy żeś piękniejsza niżli każda inna?

Trudno rozstrzygnąć — dosyć że goreję.
Miłość jest ziarnko, które wiater sieje
W sercu, by rosło — niechże sobie rośnie.
Bez ciebie, cóż bym znaczył w mojej wiośnie?!
Dnie by się wlokły, długie zimne, mgliste,
I nagie, jak te kasztany bezliste —
W śnie mego życia ty mi bądź marzeniem,
Duszy daj nieśmiertelność twem spojrzeniem.
Obok ciebie zapomnę świat i wszystko —!
Mów co! — Niechaj cię słyszę — tu — tu — blisko.

ANTONIA.

Książę każdą tak kochasz?

JANUSZ.

O, być może.
Kocham brunetkę, lecz w jasnym kędziorze
Gustuję także. Ze mnie istna pszczółka:
Dla trochy miodu ssę z każdego ziółka.
Lubię ogień ócz czarnych, błękit jasnych;
Zapału nie zamykam w sferach ciasnych —
Róża uśmiecha mi się — lilia wabi
Atłasowym połyskiem swych jedwabi.
I tyż to zdradą nazwiesz? przywidzenie!
Wszystkie te cuda, wierz mi, w jednej cenię:
Tyś jest tą jedną.

ANTONIA.

Zwolna! jam zazdrosna.

JANUSZ.

Tem lepiej.

ANTONIA.

Miłość nie ujmie mię sprosna.
Kto kocha niech się żeni.

JANUSZ.

Chcesz? więc zgoda.

ANTONIA.

Ale natychmiast.

JANUSZ.

Tak nagle? Ej szkoda —

ANTONIA.

Natychmiast, mówię.

JANUSZ, do siebie.

Naciera! Zważ przecie —

ANTONIA.

Zważyłam.

JANUSZ.

Wszakże —

ANTONIA.

Tacy to na świecie
Wszyscy mężczyźni! — Szalone z nas głowy,
Gdy możem wierzyć w ich szał romansowy:
W te piękne słówka, pajęcze sidełka;
W te szczytne cnoty, zwiększające szkiełka.
Małżeństwo, kamień to na nich probierczy:
Potrzyj nim serce, połysk przeniewierczy
Zniknie, a miłość owa złoto-szczera,
W podły kruszec się zmieni —

JANUSZ, oddychając.

Et cetera —
Podąsałaś się —

ANTONIA.

Czyż nie mam słuszności?
Powiedz, nie pierwszyś mówił o miłości?

JANUSZ, do siebie.

Łapie za słowa —

(głośno) Potrzebneż te pęta?
Te śluby!

ANTONIA.

Miłość tak prędko poczęta,
Lekka jak ptaszek, oknem się wychwyci —
Więc ją za łapkę przywiązać na nici.

JANUSZ, przyglądając się jej z boku.

Śliczna z profilu! połknąłbym ją całą —

ANTONIA.

Zdradzonej srodze cóż teraz zostało?
Śmierć jedna! jeśli litości masz trocha,
Odbierz mi życie —

JANUSZ.

Patrzcie! ona szlocha —
Widok ten zawsze napełnia mię trwogą.
Za człeka bez honoru wziąść mię mogą —
Lubko! uściskaj na zgodę — ot kwita.
Żenię się z tobą. — Jak łania kobieta.

ANTONIA.

Więc mię na prawdę kochasz książę?

JANUSZ, żartobliwie.

Muszę;
Niewiasta tak jak szatan, bierze duszę.

ANTONIA.

Kiedyż wesele?

JANUSZ.

Nie czas zwijać żagle —
Jeźli mam głupstwo robić, zrobię nagle;
— Choćby dziś o północy, choćby we śnie —

ANTONIA.

Ten raj osiągnąć nigdy nie zawcześnie —

JANUSZ.

O, w samej rzeczy.

ANTONIA.

Bądź zdrów! —

JANUSZ.

Służę tobie.

ANTONIA.

Zostań! — za chwilę w weselnej ozdobie
Ujrzysz mię tutaj. —

(Odchodzi.)

SCENA TRZECIA.

JANUSZ, sam.

Cóż ze mną się dzieje?
Mnież-to małżeńskie przechodzić koleje?
Mnie się żenić dziś jeszcze? — Tom się złapał!
Mój Boże! gdzie nas nie prowadzi zapał.
Trzeba się było uprzeć — odpowiedzieć —
Teraz się żeń braciszku — z kim? nie wiedzieć.

Awanturnica, z za świata gdzieś Włoszka,
Widziałem ją w Wenecyi, w Rzymie troszka.
Zczarowała mię — prawda, trudno taić —
Ha! do wszystkiego trza się przyzwyczaić;
Człek się na męża z czasem usposobi —
Kto zakochany, sam nie wie co robi!
Wreszcie i pora zarzucić kotwicę
Na morzu szaleństw, zakląć nawałnicę,
By nie miotała od rączek do rączek,
Od ust do ustek i z pączka na pączek -

(Dzwoni, wchodzi pokojowiec.)

Dzisiaj ślub biorę.

POKOJOWIEC, zdziwiony.

Jasny Pan ślub bierze?!

JANUSZ.

Leć mi natychmiast — wiesz, do Monsieur Léger,
Który z Warszawy przywiózł tu towary
Na te festyny. — Niech mi fermoary,
Pierścienie, kolce, tyftykowe szale,
I wszystko zniesie co tylko ma, ale
Najkosztowniejsze, i w najlepszym smaku —
Rozumiesz —

POKOJOWIEC.

Lecę.

JANUSZ.

Najpierwsza w orszaku
Dumnych piękności naszych musi świecić;
W przygaszonych rywalkach zawiść wzniecić:
By mdlały, mówiąc: Kocha ją szalenie!
Jakie brylanty, szale, i pierścienie!
Śpiesz tylko —

POKOJOWIEC, wracając.

Jasny Panie, w przedpokoju
Jakaś kobieta w masce, czarnym stroju,
Chce się widzieć —

JANUSZ.

Kobieta? O, prosić —

SCENA CZWARTA.

JANUSZ. — Maska w czarnem domino.

JANUSZ.

Jednak z tych wizyt mogłaby źle wnosić
O mej stałości — nuż łapkę zastawia?
(Postrzegając wchodzącą.)
A toż co znowu za cudo się zjawia?

MASKA.

Witam księcia Janusza.

JANUSZ.

Uniżony —

MASKA.

Moim widokiem zdasz się być zdziwiony —
Czy nie poznajesz?

JANUSZ.

Wyznaję otwarcie,
Że w tym stroju nie mogę —

MASKA.

O lamparcie!
Czyć wywietrzała tak prędko z pamięci
Owa maseczka u księżny Walencyi,
Zawsze na balach w różowem domino —
Coś ją tak prześladował — pomnij ino —
Coś za nią szalał przez całe zapusty;
Rywalizował z tobą Anglik tłusty.

JANUSZ.

O, teraz przypominam: piękność rzadka,
A zawsze tajemnicza, jak zagadka;
Figurka mała, żywa i zgrabniutka —
Nigdym nie widział więcej prócz podbródka
I oczek. — Jakie oczki! jaka rączka!
Już na wspomnienie pali mię gorączka,
O, byłbym za nią piekłu przedał siebie!
Z taką kobietą wszędzie masz jak w niebie.
Tylko, że nazbyt noska zadzierała —
Jak mówią, ma być siostrą kardynała.

MASKA.

Może się zmiękczyć.

JANUSZ.

O, nie spuści z tonu

(Melancholicznie.)

Gdybym był królem, wzniósłbym ją do tronu.

MASKA.

Książę jak widzę, nie w swoim humorze —
Mów, czy nie jakie zmartwienie broń Boże?

JANUSZ.

Żenię się —

MASKA.

Żenisz? Więc mamy cel jeden —
Owa zagadka, jak mówisz — ów Eden —
Której wspomnienie dotąd cię czaruje,
Ja jestem! —

JANUSZ, zmięszany.

Żarty.

(Do siebie.)

O nieba! zgaduję:
Bóg mi zesyła Anioła w złym razie —

(Przypatrując się.)

Poznaję ją po szyjce, po wyrazie
Ócz dużych; kibić i rączka ta sama
Dla którejbyś popełnił grzech Adama.

MASKA.

Kochasz mię jeszcze?

JANUSZ.

Mógłżebym się zmienić?
I, gdyby nie to, żem przyrzekł się żenić
Z inną —

MASKA, ciągnąc go na sofę.

Usiądźmy, tak rozmawiać lepiej —
Może też twoja pamięć się pokrzepi,
I przypomnisz —

JANUSZ.

Cóż, proszę?

MASKA.

Pomódz chcę ci —

(Wpatrując się w niego.)

Czy nie pamiętasz? jaki frant z Waszeci!
Przecież na balu u księżny del Rocca —
Sama noblesa była tam wysoka.
Bawiono się wybornie aż do świtu;
Miałam domino na sobie, jak i tu,
Domino czarne; poznałeś mię zaraz,
I gdy dla chłodu wybiegłam na taras,
Tyś przyszedł — w rękę obrączkęś mi włożył —

JANUSZ.

To prawda.

MASKA.

Ślubną.

JANUSZ.

Dziś bym się założył
Żeś jest ta sama.

MASKA.

Widzisz, że nie kłamię —
A potem, potem wziąwszy mię pod ramię,
Recytowałeś: Jam jest syn książęcy,
Mam kilka zamków, mam dusz sto tysięcy
W głębokiej Litwie i na Ukrainie;
Jeziora, sady, knieje i pustynie
Takie rozległe, że najchyższy sokół
Za tydzień by ich nie obleciał w okół.
Dalej: Tyś we mnie wznieciła potężną
Miłość — jam książę — chcesz, zrobię cię księżną;
I gdybyś kiedy, przez kaprys miłości,
Zachciała dzielić ze mną te wielkości,
Ową obrączkę pokażesz mi złotą,
Słowa moje niezłomne. — Książę! oto
Obrączka twoja —

(Pokazuje obrączkę.)

JANUSZ.

Trudna, trudna rada,
Już teraz inna to słowo posiada.

MASKA.

Pierwsza przysięga zawsze więcej znaczy.

JANUSZ.
I cóż mam począć? — Widzisz, jam w rozpaczy!
Każdy twój wyraz sztyletem mię rani —

MASKA.
Zrywasz? —

JANUSZ.
Niestety!! —

MASKA.
Odpychasz?

JANUSZ.
Ach! Pani! —

MASKA.
Jakiż koniec!

JANUSZ.
Sam nie wiem —

MASKA.
A więc idę
Na świat cały roztrąbić twą ohydę!
Niech wszyscy wiedzą w stolicy, w powiecie:
Że kobieta u ciebie mniej, jak śmiecie,
Które wyrzucasz ze słowem na wiater,
Ni drugi Foblas romansów bohater.
Cóż, że nieszczęsna robi ci wyrzuty?
Śmiejesz się, z uczuć wznioślejszych wyzuty:
Bo wiesz, że słaba i niedoświadczona
Z nożem nie przyjdzie gadać ci do łona —
Gdybym mężczyzną była, wierz mi, za nic,
Za wszystkie mitry i włości bez granic,
Które posiadasz, nie chciałabym panie,
Być w twojej skórze —

JANUSZ, zniecierpliwiony.
Amen, niech się stanie.

MASKA.
Gmin by jak zdrajcę wytykał publicznie —

JANUSZ.
Żenię się z tobą — czy słyszysz?

MASKA.
To ślicznie!
Więc zgoda z nami. Teraz na podziękę
Żegnaj kochanku. (Całuje go.)

JANUSZ, zatrzymując.

Skończ przecie tę mękę —
I odsłoń maskę: niech przed ożenieniem
Wiem, kogo ślubym przykuwam pierścieniem.

MASKA.

W miłości, mówią, dobra tajemnica —
Dziś, o północy maska spadnie z lica,
Ujrzysz mię — tylko nie tak piękną może,
Jak sobie wyobrażasz.

JANUSZ.

O to się założę,
Żeś piękna — jednak w tak stanowczej chwili
Chcę coś wiedzieć o tobie.

MASKA.

Jam z Sewilli —
Rodziców nie mam, tylko brat kardynał
Mną cię zajmuje: wielki oryginał;
Wyobraź sobie, chciał mię do klasztoru
Zamknąć, lecz życie przeniosłam u dworu.
Zresztą mój żywot wcale nie ciekawy:
Podróże, bale, teatra, zabawy —
Cóż cię mam nudzić? Adieu mój kochanku,
Za chwilę ujrzysz mię w weselnym wianku.

(Odchodzi.)

SCENA PIĄTA.

JANUSZ, sam.

Otóż mam i dwie żony! — Jeźli dalej
Wszystko, com kiedy kochał tu się zwali,
I przy lichwiarskim każda z nich stoliku,
Za drobne grosze umizgów bez liku,
Zechce mi ważną odpłacić monetą,
Mówiąc: Książę ze mną się żenisz — mnie to
Pierwszej przysiągłeś, ot, ten uschły kwiatek —
Dałeś mi w wiecznej miłości zadatek —

Jeśli tak każda przyjdzie — istny spisek!
Żon więcej znajdę niż prorok hurysek —
(Do wchodzącego pokojowca.)
Co powiesz?

POKOJOWIEC.

Jakaś kobieta nieznana
Ten list przyniosła do Jasnego Pana.

JANUSZ, rzuca okiem na podpis.

Pewnie słodki bilecik — podpis Fani —
Czy nie ta, com najdłużej szalał dla niej?
Czytajmy:

«Książę! uciekłam od świata
Od ciebie mię klasztorna dzieli krata;
Lecz pierś wstrząsają dawne niepokoje,
Jak cień mój za mną chodzi widmo twoje.

Tak mi posępno! wierzyć w nic nie mogę!
Choć ramię krzyża wskazało mi drogę,
Ty mi ją rozświeć swojemi oczyma:
Tam Bóg nie może być, gdzie ciebie nie ma!»

Jakby gdzieś z Russa wyjęte. — Poczciwa!
Jej miłość często we mnie się odzywa,
By chrząszcz na śpilce gdzieś tam w sercu brzęczy —
Pamiętam — w oczach ma siedem barw tęczy.

SCENA SZÓSTA.

JANUSZ — JOASIA w ubiorze gryzetki z pudłami i pakami.

JANUSZ, poglądając na nią z niespokojnością.

Czy znowu?

JOASIA, dygając.

Znowu? — przecież się nie mylę —
Na rozkaz pański: koronki, mantyle,
Perły przynoszę, pióra, naszyjniki
Weselne suknie, z atłasu trzewiki —
Cudnie barwione wachlarze, i kwiatki,
I rękawiczki — dla młodej mężatki.

Cała wyprawa; z sklepu Monsieur Léger —
Wszak Jasny Książę Pan to wszystko bierze? —

JANUSZ.

Biorę.

JOASIA.

Książę się żeni?

JANUSZ.

Ach! niestety —

JOASIA.

I cóż w tem złego, prócz życia podniety?

JANUSZ, do siebie.

Zachwycająca! wszystkie inne gasi —
Gdzieś cię znam.

JOASIA.

Któżby to nie znał Joasi?
Pewnie w Paryżu, w wielkim magazynie
Na St. Honoré. — Magazyn nasz słynie.

JANUSZ.

Zgadłaś! przeczułem twą blizkość z daleka;
Na powitanie sonecik cię czeka.

JOASIA.

I Pan byś myślał o mnie?

JANUSZ.

I jak jeszcze!
Twoim obrazem dzień i noc się pieszczę.

JOASIA.

Lepiej o żonie myśleć.

JANUSZ.

Szkoda czasu!
Przecież my w świecie żyjem, nie śród lasu
Jak dzicy ludzie — czy masz mię za dzika?

JOASIA śmiejąc się.

O nie —

JANUSZ.

Więc za co?

JOASIA.

Mam za rozpustnika.

JANUSZ, melancholicznie.

Tak sądzisz? — O nie! — jam filozof serca:
Widząc jak w koło grasuje wydzierca;
Jak mimo walk ustawnych trwa niedola,
Jak w każdym ruchu skrępowana wola —
Wzgardziłem czczym połyskiem tych zapędów:
Sławy, poświęceń, dostojeństw, urzędów —
I, błędnem sercem goniąc za płcią twoją,
Od dumym się potrójną okrył zbroją.
Bo w kobiecie nadzieja świeci pewniej;
Bóstwo w niej utajone mówi śpiewniej!
Ona, jak Anioł wiedzie nas w bezdrożu;
Ona, jak gwiazda na wzburzonem morzu.
Dotknę jej ręki, i wiem dokąd dążę — —
O, wierz mi, żaden skrupuł mię nie wiąże
Na rozkiełznanej żądzy ziemię zbiegać,
Do mlecznych piersi jak dziecko przylegać —
Wszakże Bóg stworzył — sądy jego skryte!
Kwiat na uszczknienie — na uścisk kobietę.

JOASIA.

To mi to serce! od miejskich wrót szersze;
Znać, że poeta — a gdzież owe wiersze?

JANUSZ.

Ej bagatelka.

JOASIA.

Ach, bardzom ciekawa.

JANUSZ.

Nie wiem czy dobre, czyś słuchać łaskawa,

JOASIA.

O proszę, proszę.

JANUSZ.

Nie będę się drożył.
Raz gdym cię ujrzał, w zapalem ułożył:

(Czyta.)

«Czarodziejko! włos złoty spływa ci po skroni;
Walczy z białością śniegu pierś i ramię twoje —
Ta bladość ci do twarzy. — Cóż! kiedy się boję,
By miłość nie zagasła w ócz modrawej toni —»

JOASIA, przerywając.

Ach Panie! kto zaś widział, takie baśnie!
Dałeś blond włosy, ja czarne mam właśnie;
Oczy zielone — wymokłe jagody. —

JANUSZ, niby rostargniony przegląda w towarach.

Wszystko bardzo gustowne, pierwszej mody.

JOASIA.

Chce Pan, mogę przymierzyć?

JANUSZ.

Jakeś grzeczna —

JOASIA, stroi się w diadem i szal turecki.

Czy mi do twarzy?

JANUSZ, do siebie w uniesieniu.

Gwałtu! niebezpieczna —
Na pannę młodą patrzysz doskonale —

JAOSIA, poważnie.

Mogę dać rękę —

JANUSZ, prowadząc do ust.

Na całus?

JOASIA.

O! wcale —
Nie ta myśl moja, coś innego roję;
Wejdź tylko książę w położenie moje,
Z wszystkich położeń najbardziej krytyczne;
Książę byś jeden mógł je zmienić w śliczne.
Oto mój ojciec za mąż mię przymusza —
W tem nieszczęśliwszam od księcia Janusza,
Który sobą sam rządzi. — Mój Pan młody
Całkiem nie grzeszy przez zbytek urody;
Wyobraź książę: twarz czysto tatarska,
Włosy jak szczotka, postawa lichwiarska —
Mogłaby miłość wystraszyć na wieki,
Choćby jej było tyle co na leki —
Słowem tak szpetny, tak szpetny, tak szpetny —
I to mój Ojciec zowie: maryaż świetny!
Cóż radzić na to? myśl przyszła paradna:
Jeżeli żona pańska nie zbyt ładna,
Więc się mieniajmy: my oboje razem,
A w drugiej parze, szpetność z swym obrazem. —

Oni ze siebie, my z siebie szczęśliwi —
Czy zgoda? książę coś trochę się krzywi? —

JANUSZ.

Gdzie tam! dalibóg, na wszystko się piszę —
Koncept wyborny, pierwszy raz go słyszę —
Jam twój na zawsze —

JOASIA, odejmując różę z piersi.

Żegnaj kwiecie róży
Panieństwa godło! nie wolno cię dłużej
Nosić przy sercu —

JANUSZ.

Roskosz nad roskosze!
Kto pierwszy ten kwiat uszczknie — daj go, proszę —

JOASIA.

Będziesz mię kochał?

JANUSZ.

Anielska istoto!
Spojrzyj mi w oczy i nie pytaj oto.
Ty jedna jesteś z niewieściego rodu,
Coś mi przytknęła do ust czarę miodu,
Gdy inne samą poiły goryczą;
Istne szatany, pod maską zwodniczą!

JOASIA.

Więc się nie zmienisz?

JANUSZ.

Nigdy! pójdź na łono —

JOASIA, odpychając.

Nie teraz —

JANUSZ.

Kiedyż?

JOASIA.

Później.

JANUSZ.

Pójdź —

JOASIA.

Nie.

JANUSZ, wyciągając ręce za odchodzącą.

Żono! —

Patrzcie! ot znikła. — Jak ptaszek na lepie
Uwiązłem teraz — skrzydełkami trzepię —
(Joasia żegna go ręką, i wybiega.)

SCENA SIÓDMA.

JANUSZ, sam.

Ha, moje Panie! składacie broń wreszcie —
Psotą za psoty odpłacam niewieście:
Z dwiema się żenię, cóż szkodzi wziąść trzecią?—
Najlepszy sposób połapać je siecią
Ich własną, naraz, jak stado przepiórek:
I puścić wolno, podskubawszy piórek —
O śmieszneż sceny zajdą w tym dramacie:
Gdy wszystkie wpadną, zawołam: ot macie
Waszego męża! dzielcie się. — Toż krzyku,
To gadaniny jakby na sejmiku;
Ta rwie do siebie, ta sobie przywłaszcza —
Owa jak Pani w domu się rozgaszcza.
Prawa cytują, pamiątki i listy;
I rozrywają. — Polski rozbiór czysty —
Pocieszne sceny! — To sęk jak się skończą?
Przecież choć z jedną śluby mię połączą —
Mam w czem wybierać. — Czegoż się kłopotam?
Myślmy o dzisiaj — a jutro? — Ej co tam! —
(Otwiera okno, słychać muzykę.)
Tam na dobre hulają — grzmi mazurek;
Ten zgiełk mię znudził, dla tego, jak nurek
Za źwierciadlane szyby główkę skrywszy,
Z czarodziejkami memi tum szczęśliwszy.
(Dzwoni.)
Jest tam kto?

POKOJOWIEC,

Jestem — co Jasny Pan każe?

JANUSZ.

Stary książę czy wesół?

POKOJOWIEC.

W pierwszej parze
Szedł niedawno polskiego — teraz drzemie.

JANUSZ.

A goście? —

POKOJOWIEC.

Goście skaczą w boże imię.
Oj, też na tęgo wszczęła się hulanka;
Zapewnie będą szaleli do ranka
Podług starego polskiego zwyczaju.

JANUSZ.

Dobrze! poddawać czaju i tokaju —
Zgoła wszystkiego w co starczy piwnica.
Słyszysz — ktoś puka —

POKOJOWIEC, idzie ku drzwiom.

Ach, to zakonnica
Jakaś w maseczce — czy wpuścić?

JANUSZ.

Wpuść zaraz —
Z odwiedzinami temi mam ambaras.

SCENA ÓSMA.

JANUSZ, FANI w ubiorze zakonnicy.

JANUSZ.

Tyżeś to Fani? ledwo oczom wierzę!

FANI, smutnie.

Wszak nie myślałeś o mnie — wyznaj szczerze.

JANUSZ.

Gdzie tam nie myślał! mam dowody —

FANI.

O nie!
Tyś już zapomniał; czas tak prędko chłonie!
Pamiątki —

JANUSZ.

Nie bluźń świętościom pamiątek.
Ty mi zapełniasz każdy serca kątek —
Jażbym zapomniał?! Zapytaj jelenia,
Czy mógł zapomnieć kryształów strumienia,
W których się chłodził i poił w upały?
Któż, jeźli nie ty utulałaś szały

Moje młodzieńcze? kto ustek uśmiechem
Mógł mię uczynić wszystkiem — nawet mnichem?
Kto niewidomie świecił w moich krokach?
Kto zgasł, i w czarnych pogrążył mię mrokach,
Żem jak pustelnik ujrzał się śród boru —?

(Po chwili milczenia.)

Zkądże przybywasz Aniele?

FANI.

Z klasztoru.

Rok się modliłam, a rok przepłakała —

JANUSZ.

Jakie dziecieństwo!

(Z uśmiechem.)

Aha, ptaszko mała,
Trzebaż ci było wpaść do takiej klatki?

FANI.

Ach! ty się śmiejesz? —

JANUSZ.

Czem rosa na kwiatki
A deszcz na wiosnę, tem są dziewcząt płacze.
Ja śmiechem ból wyrażam i rozpacze;
Kto wie, czy nawet nie śmiałbym się w trumnie.

FANI.

A toż nie rozpacz Januszu, gdy u mnie
W piersi wciąż kipi pożar pod popiołem?
Gdy zawsze jedna myśl wisi nad czołem,
Jak ta zasłona? Śmierć zasłonę zdziera,
Ale myśl taka nigdy nie umiera.
Jam tę myśl grzeszną truła, jak robaka,
Modlitwami, postami — moc jej taka
Że nie zgorzałaby i w ogniach stosu,
Jak Salamandra. — Jam z wyroków losu
Przykuta do cię — — Cóż, choć piekłem straszą?
Świętokradzkiej miłości nie przygaszą.
Nigdy! Bo jako światło dzienne oku,
Cień w upały potrzebny, wiosna w roku —
Takeś ty dla mnie światłem, wiosną, cieniem,
Wszystkiem na ziemi; za ziemią — zbawieniem.

I mnież to straszyć potępieniem za to,
Że Bóg mieć nie chce za klasztorną kratą
Serca, gdzie tylko ty jeden panujesz! —
Więc bierz co twoje —

JANUSZ.

Dziękuję —

FANI.

Dziękujesz?
O, za mało Januszu — dar ubogi!
Chciałabym być królową, pod twe nogi
Podesłać trony —

JANUSZ.

Dość posiadać ciebie;
Miłość i piękność o wodzie i chlebie
Więcej warte niż trony. Peru złoto,
I kulę ziemską oddałbym z ochotą
Za tę okrągłość twych piersi, Aniele!
A owe krzyki świata, wielkie cele,
I szumne słowa romansowych główek,
Wierz mi, za kilka nie wystarczą słówek,
Któreś wyrzekła półgłosem w tej chwili,
Drżąca, jęcząca, jak dziecię gdy kwili — —
Ty mi o tronach mówisz? co mi trony!
Odejmij miłość — jak wulkan zgaszony,
Będę posępny, stał pośrodku ludzi;
Żałoba moja i łzy nie wyłudzi,
Bo gmin osądzi: szczęśliwym być musi,
Ma takie dobra na Litwie i Rusi! —
A przecież Fani, w zbytkach, w szczęściu takiem,
W porównaniu do ciebie, jam żebrakiem,
Co nawet na skroń włożyć ci nie może
Djademu z gwiazdek co tam ślnią na dworze —

FANI.

O, tyś tak dobry!

JANUSZ.

Ja zaś? dobroć fraszka —
Lecz kocham —

FANI.

Kochasz? Ej czy nie igraszka? —

JANUSZ,

Kocham nad życie!

FANI.

Mów, mów bez ustanku,
Mów że mię kochasz — z twoich ust kochanku
Niechby ten wyraz padał wieczność całą,
A i wieczności byłoby za mało —
Wielkie uczucie sięga tak daleko!
Jednak Januszu, ty nie mógłbyś lekko
Mego honoru ważyć. — W świecie żyjem;
Ostrych pocisków wzgardą nie odbijem —
Ożeń się ze mną —

JANUSZ, do siebie.

Oho, na co kroi —

FANI.

Wyższa kobieta o ten zgiełk nie stoi,
Co go imieniem opinii ochrzczono —
Czy ją kochanką tam nazwą, czy żoną,
Dla niej uczucie na wszystko wystarcza.
Jednak małżeństwo, przyznaj, silna tarcza —
Ona płeć naszą od podejrzeń broni!
I, jakoś lepiej, kładąc dłoń na dłoni,
Z czołem wzniesionem w górę na świat wchodzić.

JANUSZ, zalotnie.

Co słyszę? — ty mię chcesz rączką nagrodzić?
Takiego szczęścia serce nie przeczuło!
Dzisiaj nas jeszcze ksiądz powiąże stułą —

FANI.

Czy pewnie?

JANUSZ.

Widzisz — ot podarek ślubny.
(Wskazuje na wyprawę.)

FANI.

Jako? tyś myślał?

JANUSZ.

Mąż nie samolubny

Myśli o wszystkiem. Na dowód — patrz! mitry
Nasze książęce wyszyte. — Znów cytry
Apollinowe; pochodnie i strzały
Kupidyna, Hymena arsenały —
Haft symboliczny, stosowny do osób.
Teraz kochanie do ślubu się sposób:
Zrzuć te żałoby, te kwefy — i strojem
Zabłyśnij świetnym, a przy sercu mojem
Gdy wejdziesz na bal wszystko zgasisz sobą:
Rywalki zbledną, młódź padnie przed tobą,
I, okrzyk pójdzie: Żona, żona księcia —
Aż tak być piękną, to impertynencya! —

FANI.

Twoja miłość, Januszu, z martwych wskrzesza. — —
W oczach mi ćmi się —

JANUSZ.

Niech cię to nie mięsza —
Śpiesz się i wracaj — każda chwila droga.

FANI.

Wprzód Bogu oddam, com wzięła od Boga;
Ażebym twoją była bez podziału —
(Odchodzi.)

SCENA DZIEWIĄTA.

JANUSZ, sam.

Otóż dotarłem i do ideału! —
Tę czarodziejkę kochać muszę dłużej
Niż wszystkie inne, tak serce coś wróży.
Krzyczą na mnie, żem wietrznik; jaka brednia! —
U mnie znajomość kobiet niepoślednia;
Do każdej mówię z czuciem, z ślepą wiarą:
Przyjdzie inna, i pierwsza zda się marą,
Zimnym szkieletem, który duszę ziębi —
Tak, jedna drugą wypycha z tej głębi,
Co ją zwą sercem. — Wina w tem przyrody,
Czemu nie rozdzieliła równo skarb urody?

Czemu wydała tyle, a tyle odcieni,
Że człek zwarjuje wprzód, nim się ożeni —
(Wchodzi murzyn.)
Cóż to za djablę czarne, jak z komina?
— Od kogoś? zaczem? — Widzisz poganina!
Ani się słówka domacać — czyś niemy?
(Murzyn oddaje mu bilet.)
Ha! masz bilecik? — zaraz się dowiemy —
Czytajmy: Zulma, Palmiry królowa —
(Do murzyna.)
Prosić! — O, farsa znów karnawałowa —
Gdzieżby to ona?! wprawdziem znał tę Panię
Kiedym z Rzewuskim jeździł po Libanie;
Zaszła tam mała intryga w haremie —
Już od tych kobiet uciec mi pod ziemię —
Otóż i ona sama — to zabawnie! —

SCENA DZIESIĄTA.

JANUSZ. — KRÓLOWA PALMIRY.

KRÓLOWA.

Z pustyń, gdzie słońce pali nas ustawnie,
Gdzie wiatr, koń, arab żyją pobratani;
Zielona palma na stepie sułtani —
Ztamtąd przyciąga moja karawana.
Jak owa niegdyś Saba rozkochana,
Rzuciłam namiot, stada klaczy śnieżnych,
Chłodną krynicę na stepach bezbrzeżnych.
Wszystko dla ciebie — dla jednej kropelki
Miodu ust twoich —

JANUSZ, kłaniając się.

Zaszczyt dla mnie wielki!

KRÓLOWA.

Długom się biła po morzach i lądach,
Goniąc za tobą na moich wielbłądach,
Więcej od roku. Nawet przez gazety
Kazałam wszędzie zapytywać, gdzie ty?
Szczęściem w Hamburgu dostałam języka —

JANUSZ.

Pewnie u mego bankiera Icyka —

KRÓLOWA.

Tak, coś podobnie. — Tam mi powiedziano:
Że mam na północ jechać, gdzie nieznáną
Znajdę krainę, na której tyś księciem —
A więc się puszczam z stałem przedsięwzięciem
W te wasze bory. — Jadę bez ustanku
Zrana do nocy, od nocy do ranku,
Aż po nad czarne puszcz jodłowych ściany
Błysnął mi pałac twój, jak namiot szklany! —
To, co ci mówię, wszystko prawda szczera:
Pożar miłości nie łatwo zamiera
U córek słońca; kto go raz obudzi,
Niechże go wzajemnością, lub krwią studzi —

JANUSZ, do siebie.

Z nią widzę, nie przelewki — gardłem straszy:
Zapewnie nie jednemu łeb już zdjęła baszy.

KRÓLOWA.

Teraz, mój książę, obyczajem wschodu,
Przywożęć dary godne twego rodu:
Purpurę Tyru, kadzidło i mirę,
Wonne balsamy — w bryłach złoto szczere —
Wszystko, w co obfituje ziemia nasza —

JANUSZ, do siebie.

Hm! podarunki jakby dla Messyasza.

KRÓLOWA.

I więcej jeszcze — jeżli ci to gwoli:
Niechaj nas związek małżeński zespoli.
Oto masz rękę —

JANUSZ.

Wdzięcznym uniżenie;
Ale ja dzisiaj z czterema się żenię.

KRÓLOWA.

Tylko?

JANUSZ.

Czyż nie dość?

KRÓLOWA.

Cztery — brdzos a kromnie. —

JANUSZ.

Z tem wszystkiem tęgo zabrały się do mnie.

KRÓLOWA.

U nas, naprzykład, Pan, jak ty bogaty —
Gdy sto żon nie ma — jeszcze nie żonaty.
Liczba okrągła: sto, przyjęta wszędzie.

JANUSZ, do siebie.

Przynajmniej niezazdrosna.

KRÓLOWA.

Jakżeż będzie
Z nami Emirze?

JANUSZ.

Nie wiem. Sam się waham.

KRÓLOWA, w gniewie.

Nie wiesz? czy chciałbyś może jak Abraham
Niegdyś Agarę — i mnie wygnać z domu?

JANUSZ.

Kto? ja, królowo! Nikt takiego sromu
Nie doznał u mnie. — Owszem chcę cię zawsze
Posiadać —

(Na stronie.)

Wprawdzie, cerę ma żółtawszę
Niż nasze damy. — Ha! wina klimatu. —
Zresztą, cóż szkodzi imponować światu;
Że na mym stole zawsze nowalijka:
To ładne oczki, to buzia, talijka —
A dla odmiany dziś smagła Azyatka —
Jeszcze królowa — o, nie lada gratka! (głośno)
Kocham cię Zulmo!

KRÓLOWA.

O, kochaj Emirze!
Jam porzuciła mój pałac w Palmirze
Kraj najpiękniejszy, niebo tak przejrzyste!
Wszystko dla ciebie. — Bo gdzież jak ojczyste
Pustynie nasze? gdzie milej dzień zchodzi?
Palma cień daje, wodotrysk cię chłodzi —
Śród głuchej ciszy gada duch stepowy —
Step, niebo, woda — dramat trzy aktowy

Gra się przed tobą; a na tle dramatu
Cedry Libanu, góry Araratu;
Minarety, jak strzały w niebo biegną —
Koczujące namioty step zalegną —
A gdy przykryje wszystko noc swem skrzydłem,
Jak kadzielnica z woniącem kadzidłem
Zda się ta ziemia przed Allą kołysać! —
Tyś ją nie poznał dobrze — ty wysyssać
Z moich ust musisz miłość ku tej stronie —

JANUSZ.

Zgoda, więc jedźmy!

(Podchodząc ku drzwiom.)

Hej! założyć konie!
Pojedziem razem, będziemy królować.

KRÓLOWA, z niedowierzaniem.

Zwodzisz mię —?

JANUSZ.

Z uczuć nie umię żartować.

KRÓLOWA.

Mogęż polegać?

JANUSZ.

Jakby na Zawiszy —

KRÓLOWA.

Idę — mój Emir o mnie wnet usłyszy —
Pełnymi żaglmi okręt tu zawinie —
Twoim Świteziem wszędzie się dopłynie.

(Odchodzi.)

SCENA JEDENASTA.

JANUSZ, sam.

Co? Co? Świteziem do Arabii — brawo!
Jeografia jak widzę została na prawo —
Z tem wszystkiem trzeba jechać. Traf nad trafy!
Awans na króla — w kąt książęta, grafy. —
Ja król! nad owym rajem, kędy Ewa
Blondynka, owoc uszczknęła ze drzewa;
Kędy się romans najpierwszy odgrywał — —
O tam ja zawsze myślą ulatywał,

Tam, od ojczyzny, od ludzi z daleka
Jak odwrócona w biegu swoim rzeka,
Chciałem dni resztę przeżyć jak Beduin
Pośród pustyni — jak Wolnej śród ruin
Dumać nad państw upadkiem — farysować.
Teraz, mogę to wszystko — i królować —

(Bierze gitarę i śpiewa.)

Witaj ziemio czasów, snów,
Pierworodna Boga córo!
Przy twem słońcu tu ponuro —
Zimny kraju bywaj zdrów!
Hej majtkowie, nuż do żagli!
Leć okręcie naglej, naglej!

Cudnie tkany perski szal —
Cudniej życie śród haremów:
Myślą głowy nie łam, nie mów —
Tylko śnij, i lulkę pal.
Hej majtkowie nuż do żagli!
Leć okręcie naglej, naglej!

Sto odalisk czeka tam
I rzezańców czuwa dwieście —
Georgianki, do mnie! pieśćcie! —
Na was sto, ja tylko sam.
Hej majtkowie nuż do żagli!
Leć okręcie naglej, naglej!

(Przerywa śpiewanie — słychać bicie zegaru.)

Północ! wnet ślubne zapłoną pochodnie —
W tylu sprzecznościach postawię się godnie;
Wszystkie zaproszę z sobą do Arabii:
Wielość żon, czucia mego nie osłabi.
Tem bardziej, jeźli zaręczę solennie,
Że każdej rzucę chustkę raz codziennie —

(Słychać zgiełk.)

Cóż tam za rozruch?

POKOJOWIEC.

Panie, dziwowisko
Wielkie się stało! — Świteź zalał wszystko —

Aż na wschody zamkowe fala bije!
Takiego wód wezbrania nikt, jak żyje,
Nie pamięta —

JANUSZ, wesoło.)

Więc morze mam u proga —
Okrętu czy nie widać? —

POKOJOWIEC.

Ej, dla Boga!
Pan się cieszy, gdy wszystko w takim strachu;
Większa połowa gości już na dachu;
Stary książę się modli. — Spojrz pan w okno,
Ujrzysz, jak szczyty topól w wodzie mokną!

JANUSZ, otwierając okno.

Prawda! widok wspaniały! W Neapolu
Taki sam miałem: Te góry w półkolu,
Tam znowu drzewa, by maszty w zatoce;
Tylko noc insza — o, nie masz jak noce
Włoskie —

POKOJOWIEC.

Ale poddani! — cóż z biednymi
Stanie się? — wszystko tracą —

JANUSZ.

Patrz! pełnemi
Żaglami okręt ku nam prosto pędzi —
Na przodzie para miłośnych łabędzi
Zda się powozić moją narzeczonę.

POKOJOWIEC.

Panie! to czary — po wodę święconą
Biegnę —

JANUSZ.

Zaczekaj! — daj mi płaszcz i szpadę,
I złota kiesę — do Arabii jadę.

SCENA DWUNASTA.

(Kolumnada pałacowa. — Widok na obszerną przestrzeń zalaną wodą Mężczyzni i damy w strojach balowych.)

KSIĄŻĘ, klęczy z krzyżem w ręku.

Panie! przemień to, nie dla mnie grzesznego,
Ale dla ludu. — Spuść korab' Noego —
W imię tej świętej okruszyny krzyża,
Przemień o Panie! —

(Pokazuje się żagiel na horyzoncie.)

WIELE GŁOSÓW.

Cud! okręt się zbliża!

KSIĄŻĘ.

Widzicie, Pan Bóg wysłuchał modlitwę —

WIELE GŁOSÓW.

Hola ho! bywaj! —

GŁOS.

Kto wie? może bitwę
Przyjdzie nam staczać! — szkuta coś niewielka.

SZLACHCIANKA.

Prym przed mieszczanką ma obywatelka.

SZLACHTA.

My szlachta pierwsi — reszta, jak się uda —

KTOŚ Z GMINU.

Czy Bóg dla panów robi tylko cuda? —

GŁOSY SZLACHTY.

Szlachtę ratujcie panie admirale!
Wynagrodzimy wacanu wspaniale —
Wyrobim order —

KSIĄŻĘ.

Syn mój! wołać syna —
Nie dbam o siebie, byle mi dziecina
Wyszła bez szwanku.

GŁOSY.

Otóż go i mamy —

SCENA TRZYNASTA.

(Poprzedzający i Janusz w ubiorze podróżnym.)

JANUSZ.

Witam was, moi Panowie i Damy!
Witam i żegnam.

KSIĄŻĘ.

Synu! bądź tu przy mnie —

JANUSZ, cierpko.

A papa co tu robi na tem zimnie?
Kataru się nabawi! — w łóżko trzeba —

KSIĄŻĘ.

Jam się modlił — i, widzisz, dobre nieba
Zsyłają nam ratunek.

JANUSZ, biorąc się pod boki.

Co ten okręt? Cha! cha!
To narzeczona moja — chustką macha
Dając znak umówiony. Papa nie wie
Jaką to gałąź zaszczepiam na drzewie
Genalogicznem? — Palmiry królowa
Zaraz ci do nóg padnie, jak synowa —

KSIĄŻĘ.

Drwisz z ojca. — Patrzaj! Bóg kazał jezioru
Karać za grzechy —

JANUSZ.

Pod słowem honoru
Ja nie drwię, papo —

(Wskazując ku okrętowi.)

Ta pani, w djademie
Trochę przysmagła, zwyczajnie jak plemię
Arabskie, królem robi mię w swym kraju. —
I, sto żon daje podług obyczaju
Wschodniego. — Głupstwo byłoby odrzucić —

KSIĄŻĘ.

I ty byś starca nad grobem chciał rzucić?!
Jakby ci mało być polskim magnatem;
Jakby to więcej znaczył gdzieś za światem

Królik Arabski? — Przecież Dzierzanowski,
Chudy szlachetka na kawałku wioski,
Także był w Indyach królem okrzyknięty —
I dla tego porzucać Ojca? Boże święty!

JANUSZ.

Słowom dał — wreszcie jak kto chce się bawi —
Ja się bawię w królestwo —

KSIĄŻĘ.

Jakżeż krwawi
Serce, ta mowa taka nie synowska!

JANUSZ, do siebie.

Patetyczny, jak gdyby rasynowska
Tragedja. — Uciąć muszę. — Żegnam Papę —
To nie jest tak daleko — patrz na mapę —
Ztąd do Stambułu — ztamtąd jednym skokiem —
Jeszcze was może odwiedzę przed rokiem.

KSIĄŻĘ.

Chyba grób mój.

GŁOSY.

To przecież tak sam nie pojedzie? —
Chciałbyż nas w wodzie wymoczyć jak śledzie?

(Okręt przybija.)

KRÓLOWA, otoczona dworem — siedzi na tronie.

Mężu!

JANUSZ.

Jam gotów —

KRÓLOWA.

Wiatr dobry powiewa.

JANUSZ.

Adieu! — mój tatuś niechaj się nie gniewa.
Jeżeli łaska, daj błogosławieństwo —

KSIĄŻĘ, odwracając się.

Przekleństwo synu niegodny, przekleństwo!

JANUSZ.

Książę! ta szorstkość z tonem się nie godzi.

KSIĄŻĘ, wskazując na gości.

Choć tych nieszczęsnych ratuj od powodzi!

JANUSZ.

Ja sam na cudzym wózku — acz uprzejmie
Chciałbym zaprosić, okręt nie obejmie.
Patrzcie! jak liczny orszak. — Bądźcie zdrowi!
Do swej królewnej śpieszyć się królowi.

(Wskakuje na okręt.)

KSIĄŻĘ.

Potwór!

GŁOSY.

Nie puśćmy! przytrzymać za liny.

KILKU MĘŻCZYZN.

Do wody zdrajcę! —

KOBIETY.

Ocal nasze syny!
I córki! —

(Okręt oddala się.)

WSZYSCY.

Odbił! — dziej się wola Boża —
Podajmy sobie ręce, nim do łoża
Wiecznego, zimna fala nas zagarnie —

(Klękają, trzymając się za ręce.)

MŁODZI.

Po hucznym balu, umierać tak marnie!

KTOŚ.

Gdyby nie ciemno, pisałbym testament.

DRUGI.

I gdyby w miejscu wody był atrament.

INNY.

Mnie już po pas zabiera —

WSZYSCY.

Giniem! giniem!
Oj, przed tą śmiercią kominka nie zwiniem.

KTOŚ.

Straszny trybunał! nie ma i patrona!

PATRON.

Gdyby się można tłumaczyć — obrona
Taka ognista w głowie mi się roi —

SZLAHTA.

Choć raz rzecznikom nic się nie okroi.

KILKA GŁOSÓW.

Cóż się tam dzieje? —

INNYCH KILKA.

Nic, jeszcze coś sucho —
I fale mniej coś szumią — jakoś głucho —

GŁOS.

Ja się boję otworzyć oczu.

DRUGI.

I ja —

INNE.

I my —

(Milczenie.)

SCENA CZTERNASTA.

(Poprzedzający. — Rybak wpada zadyszany. Księżyc świeci — wody opadły.)

RYBAK.

Hej Państwo! wielka historia!

WSZYSCY, zrywając się.

Gdzie? co? —

RYBAK.

Słuchajcie!

WSZYSCY.

Ach! morza już nie ma —
I księżyc świeci — i gwiazdy oczyma
Wszystkiemi patrzą —

KILKU.

Cud, alla Pinetty —
Jacyż my tchórze! —

MĘŻOWIE.

To tylko kobiety
W nas tak wmówiły swym płaczem i krzykiem.

KSIĄŻĘ.

Cóż się z mym synem dzieje? —

RYBAK.

Z nieboszczykiem? —

KSIĄŻĘ.

Janusz! mój Janusz! — Gadaj co się stało?
Jam przeklął dziecko; może go spotkało

Jakie nieszczęście? — może jest ratunek? —
Lećcie, ratujcie — uderzyć we dzwonek
Na gwałt. — To przecie przyszły wasz pan, dzieci! —
(Pada i zakrywa sobie twarz rękoma.)

RYBAK.

Bodaj czy już nie późno! — Właśniem sieci
Zastawił na jeziorze — i chciał do dom
Wracać, gdy nagle coś się stało wodom,
Że jak piwo szlacheckie buchną pianą,
I, w koło mię obejmą banią szklaną —
A nad głowami, jak w borze, szum słychać —
Sam, choć pod wodą, suchym był — oddychać
Mogłem tak dobrze jakby tutaj państwo! —
O, pomyślałem: harcuje szataństwo!
Jakaś w tem psota — więc zaraz się modlę,
I pełznę — aż tu i siedzę na jodle,
Hen, na tej, co u wzgórka. — Patrzę w koło:
Świteź rozlał na łany, bory, sioło —
Tylko sam jeden dwór, śród wód bieleje —
Ot koniec — myślę: Pan Bóg świat zaleje! —
Gdy w tem — a ciemno było jakby w jamie —
Jasność się stała, fala się rozłamie
I łódź — nie, korabl, jak w Memlu, lub Rydze,
Tylko złocistszy, tuż przed sobą widzę.
Takiego statku, nikt jeszcze, jak żywo
Nie widział na Świtezi. Szedł leniwo,
Toż mogłem się przypatrzyć: — Na pokładzie
Stał nasz panicz i z panną jakąś — w zwadzie
Być musieli, bo panicz tak się zżymał,
Nawet nóż, czy pistolet w ręku trzymał,
I groził. — Panna miała skry w źrenicy,
A śmiech na ustach. Rzekła: «Do łożnicy
Chodź mężu — zaprzysiągłeś — — !» Ręką skinie,
A okręt zaraz porwały głębinie,
Z wszystkiem: z majtkami, żaglami, masztami —
Jeno na wierzchu wody, oni sami
Zostali się we dwoje — nie tonęli!
Panna smukła jak topol, w śnieżnej bieli,

By srebrna rybka — w pół go obramienia
I leci, leci, aż fala się spienia;
Po calutkiem jeziorze kręgi pisze —
To, jak sercem od dzwonu nim kołysze,
Topi — wyciąga — znów topi. — Chcę krzyczyć
Ale mi język przyrósł; i trzech zliczyć
Nie mogłem, taki strach ścisnął za gardło —

WSZYSCZY.

I jakiż koniec?

RYBAK.

Do dna się rozwarło
Jezioro — znikli —

KSIĄŻĘ, z płaczem.

Mój syn się utopił! —

KTOŚ.

Ten człowiek bredzi, w karczmie się zakropił —

RYBAK.

Jam trzeźwy.

KILKU Z DOMOWNIKÓW.

Prawdę gadaj! —

RYBAK.

Bogiem klnę się —
Jutro wam na brzeg woda go wyniesie.

KTOŚ.

A narzeczona-ż księcia uszła zdrowa?

RYBAK.

Piękna mi narzeczona! Niech Bóg chowa
Od takiej, nas każdego —

KTOŚ.

Przecież z ganka
Widziałem ją: Królowa —?

RYBAK, z przerażeniem.

Świtezianka!!

WACHMISTRZ JASZCZÓŁD.

OPOWIADANIE

STAREGO WIARUSA.

Z KAMPANII 1809 ROKU.

I.

Co to dzisiejsza młodzież! wstyd mospanie
I spojrzeć na nią. — Za Bonapartego
To mi to szkoła, jakie wychowanie!
Wszystko musiało iść na upartego;
Gdzie przykład dobry i tchórz twardo stanie,
I nikt nie pyta: a dokąd? dla czego? —
Było też dobrych siła komendantów,
Nie pieczeniarzy, w miarę adjutantów.

Kiedy bywało wystąpią rejmenta,
To aż strach spojrzeć: same stare wygi!
Ten Pułaskiego ruchawkę pamięta,
Ów kresę dostał nad brzegiem Adygi,
Tego zna Egipt, owego przeklęta
Ziemia murzyńska, kędy rosną figi:
Zgoła na twarzach miałeś jeografią —
Oho, dzisiejsi tego nie potrafią.

I nie potrafią hulać, jak hulano:
Proszę, kiedy to weszło się do miasta,
Byleś raz zerknął, byleś zgiął kolano,
Wnet do ułana przylgnęła niewiasta —
A szampan lał się, a złotem sypano;
W miłości i przy kartach nigdy basta — —
Prawda że było cokolwiek rozpusty,
Lecz chudy kłapnie, gdzie ledwo zchudł tłusty.

Spytajcie tylko co to się nie działo
W roku dziewiątym, kiedy do Galicyi
Wkroczył Kamiński: choć miał garstkę małą,
Pierzchnęli Szwaby nawet nie pobici.
W trzydzieści koni Lwów się odebrało;
Na pospolite ruszenie szły wici;
Biegło co żyło — i stawały pułki
Z obywatelskiej mospanie szkatułki.

Duch narodowy nie krył się po dziurach,
Lecz jawnie chodził z krakuską na uchu —
Nasz biały orzeł złocił się na murach —
W chatce, w pałacu, co życia, co ruchu!
Oj, na wołowych nie spisałby skórach,
Co to wyrabia naród nie w łańcuchu!
Ziemia się innym zda toczyć obrotem.
Dziś jeszcze zawrót czuję, myśląc o tem.

Boć krotochwile zapustne to były
Z tymi Szwabami: nasze chorągiewki,
Jak wróbli, samym szmerem ich straszyły,
Resztę wymiotły przekupki i dziewki.
Gdy tylko żołnierz ufa w święte siły,
Wzrokiem zabija, proch zdmuchnie z panewki,
I, jak pod Jeną kłusem szarżę utnie;
Nie dobywszy pałasza, tnie okrutnie.

Ztąd też fantazya niezmierna w żołnierzu,
Honor, ambicya do głośnego czynu:
Dzieciuch, co jeszcze nie porosnął w pierzu,
Szedł jak na spacer na szczyt Apeninu —
A z Ojczenaszem przy każdym pacierzu,
Modlił o Polskę i o liść wawrzynu,
W postaci krzyża legii honorowej —
Czczy to szał nie był, ani romansowy.

Z pomiędzy wiela przykładów a wiela,
Jakie od ojców pewnieście słyszeli,

Dość wspomnieć jeden, mego przyjaciela
Pana wachmistrza Jaszczółda. Wiecie-li
Gdzie jest Tarnopol, a gdzie Zagrobela?
Miasto od wioski staw i grobla dzieli:
Więc w tej ostatniej, Szwab zewsząd przyparty,
Oszańcował się działami i warty.

I tchórz odważniej wygląda z za ściany,
Rzecz to wiadoma — a pola tam czyste
Masz na Podolu; łany, same łany —
Niepodobieństwo zatem oczywiste
Ażeby okop miały brać ułany,
Chociażby zuchy były tak sierdziste
Jak ci, co Zamość brali; więc nie brano,
Tylko harcami wzajem się nękano.

Wojenka taka prędko w niesmak da się
Nowozaciężnym, a zwłaszcza ruchawce;
Człek się nie wyśpi, koń się nie napasie,
A guza często oberwiesz przy sprawce;
Tymczasem Niemiec zawarty w tarasie
Rad wypoczywa przy piwku i kawce —
A wpaść na oślep — byłaby ryzyka,
Przegrasz — na zawsze zrazisz ochotnika.

Otóż pan Jaszczółd wachmistrz szwadronowy,
Zuch zawołany, dawny legionista,
Jak zaczął chodzić po rozum do głowy,
A kląć do milion beczek i do trzysta,
Tak uknuł fortel — i mając gotowy,
Nie rzekłszy słówka nikomu, korzysta:
Trzech sprawnej wiary bierze do pomocy,
I gdzie? nie wiedzieć, wyjeżdża śród nocy.

Że nie powiedział starszynie — czcze baśnie!
Jaszczółd mospanie znał regulamina:
Znał że zasługa najpiękniejsza gaśnie,
Jeżeli żołnierz reguł zapomina.

On by szefowi nie rzekł nic? — o właśnie!
Taki tryb karcą nawet u Turczyna;
A cóż dopiero w armii regularnej —
Na cóż wojskowy sąd, lub kodeks karny?

Sam to widziałem, jak o ciemnym mroku,
Trzech, co najtęższych wybrawszy z szwadronu,
Kładł im do głowy coś długo na boku;
A zgadłem z ruchów, postawy i tonu,
Że to nie fraszka — — Podsunąwszy kroku,
Widzę jak powróz dobywał z furgonu,
Potem opatrzył oba pistolety,
Na koń! i milczkiem przemknął przez widety.

Tu już naocznym przestaję być świadkiem,
A opowiadam słowy bohatera
Onej wyprawy; wątpię czy mu rzadkim
Dowcipem sprostam; tem więcej, że ściera
Czas owe rysy i powłóczy gładkim
Jakimś pokostem — wszakże prawda szczera
Zostaje prawdą, choć barw traci wiele,
Jako kazanie miane nie w kościele.

II.

Jeszczem jak suseł zasypiał w baraku,
Kiedy pan Jaszczółd nazajutrz wszedł do mnie,
Zbudził — jam spojrzał w oczy nieboraku:
Jakoś patrzały ponuro i sromnie —
I zaraz zgadłem, że coś nie do smaku
Wypaść musiało. On zaś: — Tu kalomnie
Na mnie puszczają! Jak psom we łby strzelę;
Śliczni koledzy, śliczni przyjaciele!

— Jakie kalomnie? pytam, co cię stało?
Nic nie wiem. A on: — wódkę masz? do ciebie!
Nawzajem! — Łyknął aż oko zbielało,
Usiadł, i gniewny mruczał sam do siebie: —
Głupstwo! ażeby było się udało,
Toby równego nie było mi w niebie!
Żem podrwił, zaraz cały rejment w drwinkach,
Brał i Napoljon czasem po tybinkach.

— Tylko wyobraź sobie poruczniku —
Zaczął poważniej i głosem zmiękczonym,
Lulkę zaćmiwszy, która na guziku
Zawsze wisiała z kapczuchem czerwonym —
Wyobraź sobie, cobyś o młodziku
Myślał szalonym, lub niedoświadczonym,
Gdyby się jeden porwał na szwadrony.
Rzekłbyś: że warjat, lub niedoświadczony.

I miałbyś słusznie! Lecz cóżbyś o takim
Powiedział, który w obozach wiek sterał,
A który burdą nie jest lub pijakiem,
Gdyby plan jakiś w swej głowie wyszperał,
A wyszperawszy, cicho, jak siał makiem
Ten plan wykonał? — Rzekłbyś: to jenerał
Niepospolity — a choć pokpi sprawę;
Że plan był dobry, jeszcze ztąd ma sławę.

Znudzon, że stoim bezczynnie czas dawny,
Mimo że Szwaby w kupę się gromadzą
I okopują — przyszedł mi zabawny
Koncept: niech starsi nad mapami radzą,
Ja nad fortelem; że nie mógł być jawny,
I że go może wykonać nie dadzą,
Więc wczoraj w nocy, zmówiwszy trzech zuchów
Ruszam z obozu niby dla posłuchów.

Znając te strony, jakby kieszeń swoją,
Mknąłem przez łąki i głębokie jary;

Aż naraz, widzim, wóz i konie stoją:
To chłop do miasta woził mandatary,
A teraz wracał; więc powagą moją
Zbrojną w nahajkę i wódczane czary,
Każę mu jechać wprost na Zagrobelę,
Choć w strachu szeptał: Oj, tam Niemców wiele!

Jedziemy milczkiem, gdyż w podolskim wozie
Ani zdziebełka nie znajdziesz żelaza;
Jedziem — wtem obóz, słuch puszczam, w obozie
Cisza, jakby ich wybiła zaraza —
Tylko gdzieś derkacz odzywa się w łozie,
A bliżej szyldwach chrapie u przełaza —
Skradam się — patrzę: wszystko śpi aż miło!
W jednem okienku z dworu się świeciło.

Błogosławione światełko witałem,
Jak gdyby panna dała mi randewu.
Wiesz poruczniku, jak się kochiwałem,
I dzisiaj przyznasz otwarcie, bez gniewu,
Że w pułku sobie równego nie miałem
W szczęściu do dziewcząt, do tańca, do śpiewu;
A przecież nigdy serce tak nie drżało
Jak wczoraj, gdy to światełko migało — —

Bóg wie jak długo byłbym stał jak wryty,
Myśląc o wielkiem mojem przedsięwzięciu,
Gdy wtem, koło mnie padł szyldwach przebity,
I jęknął — minut nie było dziesięciu
Już do stracenia. — Chwytam za dobyty
Pałasz, i lecę w najkrótszem przecięciu
Prosto ku światłu — ułanym zostawił;
Chciałem sam wszystko sprawić — wszakżem sprawił.

Tę stronę dworu sad otaczał, przeto
Warty nie było aż za płotem sadu;
A ja, choć wcale nie jestem atletą,
Wnet obliczyłem korzyści napadu:

Pewien, że w garści z taką szerepetą
Choć z batalionem, a trafię do ładu;
Więc z animuszem pod okno przyskoczę,
I widzę, jako wietrzyk niem chybocze —

Było otwarte — spojrzę: aż przy mdławej
Lampie, nad mapą Polski rozpostartą
Ślipał mężczyzna łysy i siwawy,
I jakby gniew swój wywierał nad kartą,
Kłuł ją szpilkami. — Basta z tej zabawy!
Nie chciałbym z twoją spotykać się wartą
Albo patrolem — i nie myśląc dłużej
Wpadam, jak brytan spuszczony z obróży.

Nawet paryzka żadna baletnica
Lekcej nie skoczy, jakem ja nań skoczył;
I pewnie łupu swego żadna lwica
Nie tłoczy silniej, jakem ja go tłoczył;
A choć tuż przy nim leżała krucica,
Bezsilną dłonią tylko ją powłóczył
A nie mógł ująć ni głosu wydostać —
Do śmierci będzie stała mi ta postać

Austryackiego jenerał-majora
Bikinga, wielu tysięcy hetmana —
Noc to pamiętna dla mnie! Takie wczora
Nie dałbym w zamian i za kosz szampana —
Więc go wyniosłem jak sieczki pół wora,
I ciężar w ręce oddałem ułana,
Który go związał, szczelnie zakneblował,
I na drabiasty chłopski wóz wpakował.

Skończywszy dzieło, już mi rozum radził
Co tchu ujeżdżać z połowem nie lada;
Ale snać djabeł na mnie się usadził,
Że w las uciekła pierwsza zdrowa rada.
Wracam: sad, okno, na nowom przesadził —
Jeszcze się lampa dopalała blada,

Więc rozpoczynam rewizyę papierów,
Krzyżów, sygnetów, fajek, repetjerów.

To nie rabunek, lecz prawo wojenne —
Liche zwycięztwo bez dział i bagaży!
Przytem te Szwaby bywają piśmienne,
Wożą papierów stos i kałamarzy;
Rzecz ważna, złapać raporta codzienne,
Szpiegów donosy, zgoła: co się zdarzy —
Owóżem łapał co pod rękę padło,
A wszystko w kaszkiet ułański się kładło.

Już o odwrocie myślałem, gdy oto
Zegarek złoty i emaliowany
Ujrzę nad łóżkiem — pójdź i ty niecnoto!
Mówię — i tylko co zdjąć chcę ze ściany,
Z trzaskiem upada. — A wtem, z całą rotą
We drzwi się wali lejtnant rozespany,
W obozie larum słyszę: W bębny walą,
Niechajże jasne pioruny mię spalą!

Tu już nie rzemień w strachu był, lecz skóra —
Jak też szabelką zawinę się młyńca,
A poczęstuję raz, drugi, piechura,
Takem i wyparł precz na kraj dziedzińca;
A choć tył zabrać chciała Szwabów chmura,
Przecież dopadłem starego gościńca;
Przez okno, sady, rejteruję w szyku,
Śród gradu strzałów, bębnienia i krzyku.

Mój korpus z jeńcem, za stodołą skryty,
Dotrzymał placu — i duch wstąpił we mnie,
Gdym poznał w cieniu czapek naszych kity —
Narażało się, dał Bóg, niedaremnie:
Jenerał wzięty, piękny łup zdobyty!
Tak myślę, biegąc — aż wtem, jak niehremnie
Szyldwach z za płota — z głowy czapkę zmiecie —
Już i nie pytam o szwabskie rupiecie.

Hazard wojenny! część łupu stracona —
Lecz jeniec w ręku; byle dopaść szkapy!
Dopadam — nogę kładę już w strzemiona;
Chłopu na kuraż smolę trzy harapy —
Lecimy — w nogach tryumf i obrona —
Dobranoc! śpijcie panowie harcapy!
Chiałbym zobaczyć jutro wasz ambaras,
Gdy się bez głowy obaczycie naraz.

Wszystko w odwrocie zdawało się sprzyjać;
Do naszych widet nie było pół mili —
Kazałem zręcznie jarami wywijać,
A często stawać na podsłuchy, czyli
Pogoń nie idzie? Rzadko też popijać
Dałem z blaszanki — — Jutro będziem pili,
Rzekłem, za tryumf polskiego oręża.
Jak nie pić, kiedy bez krwi się zwycięża?!r

Jak się nie cieszyć? kiedy dobra nasza:
Dla was galonki, mnie szlifa nagrodą;
Cesarz do gwardyi jeszcze pozaprasza —
Tylko ty chłopie dobrze jedź, nie z kłodą
Jedziesz to przecie! — cóż cię tam przestrasza?
Nie bój się, od nas nie wyjdziesz ze szkodą —
Hultaj! patrzajcie pod wóz mi się schował —
Lancą go — z nami nie będziesz żartował.

Było to właśnie na samym zawrocie
Z jaru na błonia — ułan, co na szpicy
Wystrzelił — nagle skręcił ku nam w locie
Krzycząc: że pułk nas otacza konnicy!
Chłopek ów widać miał oczyska kocie,
Że ich najsamprzód zobaczył w ciemnicy —
Cóż poczniem? w nogach jedyna obrona —
Lecz z moim jeńcem liczba nieskończona —

W łeb mu wypalić! i — odwodzę kurek,
Lecz bezbronnego zabić jako bydlę,

Tego by chyba dopuścił się Turek,
Tego w żołnierskim nie mamy prawidle.
Ot, lepiej wezmę, uwiążę na sznurek
Pojedzie gładką błonią, jak po mydle —
Czerkieski sposób — wiążę do kulbaki!
Aż tu rotowym ogniem zagrzmią krzaki!

Ach daj go katu! tośmy w tarapaty
Wleźli, gdzie spojrzysz, czy w lewo, czy w prawo,
Z frontu i z tyłu sypią się psubraty —
Umrzeć to umrzeć, byle umrzeć z sławą!
Wiara, hej do mnie! Za broń stare chwaty!
Jak utniem szarżę samoczwart — oj krwawo
Gdzieś przypłacili! — nauczka na harde —
Widzisz mój pałasz we krwi aż po gardę.

Zgoła, na sucho wyszliśmy z kąpieli,
Na sucho bracie, choć w kwaśnym humorze;
Łupy i jeńca wszystko kaci wzięli,
I moją przyszłość. — W takim dyshonorze
Trudno żyć; człowiek bądź w łeb sobie strzeli,
Bądź gdzie braciszkiem zostanie w klasztorze.
Hej, na frasunek! jest tam co w manierce?
Jedyny kordyał na zranione serce — —

Łyknął — i żalów zalał się potokiem.
Znając naturę onegoż dziwacką,
Nie wyjeżdżałem z duchownym obrokiem;
Aż kiedy skończył chryję desperacką,
Wstał, niecierpliwem cisnął na mnie okiem
I spytał: a ty, co na to? — Co? gracko
Pan wachmistrz Jaszczółd spisał się i kwita —
Wszystko sprzyjało — tylko konduita —

Ledwiem to słowo wymówił, by wrzątkiem
Sparzon, wyleciał z mojego baraka,
Ale nie z zemstą, ani też zawziątkiem;
W duszy mi szczerze żal było biedaka,

Że nigdy koniec u niego z początkiem
Zgodzić się nie mógł. Natura już taka:
Rzuci się w zamiar śmiały — i osięgnie;
Cóż, kiedy w końcu przez lekkość ustrzęgnie.

Tą razą jednak tę chlubę wziął w zysku,
Że wróg przestraszon, taborem uchodził
Wciąż po bezwodnem, gołem stepowisku,
Aż pod Wieniawką znowu się ogrodził;
Lecz gdyśmy wodę przecięli w zdroisku,
I gdy się Niemiec przez trzy dni wygłodził,
Kapitulował — — Wypijmyż panowie
Zdrowie Jaszczółda i wojsk polskich zdrowie!

MIMOZA.

POWIEŚĆ SENTYMENTALNA.

> Ces deux personnes n'en font qu'une. Elles sont tellement entrelacées comme les deux âmes et les deux existences des deux époux, que la vie de l'un, est le contrecoup perpétuel de la vie de l'autre, et que le même événement ou le même sentiment, répercuté dans un double écho, n'y produit qu'un seul et même intérêt.
>
> De Lamartine.

I.

Nie lubię, gdy się romans zaczyna od balu;
Nie lubię heroiny wyciętej z żurnalu,
Na którą się modniarka składa i perukarz —
Bo najczęściej pod blichtrem serca nie wyszukasz.
Zwłaszcza, gdy idealnej szukasz heroiny
Na szybach woskowanych, we mgłach krynoliny —
Lecz któż nie wie, jak rzadko spotkać ją w tym świecie,
Gdzie uczucia tak sztuczne, jak robione kwiecie,
Gdzie spojrzenia, uśmiechy i łzy wykłamane!
Jednakowoż bywają dusze tak wybrane,
Że żal patrzeć jak łańcuch, z pajęczyn uwity,
Przykuwa nie Maryle same, a Judyty — —

II.

Na przekor założeniu temu, moja powieść,
Chociaż nie tendencyjnej natury, chce dowieść:
Że na balu w Warszawie — — Przecudne tam bale!
Nie tylko w sam karnawał, i po karnawale
Ochota nóg się trzyma, z szlachetnej podniety,
Ażeby opisywać miały co gazety.
Otóż, na jednym balu — tak powieść dowodzi:
Był panicz i panienka — oboje zaś młodzi
I na świat wstępujący. Nie wiem czy się godzi
Nazwać ich? więc nie nazwę; lecz węzeł zawiążę
Gdy powiem: ona była pięknością, on — książę.

Że zaś piękność — tu węzeł mój zadzierzgnę lepiej —
Nie zawsze się na drzewie herbownej krwi szczepi,
I nie zawsze z posagiem chodzi w jednej sforze — —
Otóż wpadam w socyalizm! uchowaj mię Boże
Od tej zmory, co dusi nasze powieściarze,
I daj, niech bez tendencyi tę powieść domarzę.

III.

W potokach światła, woni, kolorów, gorąca,
Parę tańczącą para prześciga tańcząca;
Walc wirowaty salę jak uragan wstrząsa:
Klarynety wciąż górą, bas niby się dąsa;
Skrzypce, jak śpiew pastuszka w dolinie pod lasem,
Rozlegają się echem i kłócą się z basem.
To Strauss lubieżne tony do serca tak leje,
Jakby napój miłosny — i wszystko szaleje. —
Girlanda tylko matron zbyt chudych, lub tłustych,
Ustawiona pod ścianą cenzura dla pustych,
W wysokiem nastrojeniu na kamerton cnoty,
Przez podwójne lornetki śledzi te obroty
Par tańczących i wrokiem pomiędzy nie wpada,
Aż tancerka tancerza porzuca i siada.
Właśnie usiadła jedna sukienka bialutka,
Z twarzyczką, jak w mgłach księżyc lub w mleku jagódka —
Wolę to porównanie bo nie osyaniczne —
Słowem, dziewczę to było tak śliczne, tak śliczne —
Lubo nie wiem, czy jasną płeć miała lub smagłą?
Gdyż najpierwsze wrażenie bywa rzeczą nagłą,
Jak działanie promieni słonecznych Daguerra —
Wrażenie się przyjmuje, ale nie rozbiera.
Najpewniej, że w niej wszystko było odpowiedne
I w cząstkach i całości, i tak niepowszedne,
Szczególniej ócz wyrazem, potem ust uśmiechem,
Że zgubić dla niej duszę nie byłoby grzechem —
Chociaż grzechem być może w tegoczesnym duchu,
Co się rad zabezpiecza od tego wybuchu,

Przez wolne wydymanie sercowych wulkanów:
W grze, sporcie i wojażach naszych Anglomanów,
Wychodzących z Infimy — —
Usiadła pod ścianą,
Słuchała nie słuchając, już przygotowaną
Jakąś długą perorę, mówioną pół głosem;
Zniosła ostre spojrzenie, rzucone ukosem — —
Zniosła nawet — co dziw mi — na czoło zsunięty
Promyk włosów; a wachlarz ma nierozwinięty,
Choć po szalonym walcu chłodzić się wypada —
Zwłaszcza, gdy pierś zmęczona wznosi się i spada
Jak fala, co uderza o morskie krawędzie.
Szumne to porównanie znalazłem w Ostendzie.

IV.

Gdyby tam jaki bystry dostrzegacz stał z boku
I uważał niezwykłą odmianę w jej oku,
Co z pod rzęsów jedwabnych długi promień słało
W jeden punkt, tylko w jeden — bo nic nie zbaczało,
Jak i słońce nie zbacza, patrząc w boże światy,
Gdy odświeża je wiosną w zieloność i kwiaty —
Pewnie by w lot pochwycił, jak wyżeł przepiórkę,
Jakiś sekret i w serca aż zajrzał komórkę.
Szczęściem że go nie było! wreszcie trwało krótko;
Bo oto przed pięknością, księżycem, jagódką,
Młodzieniec wzrostem, czołem, profilem tak inny
Od reszty, stanął przed nią; a jakiś pan zwinny
Choć otyły, zapewnie gospodarz zabawy,
Przedstawił go, z tytułem księcia, do Warszawy
Tylko co przybyłego —
Panna się spłoniła,
Odrzekła coś półgłosem i oczki spuściła;
Choć pewnie weń patrzyła owem światłem duszy,
Co widzi o mil tysiąc i co słyszy w głuszy. —
Wszak bywają osoby o dwoistym wzroku,
Co widzą w oddaleniu, nawet w nocnym mroku,

Lepiej niż na dniu — jest to organizm nerwowy;
Wreszcie tak samo widzą i koty i sowy. —
Lecz ja chciałbym tu skreślić stan dwóch serc niezwykły:
Gdy się spotkały w tłumie i naraz przenikły
W skutek prądów tajemnych ku sobie biegnących,
I gdzieś się w napowietrznej drodze krzyżujących:
Aż zawiązują węzeł, sympatyą nazwany,
W moc którego nieznaną, już kocha nieznany.
I zanim się ich oczy spotkają, dłoń zbliży,
Już czują coś w powietrzu i krew bije chyżej;
A wewnątrz się rozlewa tęsknota tak rzewna,
Wszystkie myśli przenika harmonia tak śpiewna,
Że co widzą, co słyszą, co dotkną — to wszystko
Przedstawia się jak z innych światów pojawisko!
Kwiaty lepiej im pachną, niebo błękitnawsze,
I zieloność zieleńsza, ludzie dobrzy zawsze
Jak anioły — a ziemia istny raj przed grzechem —
Możnaby świat spółbożyć takich serc uśmiechem!
Lecz dobre się nie szerzy jak mór, lub cholera —
I ten uśmiech na ustach ironii umiera!
Cóż dziwnego, że para tak usposobiona
Szukała się — znalazła — i w jego ramiona
Gdy zaprosił do tańca, jak gołąbka biała
Rozpostartemi skrzydły na piersi zleciała.
I oboje w tłum wpadli.

V.

Próżno chcieć odemnie
Bym opisywał, jak to walcować przyjemnie,
Jak wonne tchnienie wciągać, oko topić w oku,
I ulatywać w niebo w wirowym obłoku —
Bo mógłbym jak raz trącić o płaską zmysłowość,
Lub zabrnąć w Balzakową opiso-rzeźbowość,
Z zasady rozdrabianą dzisiaj na atomy,
Z czego treść arcy-kusa rośnie w długie tomy

I na łokcie się płaci. Ja tam tej metody
Trzymam się, i co chwila wymyślam przeszkody,
Zupełnie jak w gonitwach końskich z przeszkodami:
Gdyż im dłuższa rzecz będzie, księgarz więcej da mi.

VI.

Wtem orkiestra ucięła, szmer powstał na sali:
Ogólny szturm na biufet — —

VII.

Gdzież będziem szukali
Pary naszej? Nie śmiałbym posadzić ich przecie:
Przy szumiącym szampanie, truflowym pasztecie,
W gawędce o miłości z krytycznym poglądem,
Niemniej filozoficzno-estetycznym sądem,
Co się często kochankom tegoczesnym zdarza,
Że lawę namiętności leją z kałamarza.
Tam — ich nie ma. Lecz gdzież są?
Gdzież by indziej byli
Jeźli nie tam, gdzie księżyc świeci, słowik kwili,
Wody mruczą, a drzewa wieczorne pacierze?
Zwykle piękna natura dziesiąty grosz bierze
Z pierwszych uczuć; a zatem wniosek oczywisty,
Że w każdym zakochanym trochę panteisty.
Zgadłem! — otóż ich widzę — w oknie. Cień firanek
W połowie ich zasłania, a księżyc kochanek
Znów w połowie oświeca. Podobnie ich miłość
Teraz jasna — w przyszłości pochmurna zawiłość —
Ale gdzież im te myśli trapiące przyjść mogą,
Gdy w tej chwili prócz siebie nie widzą nikogo?
Bo i po cóż by mieli wyprzedzać tę chwilę,
Gdy w niej upojeń, szczęścia, zbiegło się aż tyle! —
Cherubin przed jasnością bożą ócz nie mruży,
Tylko mdlejąca wiara wciąż lęka się burzy.

Nie wiem co tam mówili; milczeli najpewniej.
Milczenie się wyraża w miłości najśpiewniej
I najgłębiej, jak cisza ukrainnych stepów,
Gdzie niezmierna tęsknota od niebieskich sklepów
Wieje w serce człowieka, pogrąża w zadumie,
Że już sobie ze światem rady dać nie umie.
Milczeli — po cóż mówić, gdy wszystko do koła
Tłomaczyło ich myśli. Włoskich topól czoła
Kłaniały się, winszując narodzin Erosa —
Od gwiazdek uśmiechniętych spadywała rosa
Wilgotnym pocałunkiem — róż pąkowie prysły
I cudną woń posłały wietrzykiem od Wisły;
A słowiczek, poeta odwieczny a nowy,
Wyśpiewał dla nich sonet. Na cóż im rozmowy?
Na co rozmowy, kiedy ich źrenic promienie
Spływały się ze sobą, mięszało westchnienie,
Usta drżały jak listki, a ściśnięte dłonie
Gadały o najmniejszem drgnieniu serca w łonie.
W kontemplacyi wzajemnej wszystko się zamyka;
Jest to w sztuce miłości największa mistyka,
O której ni Grek żaden, ni Owid nie wiedział;
Chrześciaństwa od pogaństwa najszerszy w tem przedział,
Który znowu najnowsza chce godzić nauka:
Że kto duszę posiada, ten i ciała szuka.
Jeźli romanse grzeszą zbytnią gadaniną,
Tedy niemy bohater, z niemą heroiną
Tępo-by posuwali ten dramat miłośny,
I każdy-by go cisnął, mówiąc: że nieznośny;
Że autor niepotrzebne nasuwa domysły,
Że i w miłości język powinien być ścisły
Jak w algebrze; co słusznie, wszak dzisiaj kochanie
Jakby algebraiczne wygląda zrównanie.

VIII.

Nie wiem czy książę przeczuł naszą niecierpliwość,
Czyli też przyrodzona uniosła go żywość,

Czy wreszcie powódź uczuć, tak nagle, jak wody
Górskie, śród najpiękniejszej wezbrane pogody,
Nie mogła się pomieścić w piersi bez pęknięcia,
Co się i malowało w rysach twarzy księcia,
Bladych, skurczonych bolem tej wewnętrznej burzy —
Bo się chwycił za piersi, i jęknął: och dłużej
Milczeć mi niepodobna! — W nieaktorskim geście
Znać było nieudane cierpienie. Nareszcie
Przybrawszy wyraz twarzy spokojnie posępny,
Rzekł: —

O przebacz mi pani! jeżelim występny —
Jeżelim cię śmiałością moją mógł obrazić!
Tyś wybrana i święta — a czyż mógłbym kazić
Choćby cieniem złej myśli anielskość dziewiczą?
Ku tobie mię coś niosło siłą tajemniczą —
O mil tysiąc przeczułem, że ktoś mię tu czeka;
O mil tysiąc wiodła mię jakaś postać lekka,
Jak we śnie, kiedy człowiek po powietrzu lata. —

Z tych słów wydał się książę, że jest dyplomata,
Bo odgadł sytuacyę, w którą go rzuciła,
Od wszelkiej dyplomacyi potężniejsza siła.
A że w tem odgadnięciu i ona postrzegła,
Jak się w jednem uczuciu z kochankiem swym zbiegła;
Więc milcząca, ku ziemi spuściła powieki.

— Pani! mówił znów książę, twój jestem na wieki!
Jedno mgnienie rozstrzygło, namysłu nie trzeba;
Bo czuję, że się na mnie spełnia wyrok nieba —
Nie wiem jakie przeszkody świat pod nogi ciśnie,
Lecz wiem, że łańcuch świętej przysięgi nie pryśnie;
I cokolwiek tu spotka, ślubów mojej duszy
Ludzie mogą naruszyć, niebo nie naruszy.
Ażebyś nie myślała, że w mózgu się pali
Szaleńcowi — daj mi tę gałązkę konwali;
Będzie to moich przysiąg świadek, i zadatek
Wzajemności twej, pani! — O daj mi ten kwiatek!
Położę go na sercu: gdy to bić przestanie,
W niego przejdzie nadzieja moja i kochanie,

I wonią mówić będzie, niż ja mówię tkliwiej,
Że choć tu nieszczęśliwi, tâm będziem szczęśliwi! —
Zapomniałem z początku, kiedym te osoby,
Wyprowadzał na scenę, wymienić ozdoby
I znaki szczególniejsze: kolor sukni, włosów,
Czy w nich był powój, fiołki, lub girlanda z wrzosów;
Jaka tusza, nos, usta jakiego rozmiaru?
Do pisania paszportów widać nie mam daru.
Chcąc jednak to naprawić, potrzebna jest wzmianka,
Że w jej włosach świeciła konwalii równianka,
I że kilka gałązek, uciekłszy z szeregu,
Leżało na jej szyi jak płateczki śniegu.
Otóż do tych to zbiegów książę miał przemowę,
I żądanie przy wstępie trochę romansowe,
Co chyba wytłómaczy ta jedna uwaga:
Że na wstępie szczególniej popłaca odwaga,
Zwłaszcza kiedy tak jedna jak druga osoba
Czuje pociąg i jedno w drugiem się podoba.
Jakoż książę zgromiony nie był; lecz przeciwnie,
Słodko się uśmiechnęło dziewczę, i naiwnie
Podało mu uszczkniętą konwalii gałązkę —
Nie jak ów, co to znalazł zgubioną podwiązkę,
I aktem komedyanckim dar skompromitował:
Ona dała pamiątkę, a książę ją schował.
Wszystko to się odbyło prędzej niż w tym rymie;
A w takiej tajemnicy, że nawet jej imię
Nie biegało po sali rzucone przez ciocię,
Pytającą: gdzie Kocia? kto mi porwał Kocię?
Pewność tę jeszcze lepiej ten wzgląd udowodni,
Że ludzie się nie trudnią drugimi gdy głodni —
Szczególniej, gdy zastawne czekają ich stoły.
Wyjątkiem od reguły jest: głodny, a goły.

IX.

Cóż dalej? czytelniku zapytasz wraz ze mną —
Cóż dalej? przyznam ci się, że dalej dość ciemną

Podano mi legendę, niby kropel kilka,
W których może się zmieścić i pasterska chwilka,
I balkonowe sceny Romea z Julietą,
I porwanie klasztoru, i podróż karetą:
Pogoń, odbicie, scena z zagniewanym tatą,
Jakimsiś kontuszowym zaciętym Sarmatą,
Co się na sentymentach nie zna ani trocha,
Co myśli, że dość kazać — a serce pokocha;
I nawzajem, że grzechem kochać bez rozkazu —
Słowem, tysiąc scen, rysów do tego obrazu
Mógłbym brać, aby wypchać ten środek, jak ptaki
Wypychają, w żołądek kładąc sierć lub kłaki —
Aż ptak będzie jak żywy, tak złudną z piór szata;
Lecz w tem sęk, że nie śpiewa, ani też nie lata.
Te wszystkie kombinacye, jak panny do wzięcia,
Przeciągały przedemną; lecz nic przedsięwzięcia
Nie zmieniało mojego. Dwa skrzydła motyle
Dano mi, więc je razem ze sobą zeszpilę,
A o kadłub już mniejsza — bo cóż po kadłubie?
W motylu każdy skrzydła lubi, i ja lubię.
Tak samo i w powieści: gdy początek dany
I koniec — to już mniejsza czem kadłub wypchany.
Zresztą, źle jest wszystkiego naraz się wygadać;
Co braknie, czułe dusze mogą podokładać.

X.

Cóż robi nasza piękność po owym wieczorze?
Co może: — A co książę? On również co może.
A zatem nic nie robią oboje. W tym szale
Wiele się wzdycha, marzy, przemyśliwa; ale
Zwykle nic się nie robi; bo i robić trudno
Gdy w samotności gwarno, a w gwarze bezludno;
Kiedy jedno za drugiem po obłokach goni,
Szuka w kwiatach i trawkach, gdzie igra Favoni,
Bożek, którego tutaj wskrzesiłem dla wiersza;
Restauracya klasyczna, zaiste niepierwsza —

Wszak ktoś tam o klasyków warszawskiego księztwa
Nie darmo tyle kopij skruszył — bez zwycięztwa.
Otóż choć się szukają zrazu gdzie ich nie ma,
Choć miłość taką próbę dość długo wytrzyma,
Jednakowoż ból serce ugniata jak zmora:
Książę się rozchorował, i ona też chora — —
Choroba jest potrzebna jak burza w naturze —
Serce jeżli nie pęknie, wzmocni się przez burzę.
A widać, że obojgu wyszło to na zdrowie:
Bo się więcej zbliżyli odtąd kochankowie.
Jacy-ż z nich nowicyusze! jaki brak rutyny!
Dzisiaj rzadko kto chory z tak błachej przyczyny;
Pewny znanej recepty: klin klinem wysadza.
Gdy jedno serce chybi, drugiem wynagradza.
Myśli takie na chwilę u nich nie postały:
Jakoż są to wyjątki — albo ideały,
Tyle tylko z drugimi mające wspólnego,
Że on chciałby w nią patrzeć — ona patrzeć w niego.
Zbliżyli się nakoniec! Lecz takie zbliżenie
Kochanek przedsiębierczy miałby w nizkiej cenie,
Bo i zbliżenie nawet różnie się tłómaczy:
Czyż Gustaw potępieniec na szczycie rozpaczy,
I po stracie nadziei nie chciał przestać na tem,
By Maryla z nim była jak «siostrzyczka z bratem?»
Któżby na tem nie przestał? Wszak to samo szczęście!
A jednak, gdy je mamy, marzy się zamężcie.
Miłość jest, jak pragnienie niezgaszone niczem.
Mógłbym to poprzeć Biblią, Dantem, Mickiewiczem —
A nawet z życia wziętym przykładem okrasić:
Gdyby dziś nie umiano pragnienia tak gasić,
Że nic się ogniotrwałej piersi już nie czepi.
Rozsądźcie, czy to lepiej, czyli też nie lepiej? —
Nim trybunał miłości w sprawie tej orzecze,
Muszę wracać do wątku, bo jeszcze uciecze,
Jak z wiatrem nić pajęcza, którą snuje jesień,
Niby ostatni kwiatek stygnących uniesień. —

XI.

Wracam tedy do rzeczy. A więc się zbliżyli,
I widywali często, z daleka — lecz czyli
Były jakie zabiegi ze strony książęcia,
Aby się ojcu panny przedstawić na zięcia?
Tego nie wiem; zapewnie później to nastąpi —
Wiemy jak zakochani zazwyczaj są skąpi
W szafunku chwil, grą uczuć tyle zaprzątniętych,
Ażeby po protekcyę gdzieś do wszystkich świętych
Biegać, kłaniać się, ściskać, wyprawiać obiady,
Układać twarz i mowę jak do maskarady,
A na dobitkę robić z notaryuszem targi —
Niźli to, milsze dla nich cierpienia i skargi.
Jakoż o tem nie myślą.
Codzień ona blada:
Rumieniec znikł od balu — w otwartem usiada
Oknie, po za kwiatkami, co w doniczkach rosną,
A przed nią z naciągniętą kanwą stoi krosno,
Gdzie haftuje: tradycya ta od Penelopy;
Wszystkie tęskniące panny iść muszą w jej tropy.
A jednak kwiatki, listki, pod jej paluszkami
Jakoś wschodzić nierade — bo haftuje łzami,
Główkę wspiera na dłoni, wzdycha raz po razu —
Czasem klęknie, i rączki złoży do obrazu
Częstochowskiej Madony — i wtedy, o cudzie!
Coś ją ciągnie do okna popatrzeć. — Tam, ludzie
Niby rzeka, ulicą płyną — obce twarze —
Lecz chód jego w ulicznym wnet rozezna gwarze,
I nigdy się nie zmyli. Bo oto młodzieniec
Przesuwa się: wzrok podnosi — a na nią rumieniec
Występuje tak nagły, serce drży, wzrok ćmi się,
I nie wie czy to jawa, czyli też jej śni się?
Takie jedno zbliżenie na cały dzień starczy;
Nic by z nimi nie wskórał i język potwarczy.
Lecz z czasem i on śmielszy; lubo się zdawało,
Że już po pierwszym kroku nie wiele zostało;

Bo wstęp był impetyczny jak początek ody.
Dziś spokojniejsza szyba tej głębokiej wody;
Ich gwiazdy, chociaż stałe, wciąż dążą ku sobie,
Że jedna doba, drugiej niepodobna dobie.
Książę coraz się częściej ulicą przechadza;
Czasem bukiet ma w ręku, co myśl serca zdradza
Symbolem purpurowym, żółtym, lub niebieskim.
Czasem też na przepysznym bachmacie czerkieskim,
Powoli po pod oknem przejeżdża, a zwierzę
Zwykle karne i grzeczne, jakoś na kieł bierze,
Wspina się, w miejscu kręci — nieraz popręg pryska —
I spojrzenia ich dłużej sypią się z ogniska. —
Aczkolwiek ócz wymowa ma swe cycerony,
Uczucie się wymowniej wyraża przez tony,
Najwymowniej w dotknięciu, w uścisku najdzielniej.
Lecz tę skalę kto inny niechaj uzupełni.
To pewna, że miłości aż dwa są rodzaje:
Jedna tutaj się kończy, druga nie przestaje
I za grobem snuć swoich marzeń i nadziei;
Jedna nienasycona, gdy druga się przeje.
Że kochankowie nasi do pierwszej należą,
Widać to ze wszystkiego: bo cierpią i wierzą,
I ulgi nie szukają w tem co ją przynosi.
Przecież kto się chce zbliżyć do panny, ten prosi
Rodziców, albo krewnych, o wolność bywania,
Rozpoczyna formalne o rękę starania;
Walczy z przesądem, upór, intrygę zwycięża,
I chcąc być mężem, musi zdobyć imię męża.
Tryb to zwykły; lecz oni odmiennego kroju:
Codzień przejrzeć się wzajem, jak słoneczku w zdroju,
Westchnąć, zblednąć, zczerwienieć, kłaść rękę na sercu,
Jakby się przysięgało na ślubnym kobiercu —
Spotkać się na spacerze, lub w kościelnym tłoku,
Usłyszeć nutę dumki miłosnej o zmroku,
Znaleźć zgubiony bukiet, a wierszyk w bukiecie —
To już dla nich wystarcza, to szczęście w ich świecie.
I tak ubiegło lato na sennem marzeniu,
Niby anioł, co spłynął na złotym promieniu,

I przyniósł aż z Edenu kwiatów pełne kosze,
Któremi posypywał wszystkie ich roskosze.
I pragnienia człowiecze, że prawie myśleli,
Iż mogą tu na ziemi kochać jak anieli.
Lecz trafem, między inne, rodzaj niezabudki
Wmięszał się i ostrzegał, że raj ziemski — krótki.
Kwiat ten zowią przeczuciem.
A cóż jest przeczucie?
Oto najsłodszych serca roskoszy, otrucie!

XII.

W romansie tym przeczucie grało wielką rolę,
I tak jej, jak i jego owładnęło wolę,
Że naraz, i tej chwili, oboje wiedzieli,
Jak we śnie magnetycznym, gdzie się spotkać mieli;
I pewno nie chybili. Czy w Saskim ogrodzie,
Czy w aleach, gdzie z ciotką o wieczornym chłodzie
Wyjeżdżała powozem; czy na nabożeństwie;
Wiedział gdy słaba, wiedział gdy w niebezpieczeństwie;
Bo raz wpadł był do domu i narobił krzyku,
Że gore! Ona również w swoim pokoiku
Siedząc, naraz uczuła przestrach niespodziany,
W chwili, gdy go w nurt Wisły niósł koń rozhukany.
Słowem taką sympatyą zrosły się ich dusze,
Że przykład aż na braciach Syamskich dać muszę;
Bo jeżli się plecyma zróść mogły bliźnięta,
Czemuż dusza nie może z duszą być zrośnięta?
Przebaczcie, jeżlim znudził tą metafizyką;
Wszak każdy ma pretensyę, zapewne dość dziką
Tłómaczyć fenomena, co są nad pojęcie.
Niedarmo filozofy brodzą w tym odmęcie;
Od czasu, jak im Szekspir rzekł prawdę niemiłą:
Że są rzeczy, o których ani im się śniło. —
Odtąd pyszny filozof wszystko rad tłómaczy,
Z tą maleńką różnicą, że każdy inaczej.

XIII.

Nie wiem, czylim sympatyę zdobył dla mej pary,
I czyli kto nie powie, że to sposób stary
Kochać tak niedołężnie i sentymentalnie?
Nie przeczę — i już czuję jak mię krytyk palnie —
Lecz cóż począć? tak było! nie moja w tem wina:
Że bohater marzyciel, marząca dziewczyna,
Po powietrzu latają jak Dantowskie duchy,
Z kwiatów życia strząsają ledwie same puchy;
Smutków, radości ziemskich, prawie jak nie dzielą,
I żywi, gdzieś na gwiazdkach gniazdo sobie ścielą
Z westchnień, spojrzeń, snów, rojeń, i pieszczót niewinnych —
Jak gdyby mieszkańcami byli światów innych,
Jak gdyby rzeczywistość w zębate swe koła,
Nie śmiała jak człowieka, porwać i anioła? —
Gniewajcie się jak chcecie, lecz miłość prawdziwa,
Rzadko jest działającą, częściej gnuśną bywa;
Jej ogień nie hartuje, owszem serca topi:
Najtężsi przy Omfalach, zniewieścieli chłopi.
Bo kiedy łzy do oka cisną się bez przerwy,
A serce pierś rozsadza, rozstroją się nerwy,
A za gardło ból chwyta, a gorączka pali —
Czy podobna w tym stanie być mężem ze stali?
Mniemam też o niejednym wielkim bohaterze,
Co zasłynął romansem, że kochał nieszczerze,
A przynajmniej uczucie podzielił na dwoje,
Między sławę rycerską, a kochankę swoją.
Przeciwnie tam, gdzie miłość ma swój cel jedyny,
Światy marzeń ogromne, a małe są czyny;
Bohater, istne dziecko, co na koń drewniany
Wsiadłszy, zrywa wędzidłem, naciska kolany,
Miota się, rusza cały, a koń stoi wryty — —
Grek niedawno z pian morskich postać Afrodyty
Tworzył — a ztąd miłości symbol: morska pianka!
I takim był mój książę i jego kochanka.

XIV.

Ile ciemna legenda dostarczyła rysów,
Tylem o nich powiedział.
Pod cieniem cyprysów,
Arab fantazyi swojej może puścić wodze,
Bo ciekawych słuchaczy nie brak w nudnej drodze;
Zresztą puszcza bezbrzeżna, piaskami zasiana,
Wydaje tak powieści jak fata-morgana.
Lecz u nas, gdzie bez gazet żyć prawie występkiem,
Tym podobne androny, pół-uchem, pół-gębkiem,
Słuchają się i mówią. Salon nie pustynia,
Choć w puszczy, niż w salonie prędzej muz świątynia.
Com słyszał, to powtarzam, zwłaszcza, że fakt pewny,
A nie bajka, gdzie wchodzą zaklęte królewny.
Owóż jednego ranka, dziwny kaprys losu
Zburzył ten raj kochanków. Piorun bez rozgłosu
Spadł i rozciął jak mieczem dwie duszyczki bliźnie,
Że się już nie połączą, aż w wspólnej ojczyźnie;
Mówiąc jaśniej: — mój książę wezwan telegrafem
Na dwór, wracał natychmiast. Również dziwnym trafem,
Ojciec panny zaniemógł; więc przysłano po nią,
I oboje w przeciwne strony, naraz gonią:
On na północ, daleko — ona o mil kilka — —
Chwilka ich połączyła, rozłączyła chwilka.
Czy złowrogie przeczucie ostrzegło ich wprzódy?
Czy sny były straszące, lęk serca i nudy?
Tego nie wiem; najpewniej, że coś być musiało,
Lecz nic by nie pomogło, kiedy tak się stało;
I konieczność ich wzięła jeszcze w takie kluby,
Że ni ona lubego, ani on swej lubej
Nie mógł nawet ostatniem pożegnać wejrzeniem.
Słońce dzień ten powinno było choć zaćmieniem,
Niebo łzami obchodzić; kwiaty listki stulić —
Przecież wdzięczna natura mogła się rozczulić
Nad nimi, kiedy uczuć była powiernicą — —
A tymczasem, jak na złość, dzień nad okolicą

Rozpostarł lazurowe bez plamki namioty,
Złote słońce świeciło, świecił księżyc złoty —
I świat się uśmiechiwał jak dziecię z pieluszek,
Nie bacząc na łzy krwawe rozdartych serduszek.

XV.

Grad tęsknic, melancholii, trwóg, gorzkich wyrzutów,
Spadł na nich i okolił jakby klatką z drutów.
Osobno przesadzone ptaszki, obojętnie
Patrzą na świat do koła, choć wabi ponętnie
Cukierkami roskoszy; choć przyrzeka zatrzeć
Te rysy — co tam w głębi, choć nie każe patrzeć
Po za siebie, a tylko w urocze obrazy
Różowemi małżeństwa powleczone gazy;
Piękne imię i statek, fowarki i cugi,
I podobnych konjunktur szereg jeszcze długi —
Ten język dla obojga był niezrozumiany,
I odpadał, jak grochy rzucone o ściany.
Mimo tego, z obojgiem co chciano, zrobiono:
On został cudzym mężem, ona cudzą żoną.
Bez żadnej protestacyi spełnił się obrządek,
Jakby tego wymagał społeczny porządek,
Wola ojców; nareszcie, że to rzecz przyjęta,
By chłopcy się żenili, za mąż szły dziewczęta.
Nie wierzyłem, wyznaję, w całe to podanie,
Żeby się związek taki odbył jak śniadanie,
Bez mdłości, przekleństw, szlochów i bez krwawej sceny;
Lecz widać, że dziś rzadziej sztylet Melpomeny
W życie nasze się mięsza; z czego wniosek taki:
Że nie prawda, co piszą Sandy i Balzaki.

XVI.

Był dzień majowy, ciepły; mgła wilgotnych woni
Wisiała nad sadami bzów, wiśni, jabłoni;

Słowik zaś te zapachy chcąc zagłuszyć w pieśni,
Przekonał, że duch-woni, duch-śpiewu — rówieśni
Są jacyś gieniuszkowie. Jeźli woń odurzy,
To śpiew z serca wyciśnie uczucie, jak z róży
Wyciskają na wchodzie olejek pachnący — —
Był to dzień — dosyć tego!

Na ganek służący
Przyniósł z poczty dzienniki, i list pod adresem
Samej pani. Gazety porwał pan obcesem,
I zatonął po uszy w dziennej polityce.
Pani list otworzyła —

Oblicze kobiece
Nie jest duszy źwierciadłem. — Niech to nie obraża;
Wszak oblicze z marmuru, pod dłutem rzeźbiarza,
Jedno-li poruszenie wewnętrzne wyraża —
Toż marmurową maskę gdy wdzieje kobieta,
Nic przez nią najciekawsze oko nie wyczyta,
Krom tego, że los jakieś popisał tam runy,
Za któremi cierpienia leżą, lub całuny — —

Czytała — a na masce marmurowo białej,
Nie drgnął jeden nerw więcej; i prócz plamki małej,
Co zrumieniła lice, nie znać plamki innej —
List pewnie obojętnej treści i niewinny.
Sam mąż, co zrazu zerknął nad arkusz dziennika,
Chcąc ją spytać zkąd list ma, i co tam zamyka?
Gdy ujrzał marmurowość, pytania nie wtrącił.
Dobrze zrobił! Na wieki byłby sobie zmącił
Wieśniaczy, czerstwy żywot. On, co się tem chlubił,
Że górnych sentymentów w kobiecie nie lubił,
Cenił w niej gospodarność przy zdrowiu, urodzie —
Za złe nie miał, chociażby hołdowała modzie,
Byle znowu wciąż nie szły sążniste rachunki.
On, co przyszedł do takiej, jak powiadał, żonki,
Co była i gosposią, ładną i posłuszną —
Musiałby teraz zgłębiać zagadkę jej duszną.
Sęk nie lada! Logogryf rozwiązywać taki!
Ztąd sądzę, najszczęśliwsze podobne prostaki:

Bo co wewnątrz? nie dbają, jak ci antykwarze,
Ceniący Benvenuta rzeźbę na puharze,
Nie patrzą w środek, myśląc że naczynie próżne.

XVII.

U gminu wieści noszą jaskółki podróżne —
I ta forma w poezyi bardzo jest na rękę,
Bo ptaszkowi do dzióbka dość włożyć piosenkę,
Aby z efektem oddał smutną katastrofę;
Aktorka, gdy umiera, woli paść na sofę,
Niż na ziem; ja rad nie rad padam na podłogę —
I już list ten nieszczęsny powtórzę jak mogę!
Wprzódy jednak maleńki szczegółek dołożę:
Dzisiaj właśnie, rok temu, na balu —
— Mój Boże!
Któż potrafi rozwikłać losu plątaniny!
Dosyć, że dziś rocznica, niby urodziny
Miłości ekstatycznej, dziwnej, niepodobnej,
Upowitej promieńmi nadziei zagrobnej,
Kołysanej w najgłębszym dwojga dusz tajniku,
I pragnącej coprędzej na gwiazdy promyku
Wrócić znowu zkąd zbiegła — pomiędzy anioły —
Snać za czysta na ziemskie walki i mozoły!

XVIII.

I wybuch jej rozpaczy przeszedł bez wybuchu.
Jakoż wszystko stłumiła w sobie, w piersiach, w duchu,
Gdy czytała wyrazy listu od kochanka —
Bo to był list od niego — —
«Pani! tego ranka
Lekarze byli u mnie; poznałem z ich twarzy,
Że już nic się spodziewać nie mam od lekarzy.
Ledwo kilka dni życia zostało mi; czuję
Jak duch mój gdzieś w daleką drogę się gotuje.

Dokąd pójdzie? sam nie wiem; lecz jeźli choć trocha
Zatrzyma w sobie woli, to ku tej co kocha —

— — — — — — — — — — — — — — —

Do listu kilka zeschłej konwalii gałązek
Dołączam: pod ich godłem zrobił się nasz związek —
One moją przysięgę słyszały — te świadki,
Zasadź w ziemię — pielęgnuj jak zwyczajne kwiatki:
Jeźli odżyją barwą i wonią po zgonie,
To znak, że ja w nich żyję i dla ciebie wonię —»

XIX.

I koniec. — Zakochani miewają pomysly
Tak dziwne, że je rozum nie przyjmuje ścisły;
I ja sam bym odrzucił, gdyby nie uwaga,
Że żadnej cudowności rozum nie pomaga,
Owszem depcze jak bajkę, i do chorób liczy
Wszelki z zagrobnym światem związek tajemniczy.
A jednak to zdarzenie wyszło z ust prawdziwych,
I heroina sama liczy się do żywych,
A niezmyślonych osób; istna *sensitiva*,
Od świata stula listki — ale w świecie bywa,
I pyta: co tu robię? — U wód za granicą
Spotkać się ze światową mogłeś samotnicą,
Gdyż jej dziwna historya z ust do ust krążyła.
Zapytana o prawdę — nigdy nie taiła,
Owszem pokazywała dowód, ów uschnięty
Kwiat konwalii, pieszczony jak depozyt święty,
I nigdy nieodstępny. Liście, białe dzwonki,
Odżyły tak wspaniale, że ołtarz patronki
Niepodobna ozdobić nawet piękniejszemi;
A zapach wydawały jakby nie tej ziemi
Tylko inny. W legendach, gdy święty się zjawia,
W powietrzu taką wonność po sobie zostawia.

PRZESYŁAJĄC MIMOZĘ

DO HR. J. P.

Pani, co rzadki posiadasz przywilej,
Że umiesz mówić i słuchać najmilej,
Często i nie wiesz w rozmowy zapale,
Jak sypiesz perły, djamenty, opale —
Niby z Tysiąca Nocy książę wschodnie,
Gdy każe skarby miotać na przechodnie.
Los mi nadarzył jednego wieczora,
Żem miasto rupii, schwycił Koh-i-nora,
I rad nad podziw monarszej szczodroty,
Chciałem ten klejnot mieć w oprawie złotej.
Chełpliwość srodze była ukarana,
Bo to był kamień z władzą talizmana,
Który mi zaraz dziwny figiel spłatał:
Żem już po ziemi nie chodził a latał
Wirowym lotem wiatrakowych skrzydeł,
W zaklętym świecie bajecznych mamideł,
Goniąc a goniąc bez tchu, wypocznienia —
Jakieś dwa Diwy, dwie Peri, dwa cienia
Zrobione z woni, muzyki i tęczy —
Myślałem, że mię ta pogoń zamęczy —
Ale na szczęście dopadłem gdzieś soli,
I one cienie wziąłem do niewoli.
Sekret to bowiem jeszcze średniowieczny,
Że kiedy dręczy kobold niebezpieczny,

Lub czarnoksiężnik gdzie na zdradzie stoi,
Solą się tylko zły duch uspokoi.
  Szeroko o tem legenda pisała:
Jak marmurowa Venus z piedestała
Zbiegłszy, goniła za artystą w tropy,
Przez całą drogę z Rzymu, po Alp stopy.
Jak po noclegach, spoczynkach, popasach,
Czy to w ruinach, czy w skałach, czy lasash,
W różnej postaci trapiła biedaka,
Mieniąc się: we lwa, rysia, wilkołaka,
To znów czarnego na koniu rycerza,
Co miał twarz trupią, skrzydła nietoperza —
Aż raz w zamczysku, gdy go noc napadła,
Ta sama Venus wieczerzę z nim jadła
Lukullusową. Różne tam szatanki,
Siarczyste wino lały mu do szklanki,
Owoców, potraw, stawiały obficie —
Artysta zmiatał — był przy apetycie.
Lecz mu się jadło niesłone coś zdało,
Więc ze solniczki soli szczyptę małą
Wziął — i w momencie pękła czarów siła —
Tylko bogini w powietrzu zawyła — —

  I ten talizman, i bogini ona —
To fikcya stara — tylko odnowiona:
Że kto ze światem fantazyi się zbrata,
Ten dla zwykłego jak stracony świata —
Pewnieby w końcu zamienił się w parę,
W błędny ogniczek, lub ponocną marę,
Gdyby ratunku nie było w tej soli,
Co z ziemską biedą godzi mimowoli —
  Nie wiem czy garść jej nie zanadto spora
W tej tu powieści — i czy Koh-i-nora
Wartość nie zgasła w pośledniej oprawie?
Osądź łaskawie.

RAPSODY I POWIEŚCI.

TRĄBY W DNIEPRZE.

Stał obóz polski, stała Ruś w taborze,
A między nimi Bugu święte łoże.

Rusin jedwabne rozpinał namioty,
Pawołoczemi opończmi czerwienił;
Srebrne tam szable i złocone groty:
Obóz Rusinów jak połoz się mienił.

Pod gołem niebem, w kożuchu baranim
Lach obok konia: szczyt i zbroja na nim —
Twardy ich żywot, jak żywot pokuty,
Chłop, koń i puklerz z jednego ukuty.

W dzień pierwszy głazy miotali kamienne,
W dzień wtóry strzały miotali kalenne;
W dzień trzeci z brzegu Błud obelgi miota
Na króla Lachów:

— Ej ty tuczny wieprze!
Azać Bug przebrnąć nie bierze ochota,
Kiedy się kusisz wody napić w Dnieprze?
Azać żal sadła na ruskie pazury? —
Na tu, na wieprzu! ryknie Ruś, jak tury.

A Błud, czarownik, stroił strachy lepsze:
Zaklął Peruna i wszystkie Kumiry,
Bug w mgłach rozkropił, wiatry podniósł cztery;

Rzucił zwierciadło — i woda po pasy;
Igłę na rolę — wstały w okrąg lasy;
Kamień na stepy — i góry na stepie.
Trafiajże Lachu, choćbyś miał sto ślepie.

— Źle z nami, wiara! czart nas wziął do koła.
I k'kopijniku król: Hejno! zawoła,
Włóczń Maurycego i szabla anioła,
Krzyż pański, imię Chryste i Marya!
Ciął szablą w zmory, kopią mgłę przebija —
Jak sen o świcie pierzchły precz tumany;
Znów świeci słońce, i Bug płynie szklany.

— Bogarodzico! wiara wpław, koń łodzią! —
Pierwszy król skoczył, a za nim czereda,
Aż rzeka na brzeg bryznęła powodzią,
Tylu w bród poszło. Ruscy popłoch trąbią,
Strach im do szyków i oręży nie da!
Lachy na karku siedzą, kolą, rąbią;
Z martwych do Bugu krew wali się rzeką —
Chorągwie w piasku; z ciał wstała mogiła;
Pycha butnego w piasek się wtłoczyła,
Pycha Błudowa. A gdzie Błud? — daleko
Wyprzedza wiatry — —

Kniaziu Jarosławie!
Klasnąłeś w ręce po krwawej rozprawie,
Samoczwór szlakiem pędzisz do Kijewa.
Brańce, namioty, skot, sobole, kuny,
Padły zdobyczą; z grodów biją łuny;
Ba, Kijewowi on pożar dogrzewa,
I sam Nowogród: Gorze mnie! zaśpiewa.

Tam, czy to zorza na dachy upadła?
Czy góra złota siedzi śród zwierciadła?
Pytają Lachy. — To Kijew — gór trójca
Czterysta cerkiew dźwiga, pasem z głazu
Biodra mil siedmiu okręca; do razu
Wytrąbi ze sto tysięcy mołojca.

A Lachy na to: Na głazy i bramy,
Mamy bukształe i tarany mamy;
Na sto tysięcy tuły pełne grotu,
Szable toczone, rumaki do lotu.

Stadami kawek czernieją dzwonnice;
Wilk zadnieprzański wyje korowodem —
Dadzibóg datkiem nie darzy, a głodem —
Wybija wnuków. Sokół zuzulice
Porzucił młode. Synu Włodzimierza!
W mur Nowogrodu niesie cię łódź chyża
Od sióstr i żony! — A gdzie dzwon wiecowy? —
Za gockie brzegi tyś pociec gotowy!

Uniż się grodzie! pas się twój rozkował,
Pożar złociste stropy pozdejmował;
Zgasłeś! — Bolesław konia w skok wypuszcza,
Oburącz mieczem w bramę ciął ze złota;
Miecz się wyszczerbił, padły na wznak wrota;
Na twarz bojary, na twarz czarna tłuszcza.

— Chrobryś pan, chrobry! mir, mir ruskiej ziemi!
Chleb, sól i kości świętych! — Pawołoką
Szlak ci wymościm; dzwony sofijskiemi
Odzwonim sławę. Ośm dziewic, jak oko,
Sióstr Włodzimierza z oprawą, twym plonem.
Stolec Ruryka podeprzem wysoko,
Szeroko stopnie wybijem pokłonem.
Cześć tobie ninie, Chrobry po wsze czasy! —

I szedł król, za nim oszczepów szły lasy
W chram świętej Zofii. Pieśń: Bogarodzica
Wstrzęsła sklep cerkwi; ostrzele i lica
Pokorą pyłu przed ołtarz się miotły:
A wszystkie dzwony dzwonią, huczą kotły.

Żer, żer, sokoły! Król dzieli zdobyczą.
Jezdny czy drabant, brał proporce, tuły,

Szklni zorzami by pogańską juchą,
I w namiotach czeladka na poły
Śpi, wrzkomo w ogrojcu apostoły —
Jedno u mnie jakaś w myśli burka.
Hej pacholę! zwać przed nas wróżbita;
Świecą gwiazdy, niechaj gwiazd popyta:
Czy wyskoczyć przyjdzie na psa Turka,
Czy nam doma nawrócić z kopyta? —

Przyszedł starzec — on praktyk cygański
Z gwiazd aspektu ciemnie snu wykładał: —
Morze krnąbrne: to świat chrześciański;
Dunaj — Turek; niechby w morze wpadał,
Wszak zatonął wóz faraonowy.
Kruk — przestroga (choć ma węch na koście).
Głowa królu nie to kierz wierzbowy
Raz ucięta, raz wtóry nie roście;
Byś wysoko nie posadził głowy — — »

Stał na radzie Jankuł wojewoda,
Wraz pochwycił: — Wojnę wróży woda!
Więc utnijmy! nie wzroście łeb wtóry.
Miecz karania dźwignie książąt zgoda,
Buła rzymska rozwiąże u góry.
Wojna, wojna, na pogan chrześciany!» —

Rzucił słowo — wrzkomo rękawicę,
Przed biskupy, książęta, hetmany;
Nikt, co padło, podjęciem nie kusił,
Nikt słów rajcy wywrócić na nice —
Sam król owszem sierdzistość przydusił,
Jeno smętek wybieżał na lice,
Jeno nie swój!

— Młody Krysztoforze!
Okuj ducha na ocel k'przygodom,
Snadniej brodzić przez utrapień morze.

Trąby wrzasły wojną po taborze;
Wiatr rozdyma proporce i kity,
Odlatuje z pożegnaniem do dom.

Król z zamiotu kraśnego, jen szyty
Perłami, potoczył w stepy wzrokiem,
W tuman — za dunajowym potokiem: —
Ej Dunaju! nie wrócę jak i ty! —

Wrzeszczą surmy, więc bębny kołaczą,
Serca skaczą, więc rumaki skaczą:
Stadem żurawiowem rwą się woje,
Z bukowińskim szumem. — Piskle-ż swoje
Skrzydlacze odlecą w czystem polu
Śród stepów bułgarskich, w dusznym bolu?
Wzdyć to orlik! jako pierzem rucha —
Jemu rej wieść — w sławę on by w słonie
Wszystko patrzy. Rzekł: sławę ugonię —
Owo godna mym kościom pielucha,
W praszczurzętach jeszcze zbudzi ducha! —

Pod sztandarem świętym Ładysława
Król z biskupy, hetmany, rej wiedzie,
Powrzaskują surmacze, trąb wrzawa —
Skoczył tabor, tumanami jedzie.
Ziemię racką, bułgarskie pastwiska
Trą zagonem, u Dunaju piją;
Mimojazdem łaźbią na zamczyska,
Rzkomo w barcie, miód i trąd wybiją;
Łuny palą, harcują kwol spyże;
A do książąt do chrześciańskich listy
Wciąż strzelają o posiłki chyże;
Do Wołoszy, więc do Skanderbega:
Lud węgierski niemnożen, choć czysty,
Turek z więcej na łowy wybiega.

Szpiegrze chodzą do namiotu nocą,
Wieść od morza królowi markocą:
— Ćma tam Turka! nie na czambuł ruszy,
Sam padysza, jen się dał w derwisze,

Stoi hordom — jakim dymem puszy,
Gdyby prorok! — Znowu nocnej cisze
Szpiegrze przyjdą: Czuć, ze Grek okręty
Turków wozi (wzdy miał czynić wstręty),
A od głowy po dukacie bierze.
Jeszcze nocą raz przyjdą szpiegierze:
Widzieliśma sto tysięc bez mała
Na wzgórzach, na dołach — jak przewała
Deszczowa z gór w doliny ku nam cieką.
A gdzie goszczą — kur tam nie zapieje,
Gdzie popasą — step nie zielenieje,
Gdzie napoją — nurt nie płynie rzeką.

W poniedziałek, pod księżyca pełnią,
Czy Dunaju prądy tak się wełnią
Na warneńskiem przeźroczystem polu?
Wzdy to pułki sprawione w półkolu:
Stoją cicho; czy w śpiączki wybite,
Czy bezpieczne, czy już boju syte?.
Ni syte, ni wybite — wszak w zbroi,
Pełnej ussarz przy rumaku stoi,
Za pawężą drabik z rohatyną,
Łuczniki z łukami, król z drużyną.
I rozgowor cichy chodzi z rosą:
Ten przed księdzem wypowiada grzechy,
Ów pozdrawia pannę złotowłosą
Gdzie nad Wagą, kędy dworzec cichy,
Dumającą. Ów pisze na mnichy
Swe imiona, robi duże wota
Do Loretu, tysiąc marek złota;
Ów do świętej ziemie da Bóg z wiosną
Rad popątnie. — Rycerstwo pacierzem
Krzepi duchy, duchy w górę rosną,
W znaku krzyża, pod wiary puklerzem.

Ej zaśwista zorze by krew — komu
Świecisz to zorze, ku cześci czy sromu?

Oj ku cześci! cześć to nasza strawa,
Ze krwie roście. Sława chrobrym, sława!
Sława królu! —

Król z pod ręki w jare
Słonko patrzy, wstające nad szare
Garby. Co tam zestrachało kruki,
Czy wilkowie od ścierwa? toż dymi
Wrzkomo z piekła dymami czarnymi.
Toż tam huka! czy wyprawia tańce
Bies za górą? — Wzdy znamy te huki;
Wiara baczność! pogańskie to sztuki:
W dymie, w ogniu harcują pogańce.

Król miał w poczcie chorągwie skrzydlate,
A jak z berła myśliwiec raroga,
Hufiec puścił na tatarską czatę;
Z czarnych szpaków nie ujdzie mu noga.
Hufiec raróg miał szpony koncerze,
Dwieście włóczni w dzióbie, z kolczych pierze.

I potarli niby siano suche
On zastęp. Król puszcza wciąż sokoły,
I tam i sam, ochotne na juchę,
Na turecką jak na miód. Padoły
Zasiały się trupem, bór się kurzy;
Jakby djabeł rozlał się we smoły.
I pancerni skoczyli do wzgórzy;
Pojrzą z garbów: ano tam mrowisko,
Ani przejrzeć — gwałt luda — wielbłądy —
Stany, dzidy, buńczuki — a rządy —
Wrzkomo w ulu, gdy dmuchniesz, wre wszystko.

Trzy dni giaurom Turek zbroje kował
Demeszkami — a we krwie hartował.
Trzy dni ussarz szył turbany kopią,
A chrzcił juchą. Co nocy kruk zjada
Oczy trupom, lisowie krew żłopią:
Owo w trzecim Jankułowa rada,

Gdy są starci pogańscy spahowie,
O nieszporach panu w słuch ozowie: —

Szczęsny panie dzierż na razie czarta;
Raz ochynął, już się nie wybiega;
Ze ćmy onej mały kęs się warta,
Krom janczarów reszta ścierwem zlega.
Nad janczary pojrzej jeno w parów
U gór, cztery pływa tam sztandarów,
Jeden biały, wszystkiej mocy znamię,
Sułtan Murat stoi śród janczarów,
Sławę zdzierży, kto weń kopię złamie.
Kwap się królu, byś przodku nie stradał. —

Więc król harnasz dział świeży na siebie,
Pasał szarszun, bo drzewiej w potrzebie
Harnasz — szarszun — na kęsy się spadał;
Owo skoczył przed hufy na wronym,
I przeżegnał drogę hufcom onym;
Kopaliny w dół zwiodą, a drzewa
W górę, a z pogonią propor wiewa
Nad nimi. Ej! byś się nie przed swaty
Wyrwał na pohańca cny junaszku:
Słup obłoku otoczył cię Laszku,
A w obłoku przybrany w ornaty
Święt' Stanisław: — Nuż w nie miły Staszku!
Król doń prawi: bywaj być psubraty! —
Na to biskup posochem poruszy,
Jakby z martwych krzesił Piotrowina;
I junoszka raźniej konia spina,
A nasuwa na twarz kopalina;
W janczary wraził się grotem z kuszy.

Janczarowie twardo leżą w sprawie,
Na wodnych wymółach za przekopy:
Gorze tobie królu Władysławie,
Twoje hufce lecą w dół jak snopy!

Błogo tobie Muracie padyszo!
Twoje Turki kaźń chrześcianom piszą
Za mir łżywy. — Jakie konie, chłopy,
By żubrowie w kolebę się kładą
W onę krwawą; a tu nikt z posiłkiem —
Sam ty Jankuł z ussarzami chyłkiem
W zad uchodzisz, dawszy pana zdradą
Na rzeź krwawą!

Wdowaś Litwo ninie
I Korono! pan na Cherubinie
Twój posadzon; a jako dni nieba
Stolec jego; a prochy koleba
Wicher morski, co w twe zamki świszcze
Z klechdaniami od brzegów Dunaju:
Jako złaman bój, miecz, szczyt, łączyszcze;
Jak tam czaszki rzkomo gęśle gędą,
Jako gwiazdy ćmę latawców przędą;
Jak tam jabłoń wzejszła przy ruczaju —
Wonnym jabłkom uproście do raju:
Lachy, Litwo i ty Uherszczyno!

— Bój rozjęła noc, a mgła szarasa
Rozwiesza opony nad płaszczyzną
Dychającą. Krucy ciągną z lasa,
Czają lisy, wilków cieką stada.
Księżyc oczy zamrużył — omacka
Przy ślepiach jarzących trwa biesiada
I rozgwar.

Był janczar Kruky mianem,
Podczas trupom grosze trzęsał z wacka,
A rozumiał co niema twarz gada,
Bo przyczajon słuchał. — Pod kurhanem
Leżał rycerz sam, trupami w około
Janczarskiemi ostąpion; kruk w czoło
Pod kopalin kował, czasem gwarzył: —
Ej nieboże stradny! toś nawarzył

Piwa — pijże; zaś radził kruk stary: —
Kędyż teraz twe pułki, sztandary,
Krew junacka? — Kędy stany lite?
A trzy stolce wdowie — młode latka?
Toż serdeczko lubości nie syte,
Ledwoć jako ziele pasożyte
K'sławie przylgło, uschło do ostatka!
Na pogrzebie nie krakowskie dzwony
Dzwonią, wilcy wyją to z gawrony,
Stypę kruk wyprawia! —

Kukry w skryci
Rozważa: król-że to? — ano świeci
Zapona klejnotem — harnasz czysty,
W lice pojrzał — a z lica król isty —
I odrzezał z kopalinem głowę
I pod nogi rzucił Muratowe.

Przed padyszą stało siła jeńców
Zacnych paniąt, w straży u trzebieńców;
Ku nim głowa pańska się potoczy
Z bujnem pierzem, z wypitemi oczy.
Nuż o ziemię dadzą cne panięta,
Nuż uderzą w żałobne lamenta: —
«Król nasz, on młodzieniaszek nieżywy!
Szczep Jagiełłów wiatrom k'pogrzebieniu,
Psom pogańskim twarz ku obelżeniu;
O cudowna! nie twoje to dziwy
Z jasnej góry, a czarcia robota! —

Murat wielce w radość się rozmiota: —
Chwałać Ałło za zwycięztwo szczęsne! —
Wraz pochwyci u boku miecz krzywy
Pisan srebrem — i na jatki mięsne
Ścinać zacznie rotmistrze i pany,
Pokąd nie stał oną krwią pijany.

Ranek mgły zdjął, słonko śklni z ukosa,
Co kruk liszył, doje zimna rosa;

Co wilk liszył, wiatr polny rozchwyta,
A o wieści guślarz nie dopyta.

Czej mu sprawy nie da one lice
Śród majdanu utkwione na tyce,
Wonną nardą i olejki tchnące,
Przyczesane, wiere by żywiące?

Bojowiskiem dwaj jeźdcowie jadą
Na natolcach; to patrzą w twarz bladą,
To pod nogi na trupy: «Azebie!
Jaką dziejeś, rzekł starszy, przygodą,
Że śród trupów nie ma ćwika z brodą? —
— O padyszo! gdyby k'tej potrzebie
Giaury mieli jednego a ćwika,
Nas spotkało'b, co ich dziś spotyka. —

SAMUEL ZBOROWSKI.

I.

BURZA CZARNOMORSKA.

Na białej skale jasnopióry sokół
Siedzi nad morzem nad Czarnem, i w okół
Patrzy żałośnie i żałośniej kwili:
Że groźna tucza bałwany zamąca,
Że wszystkie gwiazdy zgasły w jednej chwili,
Że do pół w chmurę skrył się krąg miesiąca;
Że wichr od Niżu zerwał się szalony,
Sudna kozackie rozbił na trzy strony —

Jednę część w ziemię daleką agarską,
Drugą w Dunaju zapędza gardziele;

A kędyż trzecia część, z młodzieżą dziarską?
Przez czarnomorskie bije się topiele.

Z tą był Zborowski ataman kozaczy:
Miotan też burzą chodził wzdłuż pokładu,
Z czoła wycierał niby myśl rozpaczy,
Z piersi wyrywał niby żądło gadu —

Ówdzie na boku tuż przy samym sterze,
Siwy jak gołąb siedział dziad stoletni;
Miał twarz pogodną, uśmiech jak dzień letni —
Znają go wszyscy, bo grywa na lirze
Odwieczne dumy; bo radzi, bo leczy;
Acz prosty kozak, rej prowadzi w siczy:
Broń zaczarować, zdjąć z kogoś uroki,
Odgadnąć skryte niebieskie wyroki —
Wszystko to umie. — I teraz coś powie;
Powstał, dłoń podniósł, i tak rzekł: Panowie!
Ktoś między nami grzesznik tu nie lada,
Kiedy nas chwila taka zła napada;
Niechże się naprzód Bogu wyspowiada,
A potem morzu, więc atamanowi —
Jeden za wszystkich niech ginie, odpowie —

Skoro mołojce usłyszą zaklęcie,
Wolni od grzechu, milczą na okręcie;
Tylko Olexyj sam, pisarz wojskowy,
Popowicz, temi ozowie się słowy:

— Jam jeden grzesznik, więc mię bracia weźcie,
Kitajką oczy zawiążcie, uwieście
Na szyi kamień, rzućcie w głąb bezdenną;
Niechaj nie ginie kozaczych głów dwieście,
Za jednę głowę grzeszną i bezcenną! —

Gdy to mołojce usłyszą, wraz rzekną
Do popowicza: Ty, co słowo boże
Czytasz, i prawisz nieraz rzecz tak piękną,

Ze wstrząsasz duszy najskrytszym tajnikiem,
Godziłożby się rzucać ciebie w morze?
Tyś nie największym z pośród nas grzesznikem! —

— Choć pismo święte czytam i was kruszę,
Jednak mam grzechy wielkie, wyznać muszę;
Grzechy to stare, ale srodze kuczą,
Nie darmo Bóg was karze za mnie tuczą —
Gdym w świat wyjeżdżał z grodu Piryatyna,
Błogosławieństwa nie dali rodzice,
A przekleństwami żegnała rodzina —
Boć niegodziwszy byłem, niż gadzina! —
Nieraz-em konia wypuszczał w ulicę,
Roztrącał starce, wdowy, niemowlęta;
Jeszcze ich widzę we krwi — niebożęta! —
A i przed Bogiem nie mniejszy ja zbrodzień:
Przed cerkiew świętą przyjeżdżałem codzień
Gdy lud się cisnął. — U mnie taka buta
Żem czapki nie zdjął, nie ugiął kolana — —
Otóż panowie! nadeszła pokuta —
Nie darmo morze burzy się, wre piana;
To modlitwa matczyna, płacz siostrzycy,
W tym groźnym wichrze, deszczu, błyskawicy —
Gdyby mi dzisiaj śmierci się wykręcić,
Umiałbym ojców kochać, cerkwie święcić,
Starce i dzieci nie deptać podkową,
Zła nikomu nie robić, żyć na nowo —

Tak Olexyj gdy z grzechów się spowiada,
Na Czarnem morzu wichr, burza upada,
Gwiazdy zaiskrzą, księżyc oczy przetrze;
Sudna kozackie ni to przez powietrze
Niesie i niesie jakowaś moc cudna:
Na Tentry Ostrów zawijają sudna.

Ztąd młódź kozacka stanęła w podziwie:
Jakaż moc cudna wywiodła szczęśliwie

Z ostatniej toni?! — Radość niesłychana;
Wszyscy weseli, wszyscy, prócz hetmana —

Hetman przy maszcie złamanym stał wryty,
Ócz nie śmiał podnieść w gwiaździste błękity,
Jakby się lękał dziką iskrą wzroku
Zapalić piorun na siebie w obłoku —
Zkądże w niżowym hetmanie ta trwoga?
Czy go przeraził głos żywego Boga?
Palec widomy? — Czy grzech jaki ciężył? —
Czemuż pysznego ducha nie zwyciężył,
Win swych nie wyznał z grzesznym popowiczem,
Przed mołojcami, przed morza obliczem? —
Któż to odgadnie? głąb serca bezedna,
Co w niej się dzieje, wie Opatrzność jedna.

II.

WIĘZIENIE NA ZAMKU KRAKOWSKIM.

Rok był pięćsetny osiemdziesiąt czwarty;
Na zamku, na krakowskim stoją warty
Po plankach, basztach. — Widok to nieznany
By naszych królów strzegły partyzany;
Wierność narodu była im strażnicą.
Czemuż po kątach halabardy świecą,
I czujne hasło obiega noc całą?
Oj, coś dziwnego na zamku się stało!
Oj, że dziwnego nie wątpić nikomu:
Oto, jak słychać — pojman u Włodkowej
Samko Zbrorowski, w starościńskim domu
Siedzi uwięzion i niepewien głowy.
Bo też ją nosił, aż strach, jak wysoko!
A choć banita, nie lękał się w oko
Zajrzeć królowi i prawu urągać;
Buntowne kupy na granicach ściągać;

Z carem, Rakuszą, zachodzić w konszachty;
Huczno, buńczuczno, po kraju się zwijać
Z długim ogonem popleczników, szlachty,
Najeżdżać dwory, klasztory rozbijać. —
Tak to mówiono; i znów inne wieście
Szerzyła partya przeciwna po mieście:
Że kanclerz dumny, chce rej w Polsce wodzić,
Wszak i tak z królem zaszedł w krewne związki;
Że chciałby ścięciem tej jednej gałązki,
Republikańską szlachtę w łeb ugodzić. —

Lecz wracam: wieczór z piątku na sobotę,
Ruch się na zamku stał wielki; hajduki
Precz rozganiali uliczną hołotę
Co się tłoczyła z okrzyki i huki —
Gdy rum zrobiono, szmer powstał u brony:
Kanclerz! ot kanclerz! — i szereg ściśniony
Węgierskich drabów na dworzec się wtłoczył;
Z tego, znów mniejszy orszak się potoczył,
Ku drzwiom od wieży. We środku orszaku
Szedł kanclerz; znać go, z pióra na kołpaku
Co siało dyamentowy odblask w cieniu —

A cóż tam, wewnątrz? zajrzyj w okno ptaku
Coś gniazdo uwił w okiennem sklepieniu,
Zajrzyj i powiedz:

Zgiełkiem na podsieniu
Samuel zbudzon, we drzwi wzrok utopił;
Zimny pot czoło wyniosłe mu skropił —
Otarł i słuchał; choć bicie krwi w skroni
Wrzawy zmięszanej odróżnić mu broni,
Jednak wstał, czekał — acz wrzeciądz zadzwoni;
Wszedł Uhrowiecki zamku podstarości
I rzekł — Przychodzę oznajmić waszmości
Boś o to prosił: że jutro o świcie
Gardło dać musisz. —

— W sam czas przychodzicie!
Odparł szydersko, i czynił wyrzuty,

Że ledwo godzin kilka do pokuty
Zostaje; że chcą duch zgubić jak ciało,
Jakby jednego było jeszcze mało
Zemście kanclerskiej?

I po tym wybuchu
Snać, ze z myślami pasował się w duchu
Bo długo chodził, niemy jak opona,
Wtórując krokom, jękiem z głębi łona.
I choć obecny Mroczek, rotmistrz pieszy,
Co rad zabawną krotochwilą śmieszy,
Trzykroć zagabał — nie dał odpowiedzi,
Tylko: idź duszo w piekło bez spowiedzi!
Ciągiem powtarzał; bił czoło, darł włosy;
Potem przeklinał siebie, ludzi, losy —
Widząc to Mroczek, jął hamować srogą
Rozpacz grzesznika; cytował rzecz mnogą
Z pisma świętego: jako się nie godzi
Wątpić o łasce bożej, o zbawieniu;
By nie był wątpił i on Judasz złodziej,
Byłby niechybnie uszedł potępieniu;
Ale że wątpił, więc w piekle po uszy —
A ten że inny przykład czy nie wzruszy,
Łotra i Piotra? — Oba, acz zgrzeszyli,
Przecież zbawieni — czemu? nie wątpili —
Krótka przemowa widno, wzięła skutek,
Bo z twarzy więźnia spełzał gęsty smutek
By cień, rzucony od przepaści piekła,
I rozkajania długa łza pociekła;
A ciekąc, hardą zginała mu postać,
Rozkrzyżowała ręce, w kurzu zmyła
Czoło tak dumne, iż się nie mógł ostać
Żaden ze straży (a było ich siła),
By równie z więźniem nie padli na ziemię,
Pomagając mu dźwigać grzechów brzemię.

Gdy się to dzieje, znowu drzwi zaskrzypią:
Wszedł Uhrowiecki, a za nim się sypią:

Pan Drohojowski, Żółkiewski oboźny
Siostrzan Kanclerza; w ręku trzymał groźny
Miecz obnażony; a za tym orszakiem
Wszedł i pan kanclerz z gotowym pół-hakiem.
Stołek wniesiono za jego miłością,
Usiadł — i przygryzł usta sine złością,
A z oka patrzał tryumf źle ukryty.
I z powitaniem rwało się z pod wąsa
Tłowo Stefana króla że: nie kąsa
Wściekły pies, Samku! kiedy raz zabity —
Ja cię zabiję! — Kanclerz życiem trząsa! —
Lecz się zhamował, snać wstydny popędu,
I zaczął słodziej, coś niby z urzędu,
Niby z przyjaźni: Ej Samku! Ej Samku!
Myślałeś sobie, żem ja pan na zamku
Tylko krakowskim? — Wszak długie mam ramię,
Co ja nie złamię, tego nikt nie złamie.
Bardzoś mi bujał, wpadłeś na ostatku;
Przyznaj: mężniejszym od ciebie mój bratku? —

— Co? ty mężniejszy? — Ryknął jak żubr w puszczy,
Gdy go strzał utnie — kędyś je okazał
To męztwo twoje? czy gdyś imać kazał
W śnie, bezbronnego, twej ceklarskiej tłuszczy,
Co dom napadła szlacheckiej matrony?
Pięknyś mi hetman, i kanclerz korony! —
— Piękny, nie piękny; lecz wilczek wpadł w jamę —
— Nie twój to fortel — grzechy moje same
Tak mię związały! Już się nie nadymaj,
Trzymasz wilka za uszy, to go trzymaj,
A nie myśl żeś już wygrał; nie gołębie
W onem gniazdku zborowskiem, a jastrzębie;
Nad wszystkie ścierwo smaczne im — Jelita. — —

Kanclerz się zerwał, i za pół-hak chwyta,
Iskrzącem okiem w pierś więźnia zcelował,
Lecz przypadł Drohojowski i zmiarkował.
— Dziękujęć! — odparł — jak gdyby żałował

Popędu gniewu — byłoby za rychło.
A gdy po chwili wrzenie krwi ucichło,
Zaczął z powagą: Już wiesz co się czeka,
Podróż choć krótka, a przecież daleka —
Trzeba byś sprawił z grzechów się przedemną.
— Tyś nie spowiednik — spuść mię już z tych pytek;
Czas mój obrócę na duszny pożytek. —
— Nic nie pomoże. Mów, czemuś tajemną
Przedsiębrał drogę i czynił zasadzki;
Co znaczy język w liściech świętokradzki
Przeciw królowi? Kogo zwiesz Baalem?
O coś tam, w Lubku, targował z Moskalem?
Mów, mów, połowę winy zmażesz żalem. —

A pan Samuel wciąż na to: Przez Bogi —
Puść mię, i nie męcz! —

Lecz kanclerz, by głuchy
Pytał: — W Benderze kto narobił trwogi?
Kto to podszczuwał niżowskie rozruchy;
Jaka to trójka na zborowskiej trawie? —
I wiele jeszcze; nie spisałby prawie
Na wolej skórze wszystkiego co badał,
Z kim bywał, jeździł, co robił, co gadał?
A znał dokładnie miejsce, rok, dnia datę;
Nieledwie jaką kiedy nosił szatę,
I jadł potrawę —

Pan Samuel, zrazu
Żwawo odcinał; lecz kiedy mu z cicha
Kanclerz na ucho szepnął pół wyrazu;
Stanął jak wryty, z twarzy spełzła pycha;
I choć go cisnął pytaniem, zgryzł wargi,
Skrzyżował ręce; podobien do głazu
Stał w obec sędzi bez gniewu, bez skargi,
Nie już jak hardy przeciwnik, przed głównym
Wrogiem, i z rodu szlachcicem mu równym,

Lecz jako chłopię, które ojciec łaje —
Widać, że w duszy bitwę stoczył trudną,
Gdy twarz w oziębłość przybrał nieobłudną,
Wyrok przyjmuje, do win się przyznaje;
I nawet, kiedy kanclerz mu podaje
Papier, i mówi: Pismem własnej ręki
Napisz: Samuel Zborowski — napisał!
Wszystko tak robił, jakby to nie męki,
Gdy inkwizytor krew z niego wysysał:
Gdy sławę w siczy nabytą, darł w sztuki,
Toż pod Toropcem i Wielkiemi-Łuki;
Gdy zmuszał winy kłaść łasztem na braci;
Gdy się przysięgał, że ich ród zatraci,
Ród taki dawny! — Jakby żart był lekki,
Potępić dom swych Jastrzębców na wieki?! —

Kanclerz z tryumfem odchodził — wszak w szkole
Włoskich mataczy ćwiczon, umie w pole
Bystrzejszych wywieść, nie dopiero taki
Umysł dziecinny, z dymu i płomieni,
Co by rad tylko mieć skrzydła jak ptaki,
I bujać, szaleć bez końca w przestrzeni.
Któremu szkołą tabor, a przygody
Wojenne mistrzem; szabla i rumaki
Książką, a zawsze serce w piersi młodej,
Tęskniące wciąż do sławy, do swobody;
Lepsze niż głowa. A winy — a zbrodnie?
Gdy gmachy gorą, wiemy-ż kto pochodnie
Pod dach podłoży? —

Pustą stała izba;
Ale więźniowi duszno, jakby ciżba
W około niego; jakby gniotła zmora —
I na ramię spadała głowa chora —
I westchnienie się rwało, jakby brakło
Płucom powietrza; a może też łakło
Wnętrzne uczucie widoku innego,
Równin bez granic, sklepienia jasnego?

Bo nagłym ruchem zbliżył się do kraty,
Otworzył szyby —

Ulewa na dworze
Majowa szumi; wiatr nanosi szmaty
Chmur czarnych; miesiąc chowa się rogaty;
Gwiazdy zgasają. — A Kraków, jak morze,
Ryczy wód szumem i piorunów biciem. —

Więzień zbladł wszystek, czoło zgiął w pokorze:
O, znam cię burzo! mówił — tyś przed laty
Na Czarnem morzu darzyła mię życiem,
Które zapłacił swą skruchą — kto inny —
A jam tak milczał! jeden może winny;
A jam wzrok chował przed widmem, co w dali
Wciąż za okrętem, wciąż po szczytach fali
Goniło z jękiem, głośniejszym nad szumy
Bałwanów, majtków wrzaski, skrzyp okrętu;
Lecz nie głośniejszym od krzyku mej dumy! —
O, czemum w głębiach morskiego odmętu
Grobu nie znalazł! Wyrok padłby z nieba,
I dni mi dożyć nie byłoby trzeba
Takich jak dzisiaj — o, jak dzień dzisiejszy,
Dzień poniżenia, hańby — okrutniejszy
Niźli to jutro z mieczem i oprawcą —
A przecież mogłem sam być swoim zbawcą! -
Trochę pokory brakło, dużo wiary!! —

Wtem też i burza minęła: obszary
Szafirowego nieba z chmur się czyszczą;
Znów księżyc świeci, znowu gwiazdy błyszczą;
I więzień dumał: — Ot, pogoda znowu;
Tak samo było, gdyśmy do Ostrowu
Tentry przybili. — Nic się nie zmieniło,
Tylko jak teraz, z nieba nie świeciło
Kilka promyków w moją duszę smętną,
Wówczas tak zimną, dziś nieobojętną.

Bo tu coś szepce, że te wasze blaski,
To zdrój widomy zstępującej łaski — —

I długo z gościem bawił się promiennym,
Wyciągał ręce, rozkwilał, uśmiechał,
Rzekłbyś, że mówił z kim w widzeniu sennem;
I wciąż ku jednej stronie patrząc, wzdychał,
Zrazu ciężko, znów wolniej; urywkowy
Toczył monolog; coś dłońmi odpychał
By widmo: — Precz ztąd! przepadaj! — och, z głowy
Krew — krew — tu pryska. — Co robisz tam, w bramie?
Czemu oczy zawracasz? — kto zabił? — o kłamie! —
To nie ja. — Jednak, w tumulcie - - niechcący —
Na Boga! zamknij tę czaszkę — gorący
Na mnie żar bucha — Przebacz! Bóg przebaczy —
Czego chcesz, czego? — ha trup! — w piekło haczy —
Nie! nie — to anioł, z nieba palcem ręki
Wieniec wskazuje — i narzędzia męki.
Z obłoku słyszę — cyt! słodkie wołanie —
Masz przebaczone —! Panie! Panie! Panie! —

Martwy na poły więzień upadł twarzą.
— Modli się — szmer był przy drzwiach między strażą.
— Niechaj się modli! mniej też będzie dłużny
Panu czartowi. Najlepiej wór próżny
Brać z sobą, prosić niebieskiej jałmużny;
Niech każdy święty dobre słówko włoży,
Klucznik niebieski zaraz drzwi otworzy. —

Gdy tak gadano, aż oto i dzionek
Zagląda w szyby. Z małżonką małżonek
W gniazdku jaskółczem na gzymsie go wita,
Szczebiocąc, życiem cieszy się — nie pyta
Czy ktoś za ścianą w podobnym przyśpiewku
Zwita poranek, i ułoży sobie
Gdzie latać przez dzień, na którem siąść drzewku?
Dla niego taki dzionek nie zaświta!
Przyjdźcie mu śpiewać, jaskółki, na grobie. -

SEN PASTERZA.

LEGENDA.

Był to sen, lecz sny takie od Boga zawisły.
NIEMCEWICZ.

Dzisiaj, gdy Pan Bóg cudów skąpi grzesznym,
I niedowiarkom, co radzi, pociesznym
Żartem nicują rzecz im niepojętą,
Choćby jak wzniosłą i jak arcy-świętą:
Dzisiaj, jak zawsze, ma Pan swoje wierne.
Którym: bądź prawdy objawia niezmierne.
Bądź ostrzeżenia, bądź zsyła widzenia;
Za życia łaską wieczną opromienia.
Lecz to się zwykle przed światem utaja,
Bo mędrek wydrwi, co prostak wybaja:
I na cóż perły rzucać przed bluźnierce?
Sercem-eś pojął, zamknijże to w serce —

K'temu, choć daję niniejszą legendę,
Niechaj za rozgłos potępion nie będę:
Bowiem w niej święte przeczucie się mieści
Tryumfu prawdy, skończenia boleści.
Więc, choćby człowiek wyszydził światowy,
Prostak, wieszczemi pokrzepi się słowy.

Owóż za naszych czasów rzecz wiadoma —
Pilen stróż wiary i bożego doma.

Ubóstwu z czynów świętobliwych znany,
Uczony, przytem Polak zawołany,
Biskup Woronicz, rząd Pańskiej winnicy
Piastował z chlubą w krakowskiej stolicy.

Pewnej to nocy, działo się — słyszałem —
Święty mąż płakał i duszą, i ciałem
Nad nieszczęściami ojczyzny, i w lutnię,
Jak ów król Dawid, długo trącał smutnie — —
Głuchem mu echem ściany odgwarzały:
— I na toż przyszedł ten lud pełen chwały?! —
Od łez, od czuwań potem mu powieki
Z lekka się zamkły, i sen przypadł lekki,
Sen sprawiedliwych, z chóry anielskiemi,
Co go nosiły wysoko od ziemi,
Między wybranych, przed bozką oblicznosć;
Hymny mógł słyszeć, widzieć rajską śliczność,
I na tle samem, gdzie głębsze niebiosy,
W księdze wyroków czytać nasze losy —
Co tam w nich stało? — Nie wspomniał nikomu;
Może sam nie mógł ogarnąć ogromu,
Może nie było na to słów w języku;
Dosyć że wiecznie zostało w tajniku.
Ale nie wszystko; zapewne z rozkazu
Pańskiego, jeden mały rys obrazu
Wolno mu było objawić przed światem,
Czy dla nadziei, czy przestrogi? —

Zatem
Nagle się ocknął: już gasnął knot świecy —
On się w ubraniu ujrzał, przy łożnicy
Jako był wczoraj, ukląkł do pacierzy.
Więc zbiera myśli i oczom nie wierzy:
Cud-li to jaki? widzenie-li senne? —
Aż oto w okno zaglądają dzienne
Szare promyki. — Jeszcze chwilkę krótką
Ukrzepiał ducha poranną pobudką,
A w twarzy grał mu wyraz tak dziecinny,
Jakby się nowo narodził, jak inny — —

Gdy skończył, ręką za dzwonek pociągnął,
Prędko zdjął szatę, kotarę zaciągnął,
Nie chcąc złych myśli w kim wzbudzać, surowy —
Wtem też zapukał kapelan domowy;
A biskup: Witaj, Bóg w porę cię zsyła!
Która tam teraz? —
— Wraz piąta wybiła.
Już się zaczęło nabożeństwo ranne. —
— Dobrze! waść widzę zawdziałeś sutannę;
Bież do katedry, a prędko, a żwawo;
Przed Matką Bozką w kaplicy, na prawo,
Znajdziesz niewiastę co powiła dziecię,
Pomoc jej dacie, a syna ochrzcicie.
Rozumiesz wasze? — jeszcześ tu? — dla Boga! —
Kapelan wryty stał chwilkę u proga,
Zrazu się wachał, chciał niby coś pytać,
Myśl skrytą z oczu pasterza wyczytać;
Ale przywykły pełnić wyższą wolę,
Jednym poskokiem prawie był na dole.

Biskup tymczasem zdawał sobie sprawę
Ze snu; tłómaczył cudowną objawę.
Choć zły duch czasem podsuwał wątpienie,
Znów przemagało wnętrzne rozczulenie.
Chwila pewności, chwila niepewności;
Brak nadewszystko świętej cierpliwości
Naganił w sobie — brewiarz otworzył:
Jak proch się nizko przed Panem ukorzył,
A rozważając potęgę wszechmocy,
Prawie zapomniał o śnie zeszłej nocy -

Wtem znów zapukał kapelan.

Ha! proszę —
Rzekł biskup cóż mi donosisz?

Donoszę,
Że wszystko według rozkazów spełniłem:
Przy matce lekarz, a dziecię ochrzciłem. —

— Czy chłopię?

— Chłopię, śliczne jako Cherub;
Matki nikt nie zna, jednak —

— Kto jest? nie rób
Waść poszukiwań — rzekł biskup skwapliwy —
I ja sam nie chcę wiedzieć; bo to dziwy,
Cud niesłychany Opatrzność nam zsyła —
Więc niech w ukryciu zostanie, co skryła.
Jednak waszmości, coś jest patryotą,
Mogę powierzyć tajemnicę: — Oto
Ow chłopiec — — jeszcze zaklinam waszmości,
Schowaj to w serca najgłębsze skrytości —
Otóż ów chłopiec — to nasz Zbawca! księże —
Co się rozprzęgło, on napowrót sprzęże,
Co w grobie legło, do życia powoła
Mieczem Chrobrego, trąbą archanioła —
A cudem świętej Dziewicy z Domremy,
Gdy sztandar wzniesie, z prochów powstaniemy. —

I na tem koniec słów mojej legendy.
Czy owe dziecię chowa się, i kędy?
Nikt o tem nie wie. Biskup sam nie wiedział;
A choćby — pewnie byłby nie powiedział.
Dziecię przeznaczeń — tajemnicą w czasie.
W nim się wylęże, światu poznać da się!
Wszak już przeczucia oddawna to wróżą:
Duszno i straszno czegoś — jak przed burzą.

TAJEMNICA.

Za dawnych czasów na zamku Kruszwicy,
Jakiś tam Popiel, książątko, panował;

I był postrachem całej okolicy:
Obdzierał, wieszał, chłostał i mordował.
Naród, zwyczajnie opuściwszy uszy,
Cierpiął zbytnika, choć przeklinał w duszy.

Przecież nakoniec kilku wojewodów,
Którym za skórę dobrze sadła nalał,
Uknuli skrycie i bez korowodów
Skończyć z nim krótko, by dłużej nie szalał.
Koniec ten, nie wiem, czy był romantyczny,
Czy rasynowski, dosyć, że logiczny.

Kiedy spiskowi tak radzą na zgubę
Srogiego pana, za piecem schowany
Syn gospodarza, dziecię bardzo lube,
Słyszał przysięgi, namowy i plany.
A że wyrostek i nie bity w ciemię,
Zrozumiał sekret, schował jak pod ziemię.

Wiek to był ciemny; nie wiedziano bowiem
Co są donosy, pensyjki sekretne — —
O! dziś my stokroć szczęśliwsi się zowiem,
Wartość cnót znamy przez cyfry budżetne.
Ale nasz prostak nigdy by dla zysku
Ojca nie sprzedał, choć wiedział, że w spisku.

Więc z tajemnicą, jak z ołowiu bryłą
Biegał dnie całe, to polem, to lasem,
A od swych stronił, bo ciągle korciło
Choćby dwuznacznie coś bąknąć nawiasem;
A że poganin, nie wiedział też wcale,
Że można ulgę mieć w konfesyonale.

Nieraz dla ulgi chciał śpiewać po lasku
Swą tajemnicę — a nuż echo zdradzi
I gdzieś zaniesie? Nieraz i na piasku
Chciał pisać kijem — a nuż się nie zgładzi?
Przed wiatrem nawet chronił sekret owy —
Nuż lodem spadnie? a wiatr był marcowy.

Lecz pewnej doby, gdy szedł nad jeziorem,
Przyszło mu na myśl sekretu zbyć snadnie:
Niech leci w wodę z kamieniem i worem,
A nie wypłynie, co raz leży na dnie.
Więc rzekł do wody: — Pod maćkową gruszą
Księcia na łowach myśliwcy uduszą. —

Lekki jak piórko odtąd nasz prostaczek,
Już się nie troszczył o ojcowską głowę —
Gdy w tem maj nadszedł: każda trawka, krzaczek,
To w kwiat wystrzela, to w gałązki nowe.
Jezioro również ubrało się w trzciny
By wiatrem gadać o tajniach głębiny.

Tymczasem, nie wiem, przez jaki tam sposób,
Wysmukła trzcina, wyrosła przy kraju,
Gdzie Popiel zwykle pośród dworskich osób
Przechadzać lubił: więc podług zwyczaju
Idzie; a trzcina: — Pod maćkową gruszą
Księcia na łowach myśliwcy uduszą. —

Odkryty zamach! Ot właśnie z ponową
Miał Popiel jechać na łowy z rycerstwem,
I odpoczywać pod gruszą maćkową —
Teraz mu grożą takiem przeniewierstwem!
— Czekajcie zdrajcy! ukarzę przykładnie,
Za taki fortel tysiące głów spadnie! —

Był to pan, mówią, energiczny wielce;
Dotrzymął słowa — łbów skręcił nie mało!
I nasz wyrostek, pomiędzy wisielce
Mógł był odróżnić głowę ojca białą —
Wpadł w wielką rozpacz, rzucił się w jezioro:
Odtąd duch jego błądzi nocną porą.

———

KSIĘGA CZARNOKSIĘZKA.

Biedni poeci! państwo naszej wiary
Codzień napada zgraja profesorów,
Archeologów, i sztuk amatorów;
Pochodnią prawdy zwą swe okulary.
Słusznie! Erostrat przez swoją pochodnię,
Na nieśmiertelność zarobił wygodnie.

Kraków, naprzykład, kędy w grobach leżą
Nasi królowie — ach, pokój im w grobie!
Kraków — poezyi za grosz nie ma w sobie,
Z Sukiennicami i Maryacką wieżą —
Czy, że poetów duch Boży unika,
Czy, że zaklęty w opisie Wężyka?

Ani poeci, ni autor opisu
Winien tej prozie; lecz, jak rzekłem z góry,
Badacze prawdy. I tak, z onych, który
Wściekły bibliofil z rodu, czy kaprysu
Ów Twardowskiego otworzył fascykuł,
Choć inkwizytor łańcuchem go przykuł.

I czytał księgę, niepomny co ludzie
Mówili o jej czarnoksięzkiej mocy,
Że zaraz djabel wyskoczy, jak z procy.
Ale bibliofil, nieulękły w trudzie,
Przejrzał do deski, i siłą powagi
Swej uczoności, rzekł: to Żydek z Pragi!

Żydek, nie Żydek — cóż kiedy zepsuta
Wiara w te dziwy! Cóż kiedy Twardowski
Został już Faustem, Niemcem z łaski bozkiej!
Kiedyś w łeb weźmie łęczycki Boruta — —
Niech swemi djabły Lach się nie przechwala —
Boruta — Borys — rieszyt go w Moskala.

Owóż za czasów, kiedy nasze światy
Stały nietknięte, i kiedy wierzono
W djabły i czary, a baby palono;
Był żak w Krakowie, chudeusz za katy,
Gdyż po kolendzie szedł codzień z bliźniaki:
Krup, lub omasty wrzucił jaki taki.

Czasem przy święcie kapło kilka groszy,
Te wnet obracał na papier, na świecę,
Zwłaszcza, gdy księżyc zmieniał jasne lice — -
Biedak, niewiele zażywał roskoszy!
Ztąd nieraz, nie sto, posyłał do biesów
Siebie i swoich Arystotelesów.

Często o jego obiło się uszy,
Że w akademii pomiędzy księgami
Jest Liber Magnus, dziwnemi znakami
Pisana cała; że komu by duszy
Nie żal dać piekłu, niech się w niej rozczyta,
A zły duch stanie — czego chcesz? zapyta.

Więc kiedy bieda dojęła mu ciężka,
I głód dokuczał, i marznął pod strychem,
Umyślił szczęścia popróbować z lichem,
I jak mysz wkradł się, kędy czarnoksięzka
Księga przykuta stała na łańcuchu —
Otworzył — czytał i rzekł: jaw się duchu!

Na to wezwanie zatrzęsły się półki:
Małe oktawy, in quarto, foliały,
W taniec — - a globy same wirowały.
Żak nieustraszon, dalej swe formułki
Cytował, pokąd w siarczystej zamieci
Bies się nie ozwał: Do usług waszeci!

Czy niespodziane takie powitanie,
Czyli też widok dość szpetnej postury

Z koziemi rożki, z koziemi pazury,
Sprawił, że język jak kołem mu stanie,
Coś tam bełkoce; djabeł krzyczy: prędzej!
— Pietruszki daj mi! — a chciał rzecz: pieniędzy.

Piękna pomyłka! co rzekł, to się stało,
Djabły jak skoczą oknami i dachem
Nosić pietruszkę, aż jednym zamachem
Oną Wszechnicę zasypali całą.
Szczęściem, że zawsze kur na djabły pieje:
Ten los by Kraków spotkał, co Pompeję.

— — —

KNIAŹ DYMITR WIŚNIOWIECKI.

Kniaź z Wiśniowca w Jedykule
Za kratami, na barłogu,
Znosi ciężar mąk nieczule,
Poprzysięga mścić na wrogu — —
Jakby jeszcze na niewierne
Stepem, hufce wiódł pancerne,
Przy surm wrzawie i dum pieniu;
Jakby nogę czuł w strzemieniu:
A tu stepem — cztery mury,
A dumami — jęk ponury,
A drużyną — małe chłopię.

Hej pachole! oj ty tużysz,
Już nic u mnie nie wysłużysz;
I ja tobą nie wytropię
Wroga w stepie, ni zatopię
Bisurmańskie w Dniepr galary —
Dość mi daleś, dość swej wiary,
Dość dzieliłeś lichą dolę,
Wróć pachole na Podole! —

— Kiedy łowiec w wilczej jamie,
Gdy cięciwa pryśnie w kuszy:
Siada sokół wiern na ramię,
Wierna strzała się nie ruszy.
Ja ci strzałą, ja sokołem —
Nie powrócę; cierpmy społem. —

Przyszedł sułtan z pychą pawia
I tak kniazia sam podmawia:
— Dam ci córę jak dzień jasną,
Dam ci skarbów co niemiarę,
Tylko porzuć wiarę własną,
Muzułmańską przyjmij wiarę. —

— Piękna córa, skarb bogaty,
Ale wiara twa za katy!

— Ha! psa giaura weźcie, weźcie,
I za żebro go powieście! —

Już to trzecia wschodzi zorza,
Na Gałacie, gdzie kraj morza,
Kniaź na haku się kołysze,
W oczach zemstę Turkom pisze.
Patrzy w morze, to na szlaki:
Nie pancerneż ciągną znaki?
Czy nie czajki? ciężko wzdycha —
Usta krzepną, mówi z cicha:
Oj pachołę wierne, młode,
Wracaj, wracaj na swobodę! -
— Ja ci strzałą, ja sokołem
Nie powrócę, gińmy społem.

A kniaź oczy wiódł ponure:
— Widzę w sadzie, winogradzie,
Trzy sokoły przyleciały,
Trzy rarogi jasnopióre - -
Hej pachołę! daj trzy strzały;

Czy zostało mi sił wiele?
Czy w co zmierzę, to ustrzelę?

I sułtana zmierzył — w ciemię,
A sułtankę — w samo brzemię,
A dziewicę — w same lice!

Trwoga bije w Carogrodzie:
Co dokazał Lach na haku,
Cóż dokaże na swobodzie!
Sto strzał w niego wystrzelili,
Z piersi serce wydobyli,
Zjedli serce po junaku.

OBRAZ PANAGII W BURZY.

Ce qui déconcerte la sagesse h
ce sont les perils: l'homme dans
ment devient religieux.

CHATEAUBRI

Pewnego czasu, w pogody prześliczne
Chętka mię wzięła odprawić niedługą
Na morzu Czarnem, przy brzegach, żeglugę.
Okręt był grecki, na nim grono liczne
Osób zastałem, co na morskiej fali
Jak ja, na nowość wrażeń polowali.

Przy dobrym wietrze wybiegliśmy chyżo
Na pełne morze; brzegi się już ćmiły:
Z gajów Bosforu zalatywał miły
Powiew; a fale ledwo okręt liżą —
Takie spokojne. I w podróżnych duszy
Snać taż harmonja; bo naraz się zbliżą
I w pogadance nikt głowy nie suszy.

A rad ze swoich spowiada się wrażeń,
Albo z słyszanych gdzieś w świecie wydarzeń.
Ztąd też rozmowy urok był cudowny,
I mruk największy stawał się wymowny
W obliczu morza, tych miejsc historycznych,
I towarzyszek podróży — prześlicznych.
Przecież w regule musi być wyjątek;
Taki wyjątek był i w naszem kole:
Jakiś jegomość, z marszczkami na czole,
Siedział na boku, przy nim ksiąg dziesiątek.
W których wciąż grzebał, i tylko czasami
Wzrok swój zawieszał między obłokami.
Może się dziwił ich kształtów przemianie?
Wątpię — najprędzej, że jakie zadanie
Metafizyczne, rozwiązać zamyślił,
Bo na powietrzu a + b kreślił.

Z oryginała wszyscy się uśmieli,
I prędko o nim wszyscy zapomnieli:
Bo kiedy z duszy leje się rozmowa,
Nawet złośliwy dowcip żądło chowa.

Wtem nasz kapitan, co stał przy sterniku
I coś z nim mówił, wskazując ku górze,
Krzyknął z płuc głębi: Burza, mamy burzę!
Rozwijać żagle! — Z każdego kącika
Wyskoczą majtki, i jak po drabinach
Pną się po masztach, po rejach, po linach.
W mgnieniu, kawałka nie zoczyłbyś płutna —
A nam też dziwno zkąd trwoga okrutna?
Gdyż niebo zawsze pogodne się zdało,
I tylko w dali coś niby tam wrzało. —
Więc jaki taki skrył się do kajuty,
Bo już pociągać zaczął wicher luty,
I wielkie fale biły w boki nawy.

Wchodzę — aż oto w sukience złotawej
Obraz Panagii wyjął nasz padrone

I obżegnywa każdą świata stronę —
Potem w kąciku zawiesza, i świece
Zatli jarzące –
Dźwigając książnicę
Całą ze sobą, wszedł i nasz literat,
Spojrzał po izbie: skrzywił się, coś nierad
Z tego, co widzi: bo się rozśmiał głośno
I mierząc obraz źrenicą ukośną,
Szemrał: Lud głupi! lud ciemny jak w rogu!
Nie stanął nawet w filozofii progu;
Dawniej Junonie, dziś kadzi Madonie.
O! cobyś na to rzekł bozki Platonie,
Powstawszy z grobu; co wy mędrce wszyscy?!
My tylko idziem, w miejscu stoją nizcy:
Ich świat — to cuda, świeczki i obrazki:
Nasz — filozofia, mądre wynalazki. –

Po tej tyradzie, burza się rozsroży;
Piorun maszt strzaskał; a wichr mocą całą
Gnał nas na skały. — Słów by mi nie stało
Malować trwogę; prawdziwy sąd boży!
Ci ręce łamią, owi krzyżem leżą
Najspokojniejsi, co najwięcej wierzą.
Majtkowie także pomp swych odbieżali,
Do świętej Panny o pomoc wołali
Z taką ufnością, i z poddaniem takiem,
Że chociaż każda chwila grobem zda się,
Byliśmy pewni wzlecieć choćby ptakiem.
I ta nadzieja święta sprawdziła się.

Naraz nas łodzie rybackie otoczą —
Z tonącej nawy, ach jakże ochoczo
Każdy uciekał, jak niebu dziękował! —
A gdzież filozof? czy się wyratował
Spekulacyjnym jakowym wykrętem? —
Oto go widzę, leży w pół umarły
Lecz cóż to? z licem Panagii świętem
Szydercze usta pobożnie się zwarły!!

W trwodze mu zgasła pochodnia rozumu:
Lampą zbawienia, błysło czucie tłumu.

OPRYSZKI.

Na rynku w Krakowie
Wesoła muzyka:
Prowadzą katowie
Herszta rozbójnika.

Na rynku w Krakowie
Ze stryczkiem kat czeka:
— Pij kumie — na zdrowie!
Bo droga daleka. —

— Nie będę pił wina
Choć w złotej dasz szklance:
Wysoka drabina;
Zagram na multance.

I wysłał z niej głosy
Po niwach, po wodach:
Otrząsnął łzy rosy
Na kwiatach, jagodach.

— Już szczebłów połowę:
Zadzwonię w multankę:
Nim katu dam głowę,
Pozdrowię kochankę. —

I zadął jak z rogu
Na sioła, na bory:
Na każdym grał progu,
Z drzew zrywał bisiory.

— Drabina się kończy,
Niech zagram raz jeszcze:
Kto złączył, rozłączy —
Z światem się popieszczę. —

I zagrzmiał głos gruby
Jak organ grzmi farny,
Aż zrywał chmur czuby,
Aż nastał dzień czarny. —

— Gdzie stryczek? — kat woła
— Gdzie szyja? wzdy ciemno! —
Oj strach był do koła,
Kat wołał daremno.

Bo z borów, siół, szlaków,
Głos wrócił, a z głosem
Stu wpadło junaków
Z watażką i krzosem.

— Gdzie wódz nasz? — grzmi rzesza;
Straż broni zdobyczy —
Kat, herszta co wiesza,
Sam został na smyczy.

Przedmieścia zgorzały,
Struchleli mieszczanie;
A Tatry zagrzmiały:
Górą Podhalanie!

KONANIE KOZAKA.

Na kuczmańskim szlaku głucho,
Tylko wciąż majaczy tuman,

I tęt kopyt bije w ucho
Kozakowi, co zaduman,
Czy ubity u kurhana?

Ni zaduman, ni ubity;
Ognia krzesze, skałki pali,
Postrzałami wskroś przeszyty,
Porąbany wskroś od stali —
To tatarska — jedna rana.

Na niezabud miał chuścinę,
Drze, obwija — już nie stało!
W gardle sucho, łyka ślinę:
— Wody! wody! wiele, mało! —
Wody! w stepie odwołało.

Kary konik stał w pobliżu
Nie tknie trawy, łeb zwieszony,
Płacze pana — a na krzyżu
Siedzi orzeł, ostrzy szpony
Na mołojca białe ciało.

— Wiem ja, wiem ja, hen na błoniu,
O trzy nieba ztąd źródlisko;
Lećmy w zakład bracie koniu,
Ja wysoko, a ty nizko;
Jak prześcigniesz, skrzydła stracę.

— A ja czemże ci zapłacę.
Chyba potniesz mię na części? —
I step tętni, gdy koń skoczy,
Gdy ptak leci, piórmi chrzęści;
Ptak ochoczy, koń ochoczy.

Długo, długo ni o ptaku,
Ni o koniu wieści nie ma —
A tu stygnie duch w Kozaku.
Zmora siada nad oczyma;
Na kuczmańskim pusto szlaku!

Oj nie pusto! ziemia dudni,
I przemyka coś przez jary,
Konik z wodą drze od studni;
A gdzie orzeł, czy znikł w chmary?
Oj nie! orła wiezie kary.

— Bracie koniu! twa wygrana;
Daruj, daruj skrzydełkami! —
— Cyt, cyt ptaku! słyszę pana
Jak posyła świst z wiatrami
Lecz mdlejący, nie stepowy. —

Trzy polany, trzy parowy
Jeszcze przed nim; jak na lirze
Struny — w dwoje go przyrosło;
Schować orłom twoje pierze,
Jego wierne serce niosło.

I doniosło! — Przy junoszy
Padł, wyciągnął długą szyję —
— Pij, pij Panie! — Pan nie pije —
Trup z Kozaka, trup z rumaka.
Na żer orły! nikt nie spłoszy. —

WYPRAWA CHMIELNICKIEGO
NA MULTANY.

Z Niżu wieje, cichy wietrzyk wieje;
Młódź kozacka w taniec iść gotowa:
Tylko Bóg wie, nim wyjdą przez słowa,
Jakie myśli Pan Chmielnicki grzeje!
Ni setniki o tem nic nie wiedzą,
Ni rotmitstrze, hetmany kurenne;

Bóg, co jeden zna serce bezdenne,
Zna w Chmlelnickim jakie myśli siedzą.

Nad Dniestr przyszli; mieli trzy przewozy —
Pan Chmielnicki wyprzedził obozy,
Do Chocima skoczył, listy strzela —
Multańskiego wyzywa Wasyla:
— Po co długo słowami szermierzyć;
Albo bić się, albo mir uderzyć.
Na przymierze przyjmiesz mię w gościnę,
Lub Wołoszy oddasz połowinę. —

Gdy Wasyli poczuł takie wieści,
Do Hetmana Potockiego pisze:
— Czy Hetmanie masz rozum niewieści,
Czyć gorzałka w drzemocie kołysze?
Czyś pancerne spoił towarzysze?
Ze dopuszczasz Chmielnickiemu broić,
Trupem naszym kraj Multański zgnoić,
Kraj Multański naszą krwią napoić? —

Lachy z grodu uchodzą, z Suczawy,
Wasylowi niosą wieść niesławy;
Po ich drodze płynie potok krwawy,
A ich trupy pilnują granicę. —
Wasyl patrzy na Jassy, stolicę;
Łza mu kanie: — Jassy, moje Jassy!
Jako dziewic krasa, twoje krasy.
Wiatr perzynę rozwiewa na szlaki,
Twoją krasę rozwieją kozaki! —

Pan Chmielnicki zahetmanił gracko:
Młódź na Siczy ucieszył kozacką!
Potarł Wołosz, Lachom zalał sadła!
W on czas sława jasna na nas spadła:
Kozak gonił, wszem cudzym na strachy,
W moskiewszczyznę, w Perekopce, w Lachy.

ZAPRZEDANA.

Na zielonej, na carynie
Siedzą Turcy, lulki kurzą:
Przy sorbecie i przy winie,
A Romana winem durzą:

«Hej Romanie, kumie naszy,
Przedaj siostrę Oleneczkę,
Dla Turczynów, dla kardaszy
Za jedwabną, za uzdeczkę,
Za koniki maści karej,
Za siodełko, śrebrne tkanie,
Za czerwieńce, za talary,
Przedaj siostrę nam Romanie! —

Roman do dom wraca, siada
Za stół, głowę wsparł na stole;
Dumka w dumkę, w radę rada
Dać, czy nie dać ją w niewolę? —

— Hej Oleno, hej siostrzyco!
Stół cisowy zaściel czysto:
Pomyj misy, niech się świecą
Pozłociste i srebrzysto.
Hej Oleno! hej siostrzyczko!
W białe owiń się rańtuchy:
Rumianeńkie umyj liczko,
Może zkąd napłyną druchy. —
Siostra wyszła na podwórze
I poziera w step szeroki:
— Zkąd Romanie takie duże
Dymy idą pod obłoki?
Czy się orły skrzydły biją,
Czy owczarze turmę żeną? —

— Ni się orły skrzydły biją,
Ni owczarze to Ołeno;
Ale Turki, twoje swaty
Twoje druchy i bojary,
Zawiezą cię w kraj bogaty,
Dadząć złota co niemiary. —

Usłyszawszy to dziewczyna,
Ta różyczka, ta kalina,
Jako chusta wraz pobladła;
I o więcej już nie pyta —
Do świetlicy tylko wpadła:
Czegoś szuka — ot i chwyta
Nóż ze stołu długi, ostry —
Utopiła nóż w jelita:
— Hej Romanie nie masz siostry! —

— Lepiej było się nie rodzić,
Niż przebijać marnie łono. —
— Lepiej marnie z świata zchodzić,
Niż Pohańca zostać żoną! —

BRANKA TATARSKA.

Nie zapieją nocą kury,
Nie czuwają ludzie w siele;
A tu naszły dymu chmury,
A tu naszło Tatar wiele.

Zrabowali, popalili,
Poganiają lud w jasyrze,
Powrozami upowili,
Podcinają konie chyże.

Jedzie Tatar na bezdroże
U strzemienia brankę troczy;
Stara branka iść nie może,
Wypłakuje stare oczy.

Dniem i nocą, stepem, wodą,
Jadą, brodzą, w kraje Chana;
Tatar stanął przed zagrodą,
Żona wyszła przeciw Pana.

— Witaj moja! ot masz lite
Złotogłowy, zausznice,
I przywiozłem ci kobietę
Z samej Polski niewolnicę.

Trzy roboty robić będzie:
Niech oczami pasie trzodę,
A rękami kądziel przędzie,
A nogami huśta młode. —

Więc oczami pasła trzodę,
A rękami przędzę snuje,
A nogami huśta młode,
A młodemu przyśpiewuje:

— Tatarczątko luli! luli!
Ty po córce mi wnuczątko;
Córka matki nie przytuli,
Babki nie zna niebożątko. —

Tu Tatarka wstała, zbladła:
— Zkąd ty znasz mię, niewolnico? —
— Gdy cię niańka w kąpiel kładła,
Iskra padła ci na lico. —

— Matko moja! zrzuć te łaty,
Bierz jedwabie, bierz sobole;
U nas taki kraj bogaty,
Co masz tęsknić na Podole?! —

— «Lepsza moja płachta zgrzebna,
Niźli wasza szata złota;
Tobie tęsknić nie potrzebna,
Za Podolem mnie tęsknota. —

ODJAZD NA WOJNĘ.

Gomon, gomon po dąbrowie;
Tuman w polu się przewala;
Wyganiała mać synala:
— Idź odemnie, matka powie:
Niech cię Turczyn w plon zabierze! —
— O, mnie matko Turczyn zna,
Dziarskich koni stado da. —

Gomon, gomon po dąbrowie,
Tuman w polu się przewala;
Wyganiała mać synala!
— Idź odemnie, matka powie,
Niech cię Orda w plon zabierze! —
O, mnie matka Orda zna;
Srebra, złota dużo da!

Starsza siostra z koniem czeka,
Młodsza z szablą i kołpakiem;
A najmłodsza wciąż wyrzeka,
— Którym bracie wrócisz szlakiem,
Za rok, za dwa, za pół wieka? —
Wyglądają z wszystkich stron,
Czy nie jedzie z wojny on?

Weźmij siostro garstkę piasku,
Posiej piasek na kamieniu;
Codzień chodź o zorzy brzasku,
Płócz ten piasek w łez strumieniu,

Jeźli piasek zejdzie, skwitnie
Jak na wiosnę kwitnie sad,
Wtedy z wojny wróci brat. —

Po dąbrowie grają głosy,
Tuman polem się przewala;
Przywołuje mać synala:
— Wracaj synu! zmyjęć włosy! —
— O, mnie matko deszcze płuczą,
Rozczesuje ostry głóg;
Suszy wicher — ciężkom zmókł!

CYGANKA.

Cyganeczka wróżka w boru,
Z chrustu szałas grodzi;
Młode dziewczę co wieczoru
Do cyganki chodzi.

— Oj cyganko, oj co wróżysz,
Masz na serce leki;
Ty kozaka dla mnie zdurzysz,
Niech kocha na wieki. —

Cyganeczka koło toczy,
I wróży śród koła;
I dziewczynie splot warkoczy
Ustrzyże z nad czoła.

— Cyganeczko, dalej, dalej,
Mnie tęsknica taka! —
Cyganeczka kosę pali,
I poi kozaka.

— Czemu w kuble mętna woda,
Czy wiatr na jeziorze?
Czego tęskni dziewka młoda,
Czy się kocha może? —

Oj dziewczyno, złe to czary,
Kozak się wywinie!
Szumią łozy, szumią jary,
Liść po wodzie płynie.

Szumij jarze, szum bajracze,
Pokąd się zielenisz.
Ty dziewczęta zwódź kozacze,
Aż się i ożenisz.

PRZYJAZD.

Szumią łoży, oczerety.
Gdzieś kozacze z drogi, gdzie ty?
Zjechał błędem, wiatry ściga,
Konia strudził, koń nalega.

Kozak leci górą, dołem,
To jaskółką, to sokołem;
Niezmordowan, niezatrzyman;
Aż mu drogę zaszedł liman.

Liman, gwiazda w ciemnym stepie.
Konia puścił, wodę chłepie,
A sam łzami zlewa lica;
Z drzewa kuje zazulica.

— Oj zazulo! dobre ptaszę,
Pokaż, pokaż szlaki nasze;
Kędy jechać do słobody,
Czy przebrodzić duże brody?

Czy tam góry, czy polany,
Do dziewczyny, do kochanej?
Ty leć przodem, siądź na drzewie,
I zakowaj mojej dziewie.

Jak usłyszy, rzuci łoże,
O kozaku wspomni może! —
Zuzuleńka z drzewa kowa,
A pod drzewem trwa rozmowa:

— Lecę, lecę dniem i nocą,
A sam nie wiem jest-li po co?
Do niewiernej może jadę,
Po truciznę, lub po zdradę. —

— Ja tu płaczę dniem i nocą,
Płaczę, wzdycham, nie wiem po co.
Za niewiernym płaczę ja tu,
A on buja gdzieś po światu! —

Ciszej! ciszej! u kozaka
Jak gwiazd w niebie, miłość taka;
A miłości u dziewicy —
Ile srebrnych łez w krynicy.

TRZY KUKUŁKI.

— —

Wypadł sokół z lasu na caryny,
Pojrzy w koło, nie stało drużyny —
I wyskoczył z watażką na hale;
Za nim tucza, wystrzał po wystrzale.
Źle z junakiem! — Oj zielona sosno,
Skryj mię w kity co tak bujno rosną! —

Tucza szumi sosna się chybota:
Nie chylaj się sosno, ja sierota.
Z mojej drużby bielą w dołach kości,
Z mej rodziny nikt tu nie zagości,
Chyba tylko strzał z rusznic doleci,
Chyba orzeł po karmę dla dzieci. —

Tucza szumi — po halach się wspina.
— Zdaj się zbóju! — z dołu napomina.
Junak milczy; grają wciąż rusznice,
I gałęzie ścielą mu łożnicę.
Już sokolich skrzydeł nie roztoczy,
I watażki we krwi nie ubroczy!

O świtaniu wieści znosi rosa:
Trzy zuzule lecą przez niebiosa,
Wszystkie siwe; zawodzą jak wdowy.
Jedna siadła u bujnej mu głowy,
Druga siadła przy nogach młodziana,
Trzecia siadła przy sercu, gdzie rana.
Kędy głowa — siedzi mać sędziwa;
Kędy nogi — siostrunia spoczywa;
Kędy serce — młoda narzeczona.
Matka płacze — płynie łza skrwawiona;
Siostra płacze — napełnia krynicę;
Narzeczona suche ma źrenice.
Matka płacze od roku do roku;
Siostra płacze od rana do mroku;
Narzeczona co pomyśli, wzdycha,
A co westchnie, jak drzewko usycha!

ŚPIĄCY MILTON.

Do ***

Zbudziłaś mię — dziękuję! — Ale cóż mi potem
Kiedy suknią szeleszcząc, zbudziłaś przelotem;

A jam widocznie na to położył się w gaju,
Bym się obudził z myślą o straconym Raju.
Zapewneś nie wiedziała, z jakiej to przygody
Raj utracony powstał? Słuchaj: Milton młody
Wyszedłszy na dumanie do jakiegoś lasu,
Tak się znużył dumaniem, że zapragnął wczasu,
Czyli, mówiąc po prostu, pod drzewem zachrapał.
A był to piękny chłopiec! zwłaszcza, kiedy zapał
Ożywiał jasne oczy, na teraz zamknione;
Za to usta miał śliczne, jak karmin czerwone,
Ząbki jak perły i włos pozłocisty, kręty —
Tam, w lesie, za aniołka śmiało mógł być wzięty.

Owoż jakaś panienka — nie wiem, czy poetka,
Dość że smukła jak trzcina, a jak sarna letka
Biegła sobie gaikiem, a ujrzawszy śpiocha
Stanie przed nim, popatrzy — i bodaj już kocha.
Serduszko w niej zadrżało, aż raczka upiekła:
Chciała z razu uciekać, ale nie uciekła.
Tylko — przebóg! ach, uszy zatulcie Angielki!
Gdyby się dowiedziano, skandal byłby wielki. —
Na ustach młodzieniaszka całusek gorący
Wyciśnie, i to głośno, choć pewnie niechcący:
Bo, jakby przestraszona, w gąszcz największy wpadła,
Ledwo ślad zostawując sennego widziadła.

On tymczasem błękitne przecierając oczy,
Ustami czegoś szuka, jakby sen uroczy
Chciał dogonić na jawie, i zgarnia ramiona,
Lecz w nich tylko powietrze było, a nie ona.
Sen-że to? ale jaki! Z raju anielica
Zbiegła pewnie i skrzydłem trąciła o lica,
Zkądże na ustach został jakiś przysmak miodny?
I czuł oddech na twarzy palący, nie chłodny,
I szelest — gałązkami zadrgała leszczyna —
To nie duch, ale raczej Aniołek, dziewczyna!

Jej rysy, acz przez senne oglądane tkanki,
Wyryły mu się w duszy jak portret kochanki,

Wtem lepszy, że ni złodziej, ni przypadek jaki
Mógł go porwać, lub zetrzeć ulubione znaki.
On też z nim nierozdzielny nosił się po świecie,
Lubego wzoru w każdej szukając kobiecie;
A choć cudne spotykał, nie napotkał swojej;
Nie wiem czyby się mieniał na Helenę z Troi.
Dość, że poznawszy krajów i ludzi coś dużo,
Zawiedziony w nadziejach, i zbity podróżą,
Gdy nie znalazł przedmiotu swych westchnień na ziemi
Rzekł w końcu: Ona w niebie, między wybranemi!
I dalej w lot się puścił stropem ugwieżdżonym,
Nie oparłszy się nigdzie, aż w Raju straconym,
Gdzie spotkał ową piękność widzianą za młodu
Poznał ją, i wyśpiewał — Ewę, matkę rodu. —

Sprobować snu Miltona, wzięła mię pokusa:
Położyłem się w gaju by dostać całusa;
A chociaż ci sposobność dałem, jakiej mało,
Bo i las, i samotność, i południe grzało —
Przebiegłaś niedomyślna. — Oboje tracimy:
Ja całusa, ty Pani, tracisz w zamian rymy. —

DUCH NAPOLEONA.

Na konferencyach w francuzkiej stolicy
(Taka wieść chodzi w publiczności głucha)
Obradowali raz pełnomocnicy
Do później nocy — i ujrzeli ducha
Napoleona! Kapotę miał szarą,
Znany kapelusz i gwiazdę legionów,
Rękę wzniesioną — jakby groził karą,
Spojrzenie — jakby wywracał sto tronów —
I zaczął mówić coś grobowym głosem
O tamtym świecie, o ciężkiej pokucie:
Że on tam z Polską cierpi wspólnym losem,
Marznie Sybirem, boleje po knucie,

Gnije więzieniem, łzą tułaczą płacze —
Że jego piekłem są Polski rozpacze.
Mówił — i pono mówił bardzo ślicznie!
Lecz szkoda było jego retoryki,
Bo ministrowie i pełnomocniki,
Nie hierarchicznie, nie alfabetycznie
Wszyscy ze stołków spadli pod stoliki,
I tam, w omdleniu leżeli jak dłudzy,
Póki na hałas nie nadbiegli słudzy.
U dyplomatów, szczęściem, głowa tęga,
Więc i w trzeźwieniu niedługa mitręga.

Gdy do porządku grono powróciło,
Każdy się pytał: Co to? co to było?
I różni różnie sobie tłumaczyli.
Jedni składali na wrażenie chwili,
Drudzy widzieli w tem mistyfikacyę,
A inni znowu polską emigracyę.
Byli i tacy, co nawet wierzyli
W Od Reichenbacha, pukające duchy —
W końcu ze siebie rozśmieli się, zuchy!
I z zimnem sercem, a zimniejszą głową
Do konferencyi zasiedli na nowo:
Aż i warunki stanęły traktatu
Na pocieszenie i zbawienie światu,
Póki go lada nie zakłóci mucha —
Taki to pokój — bez ducha.

1856.

OBJAŚNIENIA.

DO TRĄB W DNIEPRZE.

Bolesław Chrobry z ogromnem i dobrze sprawionem wojskiem ciągnął na kraje ruskie. Jarosław, syn Włodzimierza, zgromadziwszy równie potężne wojsko z Rusinów, Waregów i Sławianów, zastąpił Bolesławowi przy rzece Bugu. Poprzedziły przez kilka dni lekkie z obu stron harce kamieńmi i strzałami, nim przyszło do walnej rozprawy. Pierwszy król zaczął potyczkę, rozgniewany grubiańskiem szyderstwem niejakiego Błuda poradnika książęcego, który, stojąc na drugiej stronie rzeki, samego króla dla otyłości wieprzem nazywał. Wojsko za przykładem króla w pław rzekę przeszło. Pośpiech królewski pomięszał Rusinów: po kilku godzinach krwawej bitwy zniszczeni prawie i starci pełne martwych ciał zostawili bojowisko; obóz z całym plonem dostał się królowi. Sam Jarosław, samoczwart uciekłszy z pola, ani w Kijowie widział się bezpiecznym, bo ztamtąd pomknął do Nowogroda. Bolesław podstąpił pod Kijów; po długiem oblężeniu zdobył szturmem, a wjeżdżając przez złotą bramę ugodził w nią pałaszem, który odtąd nazwę szczerbca otrzymał. Z bramy udał się do monasteru ś. Zofii, gdzie go duchowieństwo przyjmowało niosąc krzyże i kości świętych. Zabrane skarby odesłał do Gniezna. Wydano mu macochę z żoną Jarosława; ośm siostr jego, z których jednę sobie upodobał. Król, na znak zwycięztwa swego i rozszerzenia królestwa, słupy graniczne żelazne w Dnieprze, gdzie do niego Suła rzeka wpada, powbijać kazał. Przydają także że powrzucał do tejże rzeki

misterną jakowąś robotą z kruszcu udziałane trąby, przez które sącząca się woda dźwięk jakiś dziwny wydawać miała.

Naruszewicz, His. nar. pol.

DO POTRZEBY WARNEŃSKIEJ.

Praktyk cygański. Praktykami nazywano wróżbitów; praktyki, czary.

Młody Krzysztoforze! Znana jest starożytna pieśń pobożna o Krzysztoforze: czytelnik znajdzie ją w księgach Bibliograficznych Lelewela. Rej mówi w żywocie poczciwego człowieka: — Bądź jak on Krzysztofor wielki a stały we wszystkich sprawach twoich. — Krzysztofora wyobrażano w średnich wiekach w postaci olbrzyma i stawiano go przy zamkach, kamienicach, jak to po dziś dzień widzieć można w Krakowie, w Kazimierzu, w Lubelskiem, niosącego na ręku dziecię Jezus przez wodę, podpierającego się drzewem.

Na ocel. Stal, z czeskiego.

Z namiotu kraśnego jen szyty perłami. Namiot Władysława pod Smederowcm szyty był perłami, jak mówi Janczar Polak.

Łaźbią. Łaźbić, miód z barci, pszczoły podbierać. Po drodze w czasie tej wyprawy wyłamano kilka zamków, przy których dwaj Polacy dzielnie sobie poczynali, jak pisze Bielski, gdy Jan Tarnowski u Sumenu wrota wysiekł, a Leszek Bobrzycki naprzód u Petraszu na mur skoczył.

Harcują k' wol' spyże. Spyża, żywność, np. zamki naspyżować. Ztąd zapewne spiżarnia, skład żywności.

Lud węgierski niemnożen choć czysty. Nad 20,000 nie było pod Warną wraz z Wołoszą. — Lud czysty — znaczy dzielny, doborny. Draguła Wojewoda wołoski, zobaczywszy małe wojsko węgierskie powiedział: że Turek miewa więcej luda gdy na łowy jedzie.

Czambuł, z tureckiego, krótka wojenna wyprawa, bez wielkich przyborów na długą kampanię.

Padysza, jen się dał w derwisze. Miurad II. po

pierwszej straconej bitwie z Władysławem, z żalu wstąpił do klasztoru i pokutował; — lecz gdy powtórnie Władysław wojnę rozpoczął, wywlekli go ztamtąd Janczarowie.

Grek od głowy po dukacie bierze. Grecy zamiast bronić Turkom przejścia do Europy, przewozili ich na własnych okrętach, biorąc od głowy po dukacie.

Jak przewała deszczowa. Straszny miał być pochód gońców Tureckich, czyli awangardy; autor pamiętników wyraża się: że gdzie przechodzą, tam kur wiele lat nie zapieje; w ich języku zowią się Akumdzie.

W poniedziałek — bitwa zaczęła się w poniedziałek o świcie.

Cztery pływa tam sztandarów, jeden biały, i t. d. Cztery są chorągwie cesarskie, które są pomiędzy dworzanami: jedna najprzedniejsza biała, złotem pisana. Nazywa się Alamsamdiat, jakoby kto rzekł wszelkiej mocy chorągiew. Druga czerwona, trzecia zielona z czerwonem, czwarta żółta z czerwonem. Gdzie te cztery chorągwie rozwinięte, tam cesarz się znajduje. — (Pamiętniki Janczara).

Nuż w nie miły Staszku! Objawienie to miał Władysław Jagiełło pod Grünwaldem i wyrzekł te słowa, które tu w usta syna włożyłem.

Z klechdaniami. Klechda znaczy tradycyę czyli podanie; to słowo znane jest po całej północy. W tragedyi pierwszej znanej u nas pod tytułem Pamela, mówi Pamela: «Klechdy, starych bab nauczyły, jak lubowników przez powietrze sprowadzać.»

Wonnym jabłkom uproście do raju. W jednej z powieści gminnych pomnę, że dusze pobitych zamienione zostały w wonne jabłka.

Kukry. Pódług Collectaneów Sękowskiego ów Janczar nazywał się Kodża Chyzyr.

Rozumiał co niema twarz gada. Na wschodzie podanie jest że znajdują się ludzie, którzy rozumieją język zwierząt, nawet kwiatów.

Trzebieńce. Eunuchy, tak ich nazywa autor Pamiętników Janczara.

Chwała, Ałło za zwycięztwo szczęsne! Miurad II.

uradowany zawołał te słowa: El-ham du lillahi allas-zefer! Chwała bądź Bogu za zwycięztwo.

Śród majdanu. U Turków ulica obozowa, u nas miejsce w lasach wycięte, gdzie jest mała osada, majdanem zowiemy.

Wiere, rzeczywiście, prawdziwie; patrz Reja.

Bojowiskiem dwaj jeźdcowie, i t. d. Po bitwie sułtan w towarzystwie Azeb-Beja przejeżdżał po polu bitwy i obracając się do niego: «Co znaczy — rzekł — Azebie! że pomiędzy tylu niedowiarkami żadnego nie widać z siwą brodą? — Padyszachu, odpowiedział, gdyby się pomiędzy niemi choć jeden sędziwy znajdywał starzec, nigdyby się z nimi to nie stało. (Z Collectaneów).

DO SAMUELA ZBOROWSKIEGO.

Pierwsza część tego rapsodu: Czarnomorska Burza, jest poniekąd naśladowaniem dumy małoruskiej ze zbioru Maxymowicza; lubo poczynione są w niej znaczne odmiany, stosownie do głównego pomysłu, zawartego w tym poemacie. Wiadomo jest z dziejów, iż Zborowski robił z Kozakami wyprawy morskie i że był nawet ścigany przez galary tureckie. Ciekawy opis dzieł jego na Niżu znajdzie czytelnik w Paprockiego Herbach Rycerstwa, a mianowicie w Zbiorze pamiętników o Samuelu Zborowskim, wydanym przezemnie w Poznaniu 1844. Do tegoż dzieła odsyłam wszystkich, którzyby chcieli rozpatrzyć się bliżej w tym dramacie XVI stulecia. O żadnym historycznym wypadku nie mamy tyle historycznych dokumentów, tak bardzo szczegółowych, ile o śmierci Samuela Zborowskiego; każden nieledwie krok jego i słowo jest tam zapisane. Z tego pokazuje się, że sprawa ta ogromnie obchodziła naród, że coś więcej wchodziło w nią niż proste ucięcie głowy burzliwego szlachcica. — Najtrafniejsze tu będzie zdanie Mickiewicza z katedry słowiańskiej: Że to podobnoś była walka uczuć narodowych przeciw doktrynom Batorego i Zamojskiego.

PIEŚNI, ELEGIE, SONETY.

MOJA GĘŚL.

Zawierucha szumi, szumi,
W okna bije śnieg;
Moja gęśla to rozumie
I zabrzęknie w mig:

Coś o słońcu, coś o maju,
Coś o kwieciu łąk,
O szemrzącym też ruczaju
Wciąż tylko brząk, brząk.

Czarne tucze wiatr nanosi,
Piorun bije z chmur;
Moja gęśla w dłoń się prosi,
Cichy dzwoni wtór:

Coś o szczęściu, o pogodzie,
O spokoju dusz;
I o rajskim coś ogrodzie
Bez gromów i burz.

Czemuż w słońce, czemuż w ciszę,
Strunką ani drgnie?
Tylko smętna się kołysze
W najpiękniejsze dnie —

Nie ma wtóru dla słowika
Ni dla gajów, wód —
Czemuś gęślo taka dzika,
Nieczuła jak lód?

A rozumiem! Teraz w siebie
Wciąga blask i woń:
Słucha co tam mówią w niebie,
Co tam szepcze błoń.

A nabrawszy z wiosny, z lata,
I dźwięków i farb,
Kiedy jesień zakołata
Otworzy swój skarb.

I wonnością, zielonością,
Olśni zimny dół,
Abym z wiarą i miłością
Przyszłość naszą snuł.

WIARA W PRZYSZŁOŚĆ.

Na mogile puhacz drzemie,
Puhu! w noc zakrzyczy.
Czej Kozackie wskrześnie imię
Na Niżu, na Siczy?!

Co dzień tęsknim przez wiek długi,
A każdy okłaman.
Wróci-ż Polska? wróci-ż drugi
Nasz Daszko Ataman?

Grzmiały nasze samopały
Na czajkach, w taborze —
Syn kozacki lackiej chwały
Zapomnieć nie może.

Rdza pojadła szable ojców,
Rusznice bez kurków;
Lecz jest serce u mołojców
Na Moskwę, na Turków.

ŻEGLUGA.

Chodź kochanko, chodź na morze
Wiatr nam w żagle dmie!
Nowe gwiazdy, nowe zorze
Będą witać cię! —
Miniem porty i zatoki
Kotwię rzucim na obłoki,
Precz od lądu, precz!

Kto ma duszę niewolniczą,
Temu światem, ląd;
A nam stropy nieb granicą,
Królem wiatr i prąd.
I bez świadków tu kochanie
Tajemnicze jak otchłanie —
Precz od lądu, precz!

Nieraz siądzie na maszt mewa,
Wieści niosąc z ziem:
Że tam burza łamie drzewa —
Nie smucim się tem.
Co nam ziemie, co nam burze!
Nam tu gwiazdy lśnią w lazurze.
Precz od lądu, precz!

JUTRO.

Serca pojone piołunem,
Dusze boleścią zranione,
Patrzcie na drzewa zielone
Poobalane piorunem.
Patrzcie na ohmury, tam w górze,
Jaka z nich tęcza wykwita;
Przejdą pioruny i burze,
Jutro nas słońce powita.

Pielgrzymom do ziemi słońca,
Gościniec zaległy głazy:
Majaczą wody, oazy,
A piaski, piaski bez końca.
Czy dojdziem, czy nie? — iść trzeba
Ku gwiazdce, co tam przybita!
Krok jeden — zdejmiem ją z nieba:
Jutro nas słońce powita.

Jutro — lecz jakże dziś przeżyć
Tę noc, bez chleba, przytułku?
Patrzajcie, iluż w tem kółku
Przestaje w to jutro wierzyć!
A przecież lada jagódka
Może nakarmić do syta,
Przytulić trawka mięciutka —
Jutro nas słońce powita.

O wierzmy! tylko niewiarą
Pielgrzymy w tych puszczach giną —
Burze i noce przeminą,
I ty się skończysz, Saharo!
Kto o swą drogę gwiazd pyta,
Bóg mu otworzy lazury;
Niewiernym da noc i chmury —
Jutro nas słońce powita.

PODRÓŻ.

Kiedyż, kiedyż do was wrócę?
Bracia moi, siostry moje! —
Ranną rosą pierś napoję,
Z głosem dolin gęśl nastroję,
I na całą błoń zanucę:
Kiedyż, kiedyż do was wrócę?

Oto księżyc, oto gwiazda —
W okno skrada się promykiem;
Och, nie powiem nic przed nikiem!
Promyk będzie mi konikiem;
Dosiędę go — jaka jazda,
Przez błękity wprost do gniazda!

Toż im sprawię niespodziankę —
Jaka radość, jakie płacze!
Pisklę wraca się tułacze!
Lżej umierać jak obaczę
W koło siebie z sióstr równiankę,
Matkę, druhów i kochankę.

Każde czyta w mojej twarzy:
Jak się zmienił — ach, włos siwy!
Czy tam byłeś nieszczęśliwy?
Mów, czyś żywy, czy nieżywy?
Dobre czasy ujrzym, starzy —
Co Bóg zechce to przeważy.

Biegaj, biegaj, rozpatrz-że się
W całym domu; czy jak było,
Czy się dużo odmieniło? —
Wszystko dawne mi odżyło,
A porosło, jakby w lesie,
A ku ziemi domek gnie się.

I zaglądam w każdy kątek —
Zegar wita mię kukawką,
Na podwórku lipa z ławką,
Gdziem dziecinną grał zabawką;
Duszą chwytam dawny wątek,
Z końcem wiąże się początek.

Aż czeladka mię oskoczy:
Panicz! panicz! — ci ściskali,
Drudzy z boku poglądali:
My już pana opłakali!
Z nami będzie ci ochoczej,
Tylko nie jedź w świat za oczy.

Darmo! darmo! — póki skryty
Księżyc w chmurze — czy widzicie?
Póty z wami wasze dziecię —
Lecz jak stanie na błękicie,
Spłynie po mnie promyk lity,
I poniesie przez błękity.

I znów biegę między sady,
Z kwieci na skroń trząsam rosy,
W chłodnem tchnieniu kąpię włosy,
Z pól i dolin chwytam głosy:
Jeszcze, jeszcze — nie ma rady!
Ot już zjeżdża promyk blady.

Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi! —
Zostań, zostań, synu! bracie! —
Próżno, próżno mię wołacie,
Dłoń łamiecie, rozpaczacie.
Już i za to ktoś odpowie:
Głowę utną księżycowi.

SKARGA WIESZCZA.

Biedny wieszczu bez słuchacza,
Bez strun żywych gęśli biedna!
Jak ta ptaszka, co rozpacza
Na pustyni sama jedna.

Cóż ci potem, że do koła
Marzysz taki raj prześliczny?
Oko płacze, serce woła —
Odpowiada gwar uliczny.

Cóż ci potem, że w podniebie
Myśl wyrywa się skrzydlata?
Chcesz co ziemskie zrzucić z siebie —
Ciemna więzi cię komnata.

Strumyk brzękiem, echem skała,
Kwiatek wonią się odzywa;
Tobie pióro, karta biała —
Jeden tylko wieszcz nie śpiewa.

Oj! śpiewali niegdyś oni
Za słowiańskich starych czasów,
Kiedy gęśl im drgała w dłoni,
Śród Peruna świętych lasów.

Oj! śpiewali korowodem
Na teremie Włodzimierza,
Gdy róg żubra krążył z miodem
Od rycerza do rycerza.

Lub gdy lirnik z sioła w sioło
Szedł na gody, wieczornice;
Pieśnią rzewną, to wesołą,
Rozpromieniał, chmurzył lice.

Dla mołojców i dla dziewic
O kukułce śpiewał chwilę;
Znowu śpiewał, jak królewic
Sławny Marko zwalczył Wilę.

To od Dniepru, od Dunaju,
Znowu dumkę Haliczanek —
Jako dziewka kwiatki w maju,
Duch słowiański splatał w wianek.

Tak bywało za Lumira,
Za Bojana — teraz jeszcze
Serbska gęśla, ruska lira
Konająco zaszeleszcze.

Chwytaj, chwytaj czuciem, uchem,
Dźwięk w powietrzu, zanim skona,
Piewco młody! z silnym duchem,
Gęśli nowo nastrojona!

Twój świat ciasny się rozszerzy
W stepy, góry, nieboskłonem;
Gdy zapiejesz, gmin się zbieży
Abyś wstrząsał jego łonem.

Kiedyż, kiedyż dnie przeminą
One czarne — kiedyż przecie
Pieśni wieszczów znów popłyną
Z sioła w sioło, wskróś po świecie? —

PAMIĘĆ SERCA.

Gdyś wszystko żegnał u chaty twej proga,
Ile też przysiąg na stałość, na wierność!
Czy to rozdzieli lądów, mórz niezmierność,
Zawsze powietrzna zostaje nam droga;

Przez nią polecą nasze myśli, chęci —
Nie wstrzyma wicher przeciwny, ni mgła:
Wierzcie nam, wierzcie, ze wszystkich pamięci,
Najdłużej pamięć serca trwa.

Od pól rodzinnych, od sióstr i kochanek,
Ledwo los pomiótł — a nić uczuciowa
Im dłuższa, dalsza, tem cieniej się snowa,
Że od pajęczych nie grubsza dziś tkanek:
Rzadko wieść jaka po niej się zakręci,
Rzadziej dopłynie westchnienie lub łza;
I mimo przysiąg, ze wszystkich pamięci,
Najkrócej pamięć serca trwa.

Każdy głos z domu, to jak krzyk puhacza:
Tam brat z ojcowskiej wyzuwa cię włości;
Kochanka, trudnej zbywa się miłości;
Owdzie ktoś sławę nicuje tułacza — —
A wy rzucacie, na krzyżu rozpięci,
Płomienne słowa w dusz ostygłych dna;
Próżne łzy, słowa! — ze wszystkich pamięci
Najkrócej pamięć serca trwa.

O! gdybyś duchem zapytał, pielgrzymie,
Tych drzew, wód, dolin, gdzieś młodość przeskakał
Czyć pamiętają? — Kamień' by zapłakał,
Woda zadrżała, las oddał twe imię;
Bo dzień odjazdu każde ziółko święci,
Na każdej trzcince wietrzyk żale gra:
Tylko u ludzi, ze wszystkich pamięci
Najkrócej pamięć serca trwa.

ZA CZASEM WZDYCHASZ.

Mamo! ty wzdychasz za lepszym gdzieś krajem,
Mówisz: tam będziem szczęśliwi i wolni
Żyli jak kwiatki, jak ptaszkowie polni —
I czemuż my tu zostajem?
Powiedz mi mamo, kędyż takie życie,
Czy tam, gdzie w polu pomarańcza rośnie,
Cały rok wiosna, i lato po wiośnie? —
— Oj, nie tam dziecię! —

To może mamo, tam, jak w książce pisze:
Kędy w upały chłodek nieustanny;
W szklannych pałacach wciąż biją fontanny,
Sto dziewic do snu kołysze?
Gdzie rajskie ptaki siedzą na palm szczycie;
Perły wyrzuca na brzeg morze samo,
A rzeki złoto — czy tam wzdychasz mamo? —
— Oj, nie tam dziecię! —

To wiem, ty wzdychasz na twoje Podole,
Za temi łany, co się kłosem chwieją;
Za białym dworem — i lubą nadzieją
Osładzasz nieraz twe bole.
Nie bierz mię z sobą, tam — śnieżne zamiecie,
I kruków stado słania się nad groby —
I ty tam wzdychasz do ziemi żałoby? —
— Nie wzdycham dziecię;

Lecz wzdycham, synu, za ojczystą stroną —
Oby w wiosennym odżyła powiewie;
A wszystkie ptaszki na rodzinnem drzewie
Witały wiosnę wróconą.
Wtenczas już, synu, nie westchnę daremno!
Będziem śród swoich, szczęśliwi i wolni,
Żyli jak kwiatki, jak ptaszkowie polni —
Dziś, wzdychaj ze mną! —

POCIECHA.

Nie skargami, ani łzami
W kres wznioślejszy dążyć nam;
Łza i skarga jak rdza plami,
Nie przemoże piekła bram.

Jeźliś prawdzie przysiągł wiarę,
Pod jej znakiem walkę wiódł;
Dziś, choć gorzką pijesz czarę,
Dla potomków składasz miód.

Oj, nie trudem kilku chwilek
W świat, atomy można zlać;
Szczęście wspólne, nie motylek,
Wieki rośnie, aby trwać.

Źle na losy zdać się z wszystkiem;
A gdy zdasz na losy coś,
To coś jeszcze pal ogniskiem
Własnej siły, duchem wznoś!

Gdy wytrwanie nie przemoże,
Nie powstanie Polska z nas;
Wtedy zamień nas, o Boże!
W jeden wielki bólu głaz?

ZAKLĘTE KOŁO.

Wędrowiec śpiewa, gdy go podróż nudzi —
I żeglarz śpiewa na wezbranej fali;
Biedny wyrobnik, z piosenką się budzi,
Żołnierz ponuca, oparty na stali.

Kochanek, pieśnią łzę z oczu wyłudzi —
Skarży się drzewom i wiatrom się żali;
Mnie, choć te wszystkie dokuczają bole,
Nie mogę śpiewać w tem zaklętem kole! —

Ptaszki codziennie, kiedy wstają zorze,
Dźwięcznemi chóry gwiazdę dnia witają;
A mnież co słońce najżywsze pomoże,
Gdy zewsząd takie chmury naciskają?
Darmo! choć palce na struny położę,
Brzękną raz dziko, i wnet się zrywają —
Kiedyż w harmonię przerodzą się bole,
Kiedy zaśpiewam w tem zaklętem kole?

Niegdyś, gdym wierzył w gorączkowe szały,
Bywał dla pieśni tajemny zakątek;
Zwodnicze życia w około mię grały,
I napowietrzny wił się jakoś wątek.
Dziś, one postać szatanów przybrały,
Burzących świata nowego początek;
Zewsząd czyszcowe dojmują mi bole —
Jakżeż zaśpiewać w tem zaklętem kole?

Baśń o łabędziu chodzi dawnej treści:
Że pieniem, zgonu zwiastuje zbliżenie,
I tak dźwiękami srogą śmierć rozpieści,
Że z lekka, w wieczne przenosi go cienie — —
U mnie, tu w głębi, aż tyle boleści!
Zaśpiewam — może śmierć przyjdzie na pienie —
Darmo! choć jakaś myśl siedzi tu w czole,
Nie mogę śpiewać w tem zaklętem kole.

CZAS DO BOGA.

Ziemskim potęgom tylem się nasłużył,
Napalił ofiar z czynów i uniesień:
Jam się mojemu Bogu tak zadłużył,
Jako ten rolnik, gdy nań wczesna jesień
Razem uderzy, a pole odłogiem — —
Czas było z Ojców połączyć się Bogiem.

W strasznych ciemnościach długo się chadzało,
A choć śród cierpień i jęku rozpaczy,
Na promień łaski człek baczył tak mało,
Tak bezrozumnie dufał w szał junaczy,
Że myślał niebo zwalić pychy rogiem.
Czas było z Ojców połączyć się Bogiem!

Odkądem z starą wziął rozbrat osobą:
Ścieżki mych Ojców, jako drogi mleczne
Widzę za sobą, i widzę przed sobą
Ścieżki przyszłości ni to tęcze śliczne.
Czemużem chodził w przeciwieństwie srogiem,
Czemużem z Ojców nie łączył się Bogiem?! —

Drobneż, ach drobne te mędrków rachuby,
Jak pył kurzawy, którą szatan wznieci;
A ta ich wolność — to na duszę śruby,
W miłości ojca najwolniejsze dzieci;
I głów nie ugną, nie klękną przed wrogiem —
Czas nam, czas bracia połączyć się z Bogiem!

Kto wiarą idzie, zwycięztwo z nim kroczy;
Wódz trzyma duchy na ostrzu swej stali;
Naród ogarnia jakiś duch proroczy —
Co odbuduje, nie prędko się zwali;
Święci za ziemskim pomagają progiem:
W wierze, miłości, połączmy się z Bogiem! —

DO RENU.

Wody Renu zielone,
Czemuż, czemuż nie w stronę
Mej Ojczyzny płyniecie?
Jabym co dzień jej w darze
Puszczał myśli — korsarze —
Jak swe czółenko dziecię.

Jabym co dzień w twe zdroje
Męszał skargi, łzy moje,
Wraz ze łzami tułaczy.
Niemi fala wezbrana,
Niechby w pałac szatana
Niosła potop rozpaczy.

Lud pijący twą wodę,
Piłby Alpów swobodę —
Dziś spragniony umiera!
Ona by mu śpiewała,
Że w kołczanie jest strzała
Na każdego Geslera.

Renie, Renie zielony!
Czemuż nie płyniesz w strony
Mojej ziemi, mej matki?!
Nie obciążysz swe fale —
Nie chcesz zemsty, nieś żale
I na grobowiec kwiatki.

A Ren na to: Cyt synu!
Zanim przyjdzie do czynu,
Niechaj wam duch urośnie.
Wprzód lud stopić i śniegi,
Potem wylać nad brzegi:
Tak Ren robi o wiośnie.

Serc i duchów płomieniem
Wznieście się nad zgorszeniem
W szczyt sztrasburskiej wieżycy —
Wtenczas porzucam łoże,
Was na grzbiecie przewożę,
Aż do Wisły siostrzycy.

1839.

CZY JUŻ WIOSNA?

Mury, dachy wszerz i dłuż,
Nad dachami dym i kurz;
Ani nieba, ani łąki,
Ani mówią tu skowronki:
Czy to wiosna już?

A, tam w oknie coś zieleni?
To wazonki
Pełne lilji, róż.
Biedne kwiatki
Z swojej klatki
Zapytują tych kamieni:
Czy to wiosna już?

Czy już wiosna, kto nam powie?
Czy nietoperz pan ciemnicy?
Czy powiedzą krzyki sowie
Z pustek dachu? Źle, kto budzi
Duchów nocy! — Spytam ludzi.

Ot tam, widzę, ogrodnicy
Z koszykami na targ śpieszą,
Z wiosny się cieszą,
Bo z wiosny żyją.

Mają ogórki, sałatę, groch młody;
Tętna przyrody pierwej dla nich biją —
Jak dzieci wiszą u piersi przyrody.
Ich zapytam.

Czy już wiosna?
Czy się rozmaiły lasy,
Łąki w majowe ubrały atłasy?
Czy dużo kwiatków? kukułka miłośna
Czy kuka?

OGRODNIK.

Nam co po wiośnie?
U nas bez wiosny, a wszystko rośnie —
To sztuka!

JA.

Ależ drzewa, murawa —?

OGRODNIK.

Tylko dla oczu zabawa
Ogród angielski; u mnie warzywny,
Nie piękny, lecz pożywny. —

Źlem trafił! on zysku kłem
W ziemi ryje, jej przerabia soki
Zgnilizną, szkłem;
I myśli, że Bóg obłoki,
Że stworzył ziemię i światy
Dla ogórków i sałaty!

Tam — grono miejskiej czeladzi
W święto niedzielne rade się prowadzi
Od warsztatów, na wioski, na błonie,
Wyschłe piersi poić zdrowiem.
Lśnią się oczy, radość w łonie,
Od nich o wiośnie się dowiem.
— Moi panowie! pewnie z przechadzki?

JEDEN Z CZELADZI.

Tak, ze wsi.

JA.

Czy tam już wiosna? nie wiecie,
Czy jak dziewica wieniec sobie plecie,

Rozwiesza perły i motyle cacki?
Czy się rumieni rumieńcem róż?
Czy zerka oczkiem strumyków?
Powiedzcie czy wiosna już?

JEDEN Z CZELADZI.

Któż to zgadnie! ogrodników
Pytaj panie czy tam wiosna;
Tam — masz piwo,
I Marysię czarnobrewą,
I zieleni się tam sosna,
Godło karczmy.

Słuchaj kumie!
Bo to waszeć wszystko umie;
Jeźliś widział, powiedz panu.

DRUGI Z CZELADZI.

Nie widziałem — —

— Czcza mozoła!
Duszą, ciałem, lgną do dzbanu.
Świat im krąży po pijanu
Oni osią tego koła.
Klnę tęsknotę!
Z ust prostaka, w szczerozłote,
Fantazyjne chciałem ramy
Ująć obraz; jak źwierciadłem
Porozświecać głąb mej jamy
Słońcem wiosny — i w noc wpadłem!
Bądź co bądź,
Choćbym miał się lodem ściąć,
Zapytam jeszcze. Widzę młodziana
Z książką w ręku, wraca z pola,
W oku myśl wielka wplątana
Czytał Żan-Pola.

— Młodzieńcze! z nóg twych, okurzonych pyłem,
Wnoszę, żeś był za miastem?

MŁODZIENIEC.

Byłem.

JA.

Ha! czy tam wiosna! schwytałżeś wietrznicę
I tulisz w zmysłach, jak w oku źrenicę,

Barwę, cień, blaski? jak w zaklętym domie
Sił rozpowiciem grałać niewidomie,
A tyś dźwięk łowił, trzymał w dzwonie ucha,
Aż w rym odegrał dzwon ducha?
Czy tak? wiosna — młodzieniec —
Myśl jedna: milion kwiatów w jeden wieniec.
Ty mi objaw wiosny cud.

MŁODZIENIEC.

Cud wiosny? — Po deszczu coś trochę zielono,
To fenomen; ziemi łono
Resztką ognia topi lód.
Czytam wulkanów systema,
I powiadam: wiosny nie ma
I być nie może; w jądrze żar przygasa,
Z wierzchu rośnie lodów masa —
Słońce toż samo w lody się zamyka,
I znowu chaos nastaje dziedziczny.

JA.

Więc wiosny nie ma? Dowód śliczny!
Jam go wzniósł nad brak uliczny!
A on mu nie wart rozwiązać rzemyka!
Jest wiosna, bo jest miłość;
Rozpowicie, bo zawiłość.
Pierwej krąży sok pod korą
Nim wystrzeli maju wiankiem:
Zgaduj czuciem, a przed porą
Staniesz się wiosny kochankiem.

1834 w więzieniu.

ITALIAM! ITALIAM!

Poeta, młody, a Włochy tak blizko!
Bierz kij pielgrzymi, zwiedź bogów siedlisko,
I sztuk kolebkę, pomniki i groby,
I Rzym chrześciański, ten posąg Nioby.

Spiesz, spiesz za Alpy, choćbyś nic nie zyskał,
Jak, żeś trzydziestu wieków prochy ściskał.

Nie kuś szatanie mową twą zwodniczą,
Nie budź tęsknoty mgłą gór tajemniczą.
Jakby tam, za nią raj sielski Tybulla
Głuchy na dźwięki gineów John-Bulla;
Jakby tam głazy nie były głazami,
Choć tylu wieków mówią językami;
Jakby zbawienie czekało pielgrzyma? —
Prochy i groby! — Gdzie dziś grobów nie ma?!
A ty mnie jeszcze, z duszą rozbolałą,
Każesz iść płakać nad przeszłością całą
Rzymskich rozwalin, szukać ognia wiary
W dyplomatycznym chłodzie tej tyary,
Co twarz odwraca od Polski męczonej,
Na krzyżu wbitej, cierniem oplecionej,
Tej najwierniejszej strażnicy kościoła!
Na to, by zyskać względy — u Mongoła —!
A może śmieszniej, bym jak Elgin wtóry
Z fresków, płaskorzeźb poobdzierał mury,
I niemi zdobił, śniegami zawianą,
Na naszych stepach lepiankę słomianą? —

Więc nie chcesz gruzów? — Człeka badaj, człeka,
Duch jego w formę troistą tam ścieka:
Religii — niebios błękitnych — umnictwa —
Trzy najwspanialsze Italji dziedzictwa!
Bierz kij pielgrzymi; choćbyś nic nie zbadał,
Jak żeś z krwią Bruta, lub Rienzich gadał.

Marna to wielkość onych bożków Rzymu,
Których sława nie stoi za kłąb dymu,
Co się z męczeńskich stosów w górę ciągnął,
Gdy gołąb orły w wóz tryumfu wprzągnął.
A jednak państwo miłości, pokory,
Ma swą purpurę i swoje liktory;

Wrzącym przesądem, jak słońce równika
Pali śród siesty czaszkę lazarona,
Co pod kolumną rzymskiego portyka
Utracił wolę do życia — i kona!
Piękne mi niebo, piękny cud Madony!
Dziwni umnicy: Rafał i Torkwato,
Co swoim pędzlem, swoimi bardony
Ubogacili ziemię tak bogatą,
Dziatwę jej karmiąc dziewięciu muz mlekiem.
O wy niebaczni! Śród takich pamiątek
Zabyć wam było Romula początek,
I wilczym wnuków nie nakarmić szpikiem?
Krew bohaterów byłaby w nich wściekła
Na wykupienie z Dantowego piekła. —

Patrzcie! śnią teraz - jak w nudów świątyni,
Duchy ich wstrząsa smyczkiem Paganini,
Improwizator, skoczek, lub kastrata —
Wodzą na pasku dawnych królów świata.
O ziemio bogów, wieszczów i malarzy!
Stopa pielgrzyma ciebie nie znieważy.

r. 1840.

PRZYSŁUGA.

Grzmią po mieście tarabany;
Lud się roi, jakby z uli.
Więzień wyszedł okowany,
I w śmiertelnej był koszuli.

Szereg zamknął się z stron obu;
Bronie błyszczą, gra kapela.
Kiedyż staniem tam u grobu,
Mego brata, przyjaciela?!

Znaliśmy się dziećmi w domu,
Potem w szkole, w związku bratnim;
Teraz każą mi dla sromu,
Jego katem być ostatnim.

Ot plac kary. — Stój! i staniem —
Więzień żegna się z tym światem,
I ostatniem pożegnaniem
Ze mną bratem, ze mną katem.

Zawiążą mu chustką oczy,
Już nie kończy ksiądz pacierzy —
Na komendę wraz wyskoczy
Podoficer, ośm żołnierzy.

Cel! — i dziewięć luf zmierzono,
Pal! — i w tłumie płacz, a jęki —
Osiem strzałów poszło stroną,
Mój dziewiąty skończył męki — —

ZIMA I LATO.

I.

Styczeń rozpostarł śnieżne całuny,
Posępno, głucho, jakby śród truny;

Ponocne mary wyją w zamieci —
Matka ukradkiem do boru leci.

Samotna chatka stoi tam w borze;
Puka: Otwórzcie! — Oj nie otworzę —

Ofukła wróżka, niedobra jędza.
A matka: Syna los mię przypędza!

— Losów nie zmienisz, jakie bądź padną,
Ni siłą woli, ni sztuką żadną;

Już policzone lata, dnie, mgnienia,
Wiem co go czeka, z ksiąg preznaczenia. —

Cóż tajemnica słów wróżki znaczy?
Matka dłoń łamie. — Krzyk sów, puhaczy,

Ze starych zwalisk, coś złego wróży —
I mary jęczą w śnieżystej burzy —

II.

Słoneczkiem letniem gorą niebiosy,
Z błoni wesołe wstają odgłosy;

Skacze co żywie: muszki, motyle,
I cyprys wesół, choć na mogile.

Jeden tam młodzian chmurne miał czoło,
Jakby w zaklęte wpisany koło —

Unikał słońca, bieżał w puszcz ciemnie,
Starca o rady pytać tajemnie.

Starzec miał długą, po sam pas brodę,
W oku gwiazd blaski, w czole pogodę. —

— Niech cię zła wróżba, synu, nie trwoży;
Idź — drogę życia wskaże duch boży;

A z sercem prostem, i wolą silną
Zyszczesz szczęśliwość tutaj niemylną. —

I po tych słowach rozwiał się w parę,
Lecz słowa starca, natchnęły wiarę.

— Niech los nasyła męki, łzy, bole,
Znam drogi pańskie, w piersi mam wolę. —

Odtąd polubił jasne niebiosy,
Świat mu się wdzięczył i w kropli rosy.

WIEJSKI KOŚCIOŁEK.

Jakież to wdzięczne wita mię ustronie!
Śród lasu łąka, przez łąkę rzeczułka,
Wzgórek — lipami wieńczone ma skronie,
Nad wieńcem liści, błyszczy krzyż kościółka.

Ot, na mszę dzwonią! — Strząsnę kurz pielgrzymi,
Przestąpię długo omijane progi;
Lud wiejski ciągnie — pomodlę się z nimi;
Wszak najbogatszy w wiarę lud ubogi.

Tutaj konają świata dźwięki próżne;
Jakoś na duszy ochoczo i lekko. —
Szały namiętne, zapędy bezdróżne,
Zostańcie za mną daleko, daleko!

Wybrani idą do świętego stołu,
Przyjmować w skrusze ciało i krew pańską;
Ja jeden stoję — ach szczyptą popiołu
Posyp kapłanie tę dumę szatańską.

Może mnie łaska ożywi niebieska,
Wypchnie zwątpienie z mej piersi ściśniętej,
I jaka łezka, z lat dziecinnych łezka,
Wróci mi pokój niewinny i święty.

Aż wtem, śród wiernych zagrzmiał hymn niedzielny;
Głos mój połączę z tych prostaczków pieniem: —
O święty Boże! święty nieśmiertelny,
Zmiłuj się —! Łzy mi pociekły strumieniem —

Och! bo lat wiele, upłynęło wiele,
Jak ucho moje tych pień nie słyszało
W ustach współbraci, i w takim kościele —
Młodszem wspomnieniem serce zapłakało.

Bo któż bez żalu może w przeszłość patrzeć,
Kto wolen cierpień, goryczy tajemnych?
W obliczu Pana, ktoby nie chciał zatrzeć
Łzami, na karcie życia rysów ciemnych? —

I Pan przemówił do mnie w onym śpiewie,
Wiarą, nadzieją, i miłości mocą;
Pan mię uczynił liściem na tem drzewie,
Co świeżym wiankiem połyska nad nocą — —

NIE SŁUCHAJ PIOSNEK.

DO ***

Nie słuchaj, dziewczę, piosneczek guślarzy,
Choć ucho głaszczą słowiczemi dźwięki;
Zatruty oddech kwiat twej wiosny zwarzy:
Guślarz dba tylko o sławę piosenki.

Piosnka guślarza — to uścisk upiora
Co w śnie niewinnym krew dziewic wypija;
Z jedwabnych rzęsów, rumieńca, kędziora,
Piosnkę uprzędzie, spokojność zabija.

Słyszałaś w bajkach, jak wędrowca zdradą
Wabi na bagna szatan w złota blasku;
Tak guślarz wabi w swoje Eldorado,
Aż wyprowadzi na pustynię piasku.

Bo serce jego — jak wulkan spalony,
A ideały — jak pajęcze sieci,
Westchnienie jego — jak rozbite dzwony,
A błędny ognik, do kresu mu świeci.

Nie słuchaj piosnek dla dusznej swobody.
Każda z nich wagą uczucia się ceni;
Uczucie wielkie — djament cudnej wody,
Ozdoba koron, rozbity — pierścieni. —

DZIECIĘCE LATA.

Piękne to były dziecięce lata,
Kiedym zaledwie odnikł od ziemi;
Myśl moja często ku nim ulata,
Złocąc je snami, łzami cichemi.

Kiedym to igrał na matki ręku —
Kolano ojca było konikiem;
W sercu woń taka, i tyle dźwięku!
Oj, nie płakało jeszcze po nikiem! —

Świat wtedy dla mnie taki był mały;
Ludzie tak dobrzy, jak ich cukierki;
Gwiazdki milionem oczek mrugały:
Chciałem mieć skrzydła, zdjąć te iskierki.

Lub kiedy księżyc wyjrzał nad wzgórze,
Biegłem ku niemu — już, już go chwycę —
Znowum po niebie jeździł na chmurze,
I za batożek brał błyskawicę.

Widziałem słonko, jako się kładło
W złote łóżeczko z chmurką pod głowę;
Jak go jezioro potem odkradło —
Ledwo już rąbki widać różowe.

Co ranek, wieczór, jam myślał sobie:
Jaki Bóg dobry! dla mej zabawki
Zrobił ten księżyc, słońce na dobie,
Ptaszki, motylki, kwiatki i trawki.

I co dzień rano, wieczorem co dzień
Mówiłem pacierz razem za mamą:
Boże! niech będę darów Twych godzien,
I niech Cię kocham zawsze tak samo.

Za dawców życia, za zmarłych krewnych,
Za tych co cierpią, za Polskę całą,
Jam się tak modlił! — Chociaż w niepewnych
Rysach, to wszystko się malowało.

O gdzież te lata?! — Na pełne morze,
Jak od wybrzeży fala odbita,
Odbiegły — znikły. Kiedyż, o Boże!
Anioł lat młodych, we mnie zawita? —

SONETY.

I.

Petrarcha, Michał Anioł, Szekspir, Filikaja,
I krymskich sadów śpiewak — moi przewodnicy!
Promieni z ich obrazów pełno w mej źrenicy —
Czyż nie jedno uczucie gęśl naszą nastrają?

Kiedy zwierza obsaczy w kniei gończych zgraja,
Jedna myśl was unosi łowów zapaśnicy:
Ręka chwyta kordelas, oko cel rusznicy —
Zwycięzca, kto się pierwszy krwią zwierza upaja.

Który wygrał w tych gonach na miłośnem polu,
Nie wiem, ani zgadywać napróżno się kuszę —
Najpewniej rymy wasze, są to dzieci bolu,

Co krzykiem napełniają ciemną serca głuszę.
Lecz świat sądzi inaczej: w Kapitolu wianki
Znajome, nieznajome, wplata wam kochanki.

II.

Któż o miłości śpiewa, a jeszcze w sonetach!
Anachronizm, dziś ledwo studencka rozrywka;
Dzieje serca powtarza każda pozytywka,
A romanse w socyalnych smakują atletach.

Dawniej były kobiety — dzisiaj o kobietach
Nie słychać, na ich miejscu w spódnicach ideje;
A bohater, gdy bardzo już się rozszaleje,
Każe się postrzydz w Turka, tyje na sorbetach.

O, biednaż wasza dola, piosenki sieroce!
Ronione razem z łzami w nieprzespane noce —
Cóż poczniecie, gdy zimno i wzgarda was zwarzy?!

Co poczniem? wszak ptaszyna i na mrozie śpiewa;
A śpiewa pod okienkiem, i nikt się nie gniewa —
A nuż śpiew nasz posłyszy Ona — i zamarzy.

III.

Jam tak o ludzkie sądy mało dbały,
Że czy mię sławią, czy mię też nie sławią,
Spoglądam z brzegu jak na morskie wały,
Co żwir i namuł po sobie zostawią.

Bo i cóż znaczą swarliwe bazgrały?
Kto mózgu nie ma, pewnie go pozbawią;
Kto nieobronny, padnie pod ich strzały,
Za co mu pomnik z papieru wystawią.

Tylko o jeden głos twój, luba! stoję,
Kiedy samotni znajdziem się oboje,
A ja ci czytam, lub coś rozpowiadam:

Ust twych i oczu śledzę wyraz każdy:
Jeźli się zchmurzą – jak od gromu padam;
Jeźli uśmiechną -- lecę ponad gwiazdy.

IV.

Samotny, nagromadzam w duszę takie dziwy,
Jakich w Seherezady powieściach ni słychu:
To wyspy pływające, to gaje, zdrój żywy,
A wonno, miękko, błogo, jak w róży kielichu.

A jaki na doręczu mam dowcip szczęśliwy!
A jak umiem z słabości zdiąć i pozór grzechu!
O, już dzisiaj podbiję ten duch uporczywy,
Połamię ten twój oręż ironii i śmiechu. —

Wchodzę — i zaraz oko uwięźnie w jej oku,
Wrząca żądza na dołkach usteczek się wiesza,
Myśl się plącze w warkoczów rozwianym potoku.

Głowa, serce, krew, wola, wszystko tak się mięsza,
Że nie umiałbym nigdy powiedzieć na dobie:
Czy ja jestem sam sobą, czyli tylko w tobie?

V.

Dwojakie dzisiaj chcę obchodzić święto:
Królowej nieba zapalam gromnicę;

A mojej ziemskiej otwieram skarbnicę
Nieuronioną i mnie niepojętą.

O byleś chciała spojrzeć w odemkniętą!
Znajdziesz myśl-djament, i rubin zapału,
Szmaragd-nadzieję i kawał kryształu —
Łzę skamieniałą ze sercem zrośniętą.

Błagam cię, bierz z niej, o bierz mój Aniele!
Nic mię nie żałuj; wiele, tylko wiele!
Bo te djamenty, rubiny, szmaragi,

W zamknięciu świecić nie mają odwagi;
Lecz gdy ozdobisz niemi pierś i skronie,
Podwójnym ogniem każdy z nich zapłonie.

VI.

Że za tobą przepadam — i cóż ci to szkodzi,
Gdy przepadam z daleka, milczący jak kamień?
Przecież ja król wszechwładny w świecie mych omamień,
Jak śród morskich przestworzy rozbitek na łodzi.

Gdy w tęsknocie za tobą dzień po dniu mi schodzi;
Gdy oczy wypatruję za wieścią o tobie,
Gdy gwiazdę powiernicą tęsknot moich robię,
A imię wiatrom rzucam — i cóż ci to szkodzi?

Czyżby jęk mój daleki, jak widmo w Makbecie,
Przecinał dwa westchnienia ku sobie płynące,
I w drodze mylił usta siebie szukające?

— Gdzie jest dwoje szczęśliwych, niepotrzebne trzecie.
O masz słuszność! cierpienia krzyk zawsze dochodzi,
Choć sto sążni pod ziemią — to szkodzi! to szkodzi!

VII.

Akt piąty, katastrofa! łzy — sztylet — trucizna —
Zwykle stoją w programie, lecz dziś to nie moda —
Natomiast lekka w mowie ironja — i woda —
I zwykłych uprzejmości trzydniowa pańszczyzna.

Ktoby się był spodziewał! jednak któż nie wyzna,
Że kiedy go uniesie raz namiętność młoda,
Stokroć prędzej w wątpliwość świat i Boga poda,
Niż przypuści, że zgoić mogłaby się blizna

Sercu zadana. — Miłość, dopóki marzeniem,
Jak ptaszek w złotych piórkach, po powietrzu lata,
Póty wierzysz w uczucia tego nieskończoność —

Lecz niechaj rzeczywistość do drzwi zakołata,
Mgły życia na majową upadną zieloność —
Młodość, wiosna i miłość — zostaną wspomnieniem!

r. 1837.

NAD RENEM.

Zamki nadreńskie, olbrzymów łożyska
Ze skał wykute! gdy was okiem mierzę,
Gotyckie łuki, sklepienia i wieże —
Małość dzisiejsza o ziemię mię ciska.

A cóż dopiero, gdy sztuk dziwowiska
Oglądam: śpiące w granitach rycerze,
Rzeźby kamienne, lekkie jako pierze —
Zazdrość mi z oczu łzę gorzką wyciska,

Że na mej ziemi, na tej białej księdze
Nie ujrzysz — tylko kurhan, a pustkowie,
Łzy bezowocne i bezśledną nędzę —

Natenczas niebo wyzywam: niech powie
Czyśmy wyprzędli wszystką życia przędzę,
Czyśmy dopiero wyprzędli w połowie?

NA LIŚĆ Z WIEŃCA TASSA
PRZYSŁANY Z RZYMU.

Uszczkniony w San-Onofrio liść z wieńca Torkwata
Przysyłasz mi. — To nie liść, a jedno cierń krwawy,
Co się w wawrzyn przerzucił, skroń wieszcza oplata,
Gdy go całun powija pieluchami sławy.

Czyż nie cierniem mu była jego dworska szata?
Nie cierniem te canzony na książęce sprawy?
Nie cierniem fawor pański, lub więzienna krata?
Nie cierniem Leonory uśmiech na pół łzawy?

Zaprawdę — kogo Pan Bóg posłał tu na ziemię
By wiązał, i grzał serca, myśli kruszył pęta —
Biczowanie go czeka w świecie, jak w eremie;

A dni jego, jak burzą miotane okręta —
Ale cóż go obchodzi ostry cierń, lub brzemię?
Jego dusza w żywocie, a już w niebo wzięta! —

DO TEOFILA LENARTOWICZA BAWIĄCEGO W RZYMIE.

Chcesz zapewne mój bracie, by jakie odgłosy
Z ojczystych doszły cię stron?
Wonie kwiecistych sadów, lub traw w sianokosy,
Lub wiejskiej piosneczki ton.

A może chcesz obłoczków, co jak białe trzody
Okryły błękitny smug;
Chcesz światła, ognia, powietrza i wody
Wszystkiego, co dał nam Bóg,

A źli ludzię zabrali. — I cóż ci dać mogę,
Chyba stłumiony jęk?
Lecz na cóż go posyłać w tak daleką drogę,
I jeszcze w liście? — to sęk!

I jeszcze komu? tobie, co wiesz, ile boli
U siebie, a obcym być —!
Niczego nie wyglądaj od ziemi niewoli,
Tu nie żyć każą — lecz gnić.

Ot lepiej, gdy ci poszlę inwitacyę za to —
Lekko jej sobie nie ceń:
— Punkt o siódmej czekamy w Krakowie z herbatą,
Przez całe życie, dzień w dzień. —

DO **

— Hej! hej! pierzchliwe Postumie! Postumie!
Zbiegają lata — ni modlitwa nasza
Zmarszczków z oblicza odstraszyć nie umie,
Starości, ani śmierci, nie odstrasza. —

Taką piosenkę w napadzie splinowym
W sadach Tyburu Horacy gdzieś składał —
Toż ja, w humorze jak on nieróżowym,
Tę jego strofę dla ciebiem przekładał.

I mnież się trapić, że z drzew mego sadu
Jeden mię Cyprys na grób odprowadzi?
I mnie, że z piwnic dziedzic mój bez ładu
Drogą Cekubę powysącza z kadzi?

Wszak jam z tych rzędu, co przyszli zapóźno,
Gdy Zeus już lenne porozdawał włości;
Co bez dóbr ziemskich, żyją sobie luźno,
Kroplą nadziei, wiary, i miłości.

Cóż mię obchodzą cyprysy, cekuby?
Byle gęśl nasza, ta wdowia orlica,
Strzegąca sławy ojców od zaguby,
Godnego w tobie znalazła dziedzica.

Oby niepłonnem było to przeczucie:
Że pod twym palcem gęśl jak rumak skoczy —
Hymny popłyną zwycięzkie, koronne —
I mnie mogilna ziemia lżej przytłoczy.

DO ODJEŻDŻAJĄCEJ NAD REN.

Jeżeli Pani będziesz w nadreńskiej dolinie,
Radzę zwiedzić Moguncyę; znajdziesz tam świątynię,
A po prostu katedrę romańskiego stylu,
Kędy, pośród zabytków budownictwa tylu,
Zachwyci cię czworobok krużganków zamknięty,
Zaciszny, i budzący w sercu spokój święty —

Bo to jest Campo-santo moguncekiej przeszłości.
Tam — pod rzędem nagrobków leżą sławne kości
Burmistrzów, profesorów, możnych patrycyuszy;
Każdy ma szumny napis, który cię nie wzruszy —
Pomiń je, a uważnie zwróć oko na jedną
Gotycką płaskorzeźbę, wcale niepośledną,
Która wiem, że się pani odrazu spodoba:
Będzie to skromny pomnik wieszcza Frauenloba.
Grono niewiast moguncekich z głowy spuszczonemi
Trumnę jego tam niesie do święconej ziemi.
Że go płaczą — o, znać to w fałdzie każdym szaty —
Bo i jakże nie płakać tak serdecznej straty!
Z nim miłośne piosenki zstąpiły do grobu;
Ochocić się bez niego już nie ma sposobu —
Żadne z wesel ni biesiad pewnie się nie uda! —
Minezenger, miłości umiał śpiewać cuda,
Nią zapalać serduszka, łagodzić tęsknice;
Płakać z wdową, do ślubu prowadzić dziewicę;
Słowem, wdzięcznemi rymy opiewać te dzieje,
Kiedy serduszko skacze, rośnie, albo mdleje —
  Pięknyż mu hołd oddały wdzięczne Moguncyanki,
Gdy go niosły do grobu i sypały wianki!
Toż i Pani, nie wątpię, ta myśl się spodoba,
Byś westchnieniem uczciła pomnik Frauenloba.
Acz to Niemiec — cóż szkodzi? lecz kochał, więc za to
Jedno łzawe spojrzenie będzie mu zapłatą —
  Bo i ja, gdybym rymów nasskładał tysiące
Na usteczka z korali, na oczy mówiące,
Na liliowe kibicie i krasne jagody —
Och, i jabym się obszedł bez większej nagrody,
I miasto jakiejś sławy głośnej, niepoślednej,
Wolałbym na mym grobie łzę tylko — od jednej.

r. 1855.

DO P. R.

MÓWIĄCEJ SWOJE POEZYE.

Chociaż w poezyi różne są gusta,
I tyle sądów, co głów —
Przecież to lubo, gdy piękne usta
Grają harmonią słów —

I każdy obraz, myśl, porównanie,
Illustruje wyraz lic;
Przy tej poezyi wszelkie pisanie
Nie warte nic a nic.

Tom myślał sobie, gdyś wczoraj Pani
Mówiła piosenki z gór;
Istny skowronek, kiedy najraniej
Wzleci, i śpiewa z pod chmur.

Tyle tam było świeżości wonnej,
Tyle dziewiczych śnień;
Że chociaż dzisiaj do prozy skłonny,
Uczułem tych kilka drżeń,

Jakich w młodości mej doświadczałem,
Gdym skrzydła u ramion czuł;
Tryumf nie mały, natchnąć zapałem
Tego, co wierzy na pół!

Więc ukarany za mą niewiarę
W czarowną poezyi moc:
Orlice białe, czarne i szare
Marzyłem przez całą noc.

Marzyłem łódkę Dunajcem gnaną;
Białą dziewicę śród fal —
W tem bije ósma godzina rano.
Marzeń tych, jakże mi żal!

PAMIĄTCE

ZGASŁEGO PRZYJACIELA

JÓZEFA DUNIN-BORKOWSKIEGO.

Zgasłeś bracie, piewco młody,
  Polsce, druhom, wcześnie!
Ni cię żegnał dzień swobody,
  Ni koło rówieśnie.
Zgasłeś bracie, piewco młody!

Życieś zbrzydził — oj wiem czemu!
  Bo się wlokło nudnie;
Tyś ku słońcu gnał jasnemu
  W najburzliwsze grudnie.
Życieś zbrzydził — oj wiem czemu!

Komu w sercu duch Hellady
  Tlił, jak lampa w grobie;
Temu pewnie świat nasz blady,
  Temu tak — jak tobie,
W sercu gorzał duch Hellady.

Duch Hellady, co posągi
  Krwią i życiem poi;
Co na okrzyk: Missolongi!
  Krocie Kleftów zbroi;
Duch co wskrzesza i posągi.

W świecie duchów bój tak ciężki:
  Każda zbroja pryśnie;
Choćby płatnerz czarnoksiężki
  Ukuł ją umyślnie.
W świecie duchów bój tak ciężki!

I my pójdziem tam gdzie i ty
  Jutro, dziś, w godzinę,

Aż gościniec zrobim bity
  W piękniejszą dziedzinę.
I my pójdziem tam gdzie i ty.

A tymczasem z swych obłoków
  Spływaj w bratnie koło;
Z ócz nam otrzyj chmurę mroków,
  A ze znoju czoło.
Spływaj, spływaj nam z obłoków!

Jak chcesz, w tchnieniu, czy promyku,
  Jaw się wieszczym głosem,
Kiedy dumam gdzie w kąciku
  Nad mej ziemi losem.
Jak chcesz, w tchnieniu, czy promyku.

Wieszczej sławy tam nie trzeba,
  Gdzie przyszłość na dłoni;
Lecz gęśl ziemska bez tchnień nieba
  Nic, nic nie uroni.
Wieszczej sławy ci nie trzeba.

DO KS. M. C.

ODJEŻDŻAJĄCEJ Z KRAKOWA.

W czyim ogrodzie słowiczek siada,
  I melodjami zczaruje,
Temu się wiosna z cudów spowiada,
  I za tysiące ten czuje.

Na czyim dachu gniazdo założą
  Przelatujące bociany:
Znać nad dobytkiem opiekę Bożą,
  Kwitnie pomyślność bez zmiany.

Lecz gdzie najmilsza z Bożych posłanek
Miłość bliźniego zawita,
Serca jak kwiaty, wiążą się w wianek
I przyszłość, mniej już zakryta.

Czary słowicze, bocianów wróżby,
Dłoń litościwą, a mężną,
Kto w gród nasz przyniósł z sobą? O któżby
Jeżeli nie ty — o Księżno!

Kto nas ożywił, podniósł, ześpiewał,
W serca wlał świeży krwi strumień —
Któż, jeźli nie Ty! Kto się spodziewał.
Że zadrgną prochy tych trumien?

Opuszczasz, Księżno, miasto-sierotę,
A nuż w noc dawną zapadnie —?
Próżna obawa! Twe ziarna złote
W sercach zostaną choć na dnie!

ŻYCZENIE.

Chciałbym w gałązkę zamienić
Każdy suchy drewna kawał,
Aby się mógł zazielenić,
Kwiecie i owoc wydawał.

Chciałbym kamienie i bryły
Silnie do piersi przycisnąć;
Ażeby z ukrytej siły
Mógł życia strumień wytrysnąć.

Chciałbym mlekiem Muz dziewięciu
Każde serduszko napoić;
By wlać wyższe czucia, chęci,
I razem tworzyć i roić.

ZAGADKA.

Rozwiąż zagadkę — zagadka nielada!
Jaka to woda, to z nieba nie spada?
Jaka to woda, co nie tryszcze z ziemi;
Gorzka, a przecież walczy z najsłodszemi?
Zwierciadło serca, czasem bałamutne,
A częściej szczere, wesołe, lub smutne?
Kiedy ją usta wypiją miłosne,
Życie się budzi w tobie jak na wiosnę?

To nie zagadka, ale prawda żywa;
Ta woda u nas łzami się nazywa,
Które, choć nieraz smakują goryczą,
Nawet truciznie słodkości użyczą.
Kiedy serduszko, roskoszą wezbrane,
Na rzęsach perły porozwiesza szklane,
Wtenczas złocistych tyle słońc ci wschodzi,
Że się roztapiasz w ognistej powodzi.

Lecz za to nieraz udaną rozpaczą,
Jak krokodyle, obłudnice płaczą,
Wtedy zwierciadło pokazuje krzywo. —
Niechże źrenica zadrga łzą prawdziwą,
Ujrzysz głąb duszy jak na dnie krynicy:
Miłość, lub boleść w sercu krasawicy —
I rosę łzawą zebrawszy ustami,
Jakby ambrozją dzielisz się z Bogami. —

OSTATNIA PROŚBA.

Potrząśnijcie mię kwiatami
Bo już ze mnie duch ulata;
Pomięszany z ich woniami,
Do lepszego przejdzie świata.

Woń konwalii, bzów, fiołków,
Jakże lekko mię unosi,
Ni to złotych rój aniołków —
To mój luby tak mię prosi.

Jego słowa i westchnienia
Ta woń żywo mi tłumaczy;
Widać nic się tam nie zmienia,
Krom cierpienia i rozpaczy.

Sypcie kwiaty koło czoła,
Tu, na piersi — jeszcze, jeszcze!
Tem ci prędzej do anioła
Mego wzlecę i popieszczę. —

Mnie kochanie tak zabiło,
Więc mię zbawi też kochanie —
I co ledwo tu snem było,
Tam mi w pełni zmartwychwstanie.

O D J A Z D.

O już nieraz coś mi wróży,
Że ta miłość się rozwieje;
Krew wykipi w takiej burzy
Serce na nic spopieleje.

Któż tych oczu blask wytrzyma,
Kto ten uśmiech, ten głos rzewny?
Nawet schronić się gdzie nie ma;
Jam dni moich tu niepewny.

Wyznam — może po wyznaniu
Umniejszą się moje męki.
Trudno przestać na wzdychaniu,
I nie zostać panem ręki.

Więc otwieram usta drżące,
Słówko: kocham! już, już padnie —
Lecz spojrzenie błagające
Na mych ustach zamek kładnie

I tak męczy bez ustanku
Paląc, burząc spojrzeniami —
Aż pewnego też poranku
Odleciałem z jaskółkami. —

1838.

ZŁOTA CHWILA ŻYCIA.

Różnie się wiją życia koleje
Od kolebki do smętarza;
Na jednej miłość do nas się śmieje,
Kochaj, o kochaj! powtarza.

Życie, jak kwiatek, cudnie się stroi
W chwili miłosnych uniesień;
Póki jak pszczółka się nie wyroi,
Póki nie zwarzy go jesień.

Jeźli dwie dusze, po okwitnieniu
— Kocham cię! — sobie powiedzą;
Mogą coś wiedzieć o sprzyjaźnieniu,
Lecz o miłości nie wiedzą.

Tylko gdy kwiecie ma woń i farby:
Miłość, jak motyl skrzydlaty,
Nad bezcennemi wciąż lata skarby
W puszków się stroi szkarłaty.

I czarne losu chmury przewierca,
I w oddaleniu nić snowa —
Duch niewidomy spaja dwa serca,
Bo to jednego połowa.

Czy dusze nagle płomieniem buchną,
Gdy się raz pierwszy gdzie zbiegną,
Czy też nieznacznie, zwolna, lekuchno,
Ogniem skłonności zażegną —

Wszystko to jedno; lecz jest wyjątek:
Gdy jedno gore, a drugie
Zimne jak kamień; taki początek
Rokuje szczęście niedługie.

Co mówię! szczęście — chorobę raczej
Udręczającą okrutnie;
W miłości rozstrój — jedno się znaczy,
Co dzwonić w niestrojną lutnię.

Lecz gdzie prawdziwą harmonią dźwięczy
Stopionych z sobą dusz dwoje:
Świat dla nich wezmie kolory tęczy,
Aniołków otoczą roje.

To raj, jakiego pędzel nie stworzy;
Stworzy go tylko wspomnienie
Gdy w jeden obraz blaski gwiazd złoży,
Tęcze i słońca promienie!

Kto choć na chwilę takiej słodyczy
Nie zakosztował na świecie;
Niech skarby liczy, godności liczy,
I słynie w swoim powiecie. —

PRECZ Z MARZENIAMI!

Zakazuje się wyraźnie
Pod Sybirem i knutami,
By nie trapić wyobraźnię
Rojeniami, marzeniami.
Marzyć Polskę — rzecz obrzydła!
Kiedy w naszej Moskwie świętej
Tyle śniegu, tyle bydła,
Tyle stepu, co nietknięty —
Marzyć Polskę — kiedy w Rusi
Rzeczywistość piękna wskróś.
A choć z góry Car tam dusi,
I ty sobie drugich duś.
Zakazuje się wyraźnie
Pod Sybirem i kutami,
By nie trapić wyobraźnię
Rojeniami, marzeniami.
Marzy wolność Polak głupi —
Czyż w Rasjei nie swoboda?
Kto ukradnie, ten nie kupi;
Cudza własność tam, jak woda.
I sumienia kajdan nie ma,
I nie trapi duszy grzech —
Co kto porwał, to i trzyma;
Kto popadnie — to i śmiech.
Zakazuje się wyraźnie
Pod Sybirem i knutami,
By nie trapić wyobraźnię
Rojeniami, marzeniami.
Marzyć jakąś tam oświatę,
Jakby w Moskwie jej nie było!
Wszak Bojary tam bogate
Mają, co się wam nie śniło.
Po francuzku pańskie dzieci
Szczebiotają jak u was —

Wrzeszcie Car nad wszystkiem świeci,
Na oświatę da ukaz.
Zakazuje się wyraźnie
Pod Sybirem i knutami,
By nie trapić wyobraźnię
Rojeniami, marzeniami
Dość tych marzeń! Sto lat blizko
Jak marzycie nadaremnie —
A jak było, tak jest wszystko;
Bo nie będzie nic bezemnie —
W Moskwie tylko przyszłe życie;
Bez Moskala jakiż świat?
Cóż lepszego wymarzycie
Nad kwas, dziegieć, Sybir, bat?! —
Zakazuje się wyraźnie,
Pod Sybirem i knutami;
By nie trapić wyobraźnię
Rojeniami, marzeniami! —

r. 1856.

WESTCHNIENIE ZA POLSKĄ.

(Z powodu artykułów dz. Times w r. 1856.)

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako zżętemu kłosowi na łanie
Ziarno skradziono, na proch słomę starto,
I wiejąc na wiatr, wołano po świecie:
Przeklęta ziemia, rodzi tylko śmiecie,
Troszczyć cię o nią nie warto!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako łotrowi, co na rusztowanie
Wskazan, policzek dostaje od kata —
Herby mu łamią, imię na przekleństwo,
Ciało oddają na miecza męczeństwo,
Popioły wicher rozmiata.

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jakbyśmy wpadli w piekielne otchłanie;
Słysząc ich: słońce świeci tu inaczej,
I ludzi nie ma — tylko dzika tłuszcza,
I kraju nie ma — tylko ciemna puszcza,
Wyjąca rykiem rozpaczy.

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
I Tyś Jobowi na wypróbowanie
Brał syny, zboża wybijał i stada —
Lecz nasze próby wprost idą od ludzi,
Przeto litości ich nic już nie wzbudzi.
Biada sądzonym, biada!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Zostało jedno Twoje zmiłowanie,
A to coś więcej od bluźnierstw i krzyku —
Bo kiedy zechcesz zwrócić na nas oko,
Ile dziś nizko, o tyle wysoko,
Staniem w narodów świeczniku. —

PIEŚŃ DO NAJŚW. PANNY.

O Maryo! moja miłości,
Moja nadziejo złota;
Słońce w ciemności,
Źródło żywota!
Gdy spojrzę w Twoje niebiosa
Zaraz weselszy być muszę:
Szczęście, jak rosa
Spływa mi w duszę.
Z Twej Jasnogóry zdroje łask biją.
Błogosław Maryo!

Kto się do Ciebie poleci,
Choć w burzy, na Oceanie —
Jak nic przeleci
Wiry, otchłanie.
Kogo wziąść raczysz w obronę,
Ten lekko, na tym padole
Z cierni koronę
Nosi na czole.
Z Twej Jasnogóry zdroje łask biją.
Błogosław Maryo! —

Jak pokos w polu ucięty
Prosi, by związał go rolnik,
Tak włóż mi pęty —
Jam twój niewolnik:
I przyjm to serce w ofiarze,
Którem ci dawno poślubił,
Bo w świata gwarze
Łatwobym zgubił —
Z Twej Jasnogóry zdroje łask biją.
Błogosław Maryo! —

KTO WSPOMNI?

Burzami gnany wędrowiec,
Czyż swoją ziemię powita?
Czy się o jego grobowiec
Blizka potomność dopyta?

Jeżeli miejsce spoczynku
Nikt z druhów nie zwilży łezką.—
Kalino, różo, barwinku,
Strząście nań rosę niebieską!

Jeżeli zimni przechodnie
Od grobu odwrócą lica;
Przyświecajże mu łagodnie
Cichy promieniu księżyca.

Jeżli nakoniec, nikt żywy
Nie wspomni o mnie, o pieśni;
Wspomnijcie gaje i niwy,
Wspomnijcie ptaszkowie leśni!

Ptaszkowie, doliny, kwiaty,
Księżycu, gwiazdo, błękicie!
Dla was śpiewałem — wy z laty
Gęślarza nie zapomnicie.

OKRUSZYNY.

Ἄνω ποταμῶν ἱερῶν χωροῦσι παγγι
καὶ δικα καὶ πάνεα πάλιν στρεφέται.
(Εὐριπίδης: Μήδεια.)

NASZA OJCZYZNA.

Ojczyzno! tyś jest dla nas, czem u Greków była
Macierz ziemia, dla syna swojego Anteja:
Kiedy w życiu odbiega nadzieja i siła,
Dotknąć cię, zaraz wstąpi siła i nadzieja.

POWRÓT.

Mówisz, że chciałbyś ujrzeć bodaj blady
Dym nad Itaką, i zaraz paść trupem —
Ej! tyś nie Odys; dla cię nie ma rady,
Jak kraj odkupić krwi i cnót okupem.

DAWNE STRONY.

Piękne to strony! jakżeż piękniejsze bywały
Oczom młodym, patrzącym przez tęcze i szały,
Na te smugi dziś głuche, niegdyś takie głośne
W słowiki, kwiaty, wonie, westchnienia miłośne!
W duszy młodej letniemi kołysanej snami
Uczucia są tęsknotą, myśli uczuciami.

ZMIANA.

Czuję to — spoważniałem; już ja nie ten samy
Co dawniej, kiedy humor wesół nie znał tamy,
Myśl się rozbryzgiwała w dowcipy, żarciki,
A od śmiechu się kładli moje rówienniki.
O, bo też w Polsce naszej wszystko się zmieniło!
Od niej padł cień i na mnie, choć mię w niej nie było;
Z resztą, im bliższy zachód, tem dłuższy cień pada,
Tem głębsza cisza, w której głos z za światów gada.

KOLEJ ŻYCIA.

Jeźli śmierć celem? czemuż kwiaty cudne
Spotykać, żegnać, w ciągu krótkiej drogi?
Jeżeli życie? — czemuż takie trudne
Z ostremi głazy, raniącemi głogi?
Śmierć, albo życie — na jedno wychodzi;
Czy straty płaczesz, czy nadzieja zwodzi.

POLKI.

Cudzoziemcze! cierpienia Polski chcesz policzyć?
Spojrzyj na twarze naszych sióstr i matek:
Jakich mąk trzeba było, by je wydziedziczyć
Z tego, co daje młodość, chęć życia, dostatek!
Białe lilje grobowe! na dnie ich kielichów
Już nie ich, ale naszych spoczywa część grzechów,
Które myją pokutą. Wszak ojczyzna cała
Bez zmazania win swoich z martwych by nie wstała!

Koncha cierpi na perłę w swem łonie zamkniętą:
Za ból, co cię uzacnia, wielbij wolę świętą.

KTO UMIE CIERPIEĆ?

Kiedy nieszczęście w mężczyznę uderzy:
Zżyma się, ciska, żal i skargi szerzy,
A obwiniając i losy i ludzi,
Najcierpliwszych przyjaciół w końcu znudzi.

Kiedy nieszczęście uderzy w kobietę,
Cicha tam skarga i łzy płyną skryte;
I choćby skonać, wszystko w sobie stłumi —
Bo też kobieta tylko cierpieć umi.

MIŁOŚĆ.

Czysta miłość w pokornej jawi się postaci,
Nigdy ślubnej obrączki djament nie bogaci.

ZAWÓD.

Nie żal mi słońca gdy chmurą spowitę,
Bo wiem, że znowu wejdzie złotolite.

Nie żal, gdy kwiecie osypie się z drzewa,
Kiedy rumiany owoc zeń dojrzewa.
Lecz żal, gdy wszystkie złożysz w kim nadzieje,
A on twą wiarą i czuciem zachwieje.

NAJSROŻSZY BÓL.

Ciężka zaiste męka
Smarzyć się w ogniu powoli;
Lecz znam ból, co gorzej boli,
I bardziej nęka:
A tym jest, umierać co dzień,
Przez długie i długie lata,
W zimnem objęciu świata.

EGOIZM RODZINY.

Powinność po próg domu; dalej, droga pychy.
A ojczyzna? trud dla niej? ofiary? — to grzechy!
Mówi świętoszka, ręce umywszy od winy,
I czci bożyszcze swoje: Egoizm rodziny.

KOLEJ ŻYCIA.

W życiu nie ma crescendo; ztąd powód rozczaru:
Po wielkich, idą chwile małego rozmiaru.

NIESPRAWIEDLIWOŚĆ.

Niesprawiedliwość, jak strzecha dziurawa,
Jak drzwi skrzypiące, o trzech nogach ława,
Musi się sprzykrzyć śpiącym i leniwym,
A cóż dopiero żywym, sprawiedliwym?

SĄD KRZYWOPRZYSIĘŻNY.

Jeźli cię niecny trybunał powoła:
Bądź zimny i milczący — kamień zgoła.
Ten sąd dobranych katów na to siedzi,
By pytał — twoich nie chce odpowiedzi.

MANIFEST REWOLUCYJNY.

Wolność przyrzekasz, jakiej w świecie nie bywało!
Pewnie nic nie dotrzymasz, albo bardzo mało.

Czemu? bo nie wiem gruntu na którym ją sądzisz,
I czy sam, dziś lub jutro, z nią się nie powadzisz?

KOŚCIÓŁ I WOLNOŚĆ.

Póki kościół nie ochrzci wolność, dziś pogankę,
A wolność nie zaślubi religję wygnankę;
Póty siać będziem wiatry, zbierać same burze,
I świat znudzon złą siejbą, da kark pod obróżę.

WOLNOŚĆ STRONNICTWA.

Stronnictwo głosi wolność szeroką, niepłonną.
Chciałbym wierzyć — nie mogę wierzyć w wolność stronną

Pod żywe przekonanie upór się podszywa:
Z czego idzie duch stronnictw i nauka krzywa.

PUSTA WYMOWA.

Złote prawdy mówimy, a nikt ich nie słucha. —
Boście goręci głową, zimni z ducha.

Żywe słowo zgłuszono wymową obłudną
Przeto o żywe słowo dziś tak trudno.

PRAWDA.

Nie ma prawdy bez fałszu, jak światła bez cieniu.
Czysta prawda na wiary spuszcza się promieniu.

NIEMYLNOŚĆ.

Są ludzie, którzy nigdy się nie mylą —
Bo w nic mądrego głowy nie wysilą.

ZŁUDZENIE.

Nam się zdaje że prawdę zdobyliśmy całą,
Gdy ledwo cząstki głupstwa pozbyć się udało.

ISTOTNE BOGACTWO.

Bogactwo ducha, to mi prawdziwy skarb życia!
W wszelkiem innem strapienia więcej niż użycia.

HISTORJA.

Sam Bóg w sumieniu człeka na wskroś czyta;
***Historja* sumienie stronnictw tylko chwyta.**

PIEKŁO.

Z sprawiedliwością Bożą nie zgadza się piekło,
Rzekli mędrki — i piekło na ziemię uciekło.
Dziś Boga ubieramy w łaskawsze przymioty;
Coraz też brniemy w liczniejsze niecnoty.

METAMORFOZA.

W starym zakonie był Bóg absolutny,
Karzący wiecznie, mściwy i okrutny;
Konstytucyjnych pełen dziś mięszanin —
Niebawem przyjdzie Bóg-Republikanin.

HEREZYA.

Prawdziwa wiara maluczkich przyciąga.
Herezya do wozu możnych się zaprząga.

BŁĘDY KOŚCIOŁA.

Kto nie chce, błędy wytyka w kościele;
Czemu? bo się sam błędów opił wiele.

ŁATWY POWRÓT.

Z wszystkich punktów na kole w środek mierzy droga.
I z najbłędniejszych zboczeń powrót jest do Boga.

BEZŻEŃSTWO KSIĘŻY.

— Niechby się nasze żeniły kapłany;
Z bezżeństwa idzie żywot oderwany;
Kapłan zły obywatel. — Myśl fałszywa:
Czyż żona, dzieci, bardziej nie odrywa?

PRZESĄDY.

Odrzuciłeś przesądy, tradycye odwieczne;
A natomiast wprowadzasz własne, niedorzeczne.

Źle ten czyni, kto wiarą swych ojców pomiata;
Gorzej, kto nią nicości polityczne łata.

OGROM GŁUPSTWA.

Gdy spojrzysz w głupstwa bezdenne czeluści,
Niezłomna wola nie raz cię opuści;

Bo chociaż wniosłeś światło w głąb ciemnicy,
Przez grube mroki nie dojrzeć tej świecy.

NOWA ERA.

Starego świata godzina wybiła
Ostatnia — gruzy pokrywa mogiła,
Ale się ukwieconą barwą nie zieleni.
Miłość i wiara jeszcze bez promieni.

ZDRAJCY.

Kto dzisiaj wolność zdradził? oto jej kapłany;
Dzwonią sławnie, lecz przy mszy istne zakrystyany.

STARE ZŁE.

Ładu świat woła, a nieład się szerzy,
Jak przy budowie babilońskiej wieży,
Bo ster sumieni wypadł z ręku wiary:
Namiejętności władną, i świat jak był, stary.

FORMY.

Gdy się wszystko rozrasta w całkiem nowe życie —
Za cóż o starych formach rządów mi prawicie?

Różne są formy: ta najlepsza bywa,
Co najprościejsza, a żywa, a żywa.

Życie, to strumien: przelej go w naczynie,
Wodę mieć będziesz martwą — nie popłynie.

ZŁY RZĄD.

Złe rządy porównałbym z owemi trupami,
Których własne zepsucie trzyma nad falami.

ZBROJNY POKÓJ.

W zbrojnym pokoju zostać chcieliby książęta.
Mniej straszna wypuszczona strzała, niż napięta.

BIEG WYPADKÓW.

Wypadki się ścigają i my je ścigamy.
Na tak olbrzymie płótna gdzież są ramy?

KOMUNIŚCI.

Wspólności chcecie w imię cielesnej wygody?
Między biedaki, zgoda! Możnym nic do zgody.
Więc wydrzem! i wam wydrą ci, co w większej biedzie.
Darmo! wóz o trzech kołach daleko nie jedzie;
Czwartego trzeba, co się miłością nazywa,
Głębie dolin wypełnia, a góry zrównywa!

SOCJALIŚCI.

— Nie uznajem prócz naszej powagi rozumu.
Jakby-to społeczeństwo składało się z tłumu,
A nie w moc myśli Bożej było społeczeństwem.
Za cóż codzień wyjeżdzać z nowem sprzeciwieństwem,
I to, co Pan Bóg związał, w niwecz rozwiązywać,
By fuszerską robotą po swojemu zszywać?

PSEUDO-DEMOKRATA.

Żeś tam pryncypiów chlipnął na bruku paryskim,
Myślisz, żeś lud nasz odgadł z gruntu i ze wszystkiem.
Aleś ty starą łatę nową pokrył łatą
I jesteś liberalnym dlań arystokratą.

NOWE DWORACTWO.

W imię ludu je, pije, chodzi i oddycha,
I płaszczy się i schlebia. Dworak? co u licha!
Jam myślał że dworactwo z dworami przepadło;
Nie! z przedpokojów wyszło, na rynku zasiadło.

PROPAGANDA.

Do ludu trafiać ciężko wam, acz chcecie,
Bo lud prostaczek, malaczki jak dziecię;
A wyście mądrzy postępy cudzemi —
Stańcież się dziećmi choć raz własnej ziemi.
Kiedy Kaniowski żydy, baby strzelał,
Wierzcie mi, mniejszy przedział go rozdzielał,
Niż was od ludu. O nim lud ma pieśni,
Was nigdy nie znał, o was ani nie śni.

UBIÓR.

Sajeta cię nie kryje, lecz żupan, sukmana;
Snadź że i w twej duszy zaszła wielka zmiana.

Ej! byle nie z chwilowej jakiej maskarady.
Strzeż się dzieło odrodzeń zaczynać od zdrady.

NARODOWOŚĆ.

Lada pszczółka, a hardo stawi się w potrzebie;
Bo ma czucie swej rzeszy, a za nic ma siebie.

NASZA FILOZOFIA.

— Nie mamy filozofii, w ślepą babkę gramy!
Za to katedrę z ruin, mogił i krwi mamy.
W tej szkole wielkich nieszczęść: gdzie sam Bóg naucza,
Snadniej by do mądrości skarbów dobrać klucza.

CIĘŻKIE OFIARY.

Dobrze to wilki sycić, i kozę mieć całą;
Ale gdy wilki mamy, a kozy nie stało,
Cóż rzucimy na pastwę? Historya o smoku.
Już królewską dziewicę dajemy w tym roku. —

KROK STANOWCZY.

Kiedy trzeba, ostatek na kartę masz stawić:
Śmiercią dzieje zakończyć, lub się zbawić.

Nie targuj się dla sprawy o żadne ofiary,
Wszak ty Bogu oddajesz tylko Boże dary.

ŚRODECZKI.

Ludzie małego serca środeczki doradzą;
Męże z ducha na Bożej prawdzie się osadzą.

SIŁA.

Tyle już Pan Bóg zrobił, zrobi jeszcze tyle. —
A ty czełku narzekać śmiałbyś, żeś nie w sile?
Różne są siły, i różnie je liczem:
Widziałem wielkie siły zbite niczem.

BOHATERY.

Darmo splatamy wieńce wawrzynowe,
Kiedy bohater w końcu nas okłamie.

Łatwiej o wieńce, niżeli o głowę,
Łatwiej o bułat, niż o chrobre ramię.

ZMIANA DYNASTYI.

Tytanów Bogi, Bogów ludkowie wyparli —
Niegdyś Grek śpiewał. Gdyby za naszej żył chwili,
Byłby dodał: a ludków wypędzili karli,
Wet za wet, jak ludkowie bogom uczynili.

NASI REFORMATOROWIE.

W łoże Prokrusta wciskasz, choć co wleźć nie może.
Ten u mnie reformator, kto rozszerzy łoże.

ŚMIAŁOŚĆ I ROZSĄDEK.

Śmiałość z rozsądkiem piękny owoc rodzi;
Lecz o zgubę przyprawia, gdy samopas chodzi.

SZKOŁA ŻYCIA.

Nie jednej rzeczy pojąć nie umiem —
Żyjmy dłużej, a zrozumiem.

Gdzie się obrócisz, najczęściej się zdarzy
Z dobrem zmięszane, słyszeć głupie baje.
Bo młódź powtarza, co mówili starzy,
I to, za swoje przedaje.

PYCHA I GŁUPOTA.

Patrz! jak czwałują przez jary i błota.
Któż oni jeźdce? to z Pychą Głupota.
Szczęśliwej drogi! nikt was nie wyprzedzi:
Z tyłu za wami Wstyd ze Szkodą siedzi.

MOWA I MILCZENIE.

Acz pożyteczną jest mowa,
Pohamuj ust twych ochotę.
Srebrnemi mogą być słowa,
Milczenie jest szczerozłote.

Puszczasz się na niezwykły i styl i wyrazy:
Czemu? bo i pomysł zwyczajny i obrazy.

KRZYKACZE.

Krzyczysz, występnych pod pręgierz byś stawił. —
Samżeś od wczoraj na włos się poprawił?

SAMOPOZNANIE.

Wtenczas siebie poznajesz, skoro więcej w sobie
Odkrywasz ułomności, niż w innej osobie.

DE MORTUIS.

Jedno imię zostaje — reszta na zgniliznę!
Zostawże umarłemu tę jedną spuściznę.
Szczera skrucha, pokuta, gniew Boży przebłaga;
Człek tylko winowajcę i za grobem smaga.

HART WOLI.

Ogrom składa się z cząstek; myśl topisz w ogromie;
Cóż potem? gdy twa wola i słomki nie złomie.
Łamiąc się z drobnostkami zahartujesz wolę;
Z taką zbroją wyciągnąć łatwiej w wielkie pole.

Kto tylko raz się przełamie,
Ten się zwycięży raz drugi;
I zaraz ma wolne ramię,
I żądze ma na usługi.

KTO MĘDRZEC?

Któż mędrzec? jeźli nie ten, co pychy się zrzeka,
I uczy się choćby też od prostego człeka?

MOCARZ.

Kto mocarz? jeźli nie ten, co sam się zwycięża;
A nie ten, co gród bierze przemocą oręża.

BOGACZ.

Kto bogacz? jeźli nie ten, kogo żywi praca;
Kto ku swemu zbawieniu, co Bóg dał, obraca.

POSTĘP.

Postępem nie nazywaj swych poszóstnych cugów,
Pysznych karet, lokai w galonach i długów.

Lepiej z Chrystusem doczesnych dóbr nie mieć,
Ale na duchu, na cnotach zolbrzymieć.

WŁADZA.

Nie mamy naszej władzy, utwórzmy moralną.
A jednak czcimy jednę władzę materyalną!
Wszelka inna do buntu wyzywa rozumy.
Najmilsze panowanie własnej naszej dumy.

— Niech dobosz będzie wodzem! jestem mu posłuszny,
Byle Ojczyznę wskrzesił! — tak mówi napuszny
Młokos — a z wszelką władzą zostaje w rokoszu.
Wprzód się naucz krok stawiać po lada doboszu.

O Przeklęci! przeklęci! Bogu liczbę zdacie;
Żeście nas z wszelką władzą trzymali w rozbracie.

Rozdwój i panuj — sekret władzy to czartowskiej.
Pogódź i prowadź — prawda władzy z łaski Boskiej.

DOŚWIADCZENIE.

Młodzian na schwał się rzuca w doświadczenia ciernie,
Choć w tych, co je przebyli, żywe ma przykłady.
Historya nic nie uczy, acz maluje wiernie —
Zawsze drogę ludzkości krwawe znaczą ślady.

GENIUSZ.

Snadno złe w nic obrócić, lecz pracy geniusza
Nie zetrze żadna siła ludzka, ni katusza.
A gdy myślisz żeś geniusz okiełznał, toś chybił;
Tyś trupa, z którego duch uszedł, tylko przybił.

Wielka myśl, lecz w zasłonie, w każdej piersi drzymie:
Geniusz zbudzi ją tylko, i zasłonę zdejmie.

DOKĄD IDZIEM?

Trudno byś dał odpowiedź mojemu pytaniu:
Czy dziś ludzkość w porodzie, czy też na skonaniu?
Bo i jedno i drugie postrzegam symptoma:
Znowuż, jak niegdyś hordy ryknął: Roma! Roma!

NICOŚĆ.

W nicości wieść żywot grzechem.
Czemuż nie walczym z nicością?
Bo stoim między pośpiechem,
A między opieszałością.

Stoicie wahająco, ruszcie się z kałuży;
Dość z niej wybrnąć, a mniejsza już o cel podróży.

SĄD TŁUMU.

Tłum tylko zdolny by sypać oklaski;
Lecz sądzić? sądu nie wydadzą wrzaski.

Kuglarz nie lada, kto na sąd brukowy
Zda się — klaskaczy ma hufiec gotowy,
I areopag, najczęściej się zdarza
Do Kapitolu zanosi kuglarza.

Gdzie Sofokl w wieńcach chadzał, tam rząd nie był z gminu,
Lecz tam, gdzie skroń partaczy zdobi liść wawrzynu.
Dwie siostry: gmin z tyranją, zwykle w parze chadza;
W wolności gmin przepalon, na lud się przeradza.

GŁOS TŁUMU.

Któż by tłumowi chciał się opierać?
Ja mu oporu nie stawię.
Tłum będzie krzyczeć, żżymać się, spierać,
Ale ucichnie po wrzawie.
Lepiej oświecić, niż go zbyć pogardą.
Trudno mój bracie, gdy ma czaszkę twardą!

WSPÓŁCZUCIE PUBLICZNE.

Jeźli cię w utrapieniu pociecha odstąpi,
Cicha łza w samotności pociechy nie skąpi.
Niechże cię spotka jaki gwałt uliczny,
Zaraz się ujmie za tobą tłum liczny.
Na innej krzywdzie tłum nie zna się prosty;
Zna co krzywdy cielesne: mordy, turmy, chłosty.

ROZUM ZBIOROWY.

Nie wiem co znaczy rozum narodowy
Jeśli go nie ma w mózgu jednej głowy.
Ni trochę w rozum nie wierzę zbiorowy.

JEDNOŚĆ.

Potrzeba spójni duchów; bo i sejmy walne,
Mowy wzniosłe, celebry też pontyfikalne
Na niewiele się zdadzą: pycha swoje rogi
Wciąż wystawia, i wiecznie tryumf mają wrogi.

PARTACZE.

O, tylko chwal partaczy w każdej sposobności;
Umieszczą cię, gdzie przyjdziesz w rzędzie pierwszych gości.

SĄD NIEWIEŚCI.

Czuciem dobre lub piękne odgadnie niewiasta —
Niech się puści w dowody, stul uszy i basta.

CIASNY ZAWÓD.

Nie skarż się w swym zawodzie na związane ręce. —
Za czyn stanie głos pełnej duszy, choć w piosence.

CENZOR.

Maż i wycinaj w cenzorskim zapędzie,
Aby myśl ludzka nie przeszła twej miary:
Zastanów zegar — a nocy nie będzie.
Darmo! czas bieży, choć stoją zegary.

PTASZKI.

— Kupuj Pan, kupuj te ptaszki wraz z klatką! —
Leśni poeci śpiewają jak rzadko! —
Jam kupił, puścił: lećcie w Imię Boże!
Kto śpiewa w lesie, w więzieniu nie może.

NATCHNIENIE.

Jak wietrzyk, co listkami po gałązkach dzwoni,
Co po wodnem zwierciadle biały żagiel goni,
Nie jest własnością drzewa, ni żeglownej łodzi;
Bo ten, co mu wiać każe, ten i wiać przeszkodzi.

Tak natchnienie, co w niebo myśli twoje wzbija,
Bóg daje — bo natchnienie to własność niczyja.

Rozumkowanie poezyę zabija,
Chociaż poezya rozumowi sprzyja.

ASTRONOM.

Wiem żem proch, proch śmiertelny; lecz gdy wzrok utopię
W gwiazdy, i bieg ich ścigam po bezbrzeżnym stropie,
Zda mi się że nogami ziemi nie dotykam,
Tylko u stołu Zeusa ambrozyę połykam.

POMNIKI KRAKOWSKIE.

Cudneż groby, świątynie, w tym naszym Krakowie!
Póki tacy w kamieniu rzeźbili Stwoszowie;
Lecz wstręt bierze na one dolepki późniejsze.
Co czysta wiara tworzy, wszystko najpiękniejsze.

TWORY POEZYI.

Gdzież nad Zorynę, Maryę i Marylę
Świetniejsze gwiazdy na naszym błękicie!
Poeci! czemuż tak mało tworzycie?
Chociaż was tyle.

KAWKI NA KOŚCIELE.

Na Maryackim kościele, czy latem, czy w zimie,
Stado kawek się czerni. Jest wieść, że na Rzymie
Tej karczmie, gdzie Twardowski miał djabłu wpaść w szpony,
Cały dach zaczerniły i kawki i wrony.
Cóż wnosić? Że z Krakowem źle, jak z kuternogą;
Djabli chcą go brać gwałtem, ale wziąść nie mogą.

DOWCIP POLSKI.

Lekki Francuz słóweczkiem dwuznacznem cię szczypnie.
Polak myślą dwuznaczną uderza dowcipnie.

PRAWDZIWA POEZYA.

To u mnie nie poezya, jeźli się gdzie spotka
W pozlepianej osnowie myśl dobra, lub zwrotka.

Piewcę prawego w lada pół-słówku dojrzycie:
Jędrny, jakby myśl swoją wykował w granicie.

PROWINCYONALIZM.

Prowincyonalizm jakby w febrze zimnej
Ciało schorzałe rozbiera do kości.
Nikogo nie stać na wspaniałe hymny,
Za to stek plotek i prywatnych złości —
To się zwie: pisać w miejscowym kolorze;
Czytać ich w miejscu; za miejscem — broń Boże!

OBFITY PISARZ.

Gdyby w drobnych utworach ducha nie rozdrobił,
Wzniósłby chwały monument i do gwiazd się dobił.
Gdyby się nie wysilił grunt na żółte kwiatki,
Byłby jaki aloes wystrzelił zeń rzadki.
To fałsz! rzekniesz — więc pierwsza myśl także fałszywa:
Nigdy kryształ, lecz kropla zawsze się rozpływa.

ORYGINALNOŚĆ.

Ktoś rzekł: do żadnej szkoły nie należę,
Nie naśladuję, i w mistrzów nie wierzę.
Cóż mię nauczą Greki lub Rzymianie?
Znajomość z nimi — to naśladowanie.
— Zgadłem twej myśli wysoki kierunek:
Chcesz głupcem zostać na własny rachunek.

STAROŻYTNI I NOWOŻYTNI.

Do starożytnych trzeba komentarza,
Objaśnień, glossów, notat, odsyłaczy.
Z nowożytnymi toć gorzej się zdarza,
Że się i autor sam nie wytłumaczy.

RUTENIZM.

Cztery wieki mieliśmy wspólną dziejów kartę;
A dzisiaj, kiedy ciało ojczyzny w proch starte,
Garstka prochu złym wichrem w tumany wybucha,
I zaczyna historyę narodu — bez ducha.

Gramatyka fundament państwa co się stwarza;
Reszta wyrośnie z popa, albo z pałamarza.

NOWY TYTAN.

— Cóż to za straszna odwaga
W tytaniem piórze!
Stare sławy do krwi smaga,
Wlecze przez błotne kałuże.
Jeżeli to nie jest blaga,
Ja mu wielką przyszłość wróżę. —

— Nie znasz pyszałka; próżnobyś się łudził
Jego tytaństwem, choć się do Tytanów
Sam rad przyznaje: on się tylko znudził
Własną nicością i szuka kompanów.

METAFIZYK.

Chcesz w nieskończoność wkroczyć myślicielu —
Wprzódy w skończonych rzeczach szukaj celu.
Chcesz się nasycić w całości ogromie —
Wprzódy tę całość odgaduj w atomie.

W zaciekach swoich musisz o szkopuł uderzyć —
Jakiż cel filozofii? że potrzeba wierzyć.

GRÓB SOFOKLA.

(Z ANTOLOGII.)

Na mogiłę Sofokla pnij się bluszczu cichy,
Miękko ją wyściel murawo zielona;
Róże, trzęście nań rosę wonnemi kielichy,
Szczepy winne, składajcie na niej grona!
Bo to mistrz, co urokiem oblał myśli szczyty:
Jemu sprzyjały Muzy i Charyty.

PLATON.

(Z ANTOLOGII.)

Najwymowniejszy z Aten mownych! czyjeż słowo
U mędrców Panhelleńskich brzmiało jako owo,

[1] Francuzkie La blague.

Jako twoje Platonie? Jednem okiem w Bogu,
Drugiem w życiu, na ziemskim zawieszony progu;
Masz szczytność Pitagora, ironię Sokrata —
Jeszcze się w tę harmonię polemika wplata.

SERAPIS.

(Z ANTOLOGII.)

Jakiś zbój spał pod murem co ledwo się trzyma,
Gdy śpiącemu Serapis stanie przed oczyma
I ozwie się z przestrogą: uciekaj nieboże
Co tchu ztąd, bezpieczniejsze wynajdź sobie łoże!
Więc się zrywa, i ledwo z miejsca się oddalił,
Aż i mur — cud to sławny! na pował się zwalił.
Rad niezmiernie, obiatę stawia jeszcze do dnia,
Pewny, że ono Bóztwo przyjazne dla zbrodnia.
Lecz w nocy znów Serapis w śnie mu się objawił.
— Co myślisz — rzekł — hultaju! żem ja zbójcę zbawił?
W błędzieś, jam śmierć oddalił słodką, niespodzianą,
Aby cię w wielkich mękach na krzyżu wieszano.

RZYM.

(Z ANTOLOGII.)

Co tchu Zeusie zatrzaskuj na Olympskim dworze
Wrota spiżowe, obstaw gród czujnemi warty,
Bo już pod berłem Romy uległ ląd i morze,
Tylko jeden do nieba gościniec otwarty.

WIESZCZ.

Wieszcz nie echo swych czasów, ani też zwierciadło;
Jemu w dziale podwójne dziedzictwo przypadło:
Z tajników wyspowiadać duszę narodową,
Odgadnąć myśl wszechmocną, przyszłości dać słowo.

JAN KOCHANOWSKI.

O Janie! jako mistrza sztuki jać nie cenię,
Tyś wyższy nad nią; z nieba brałeś wprost natchnienie
Ojca, obywatela, męża żywej wiary.
O! niewielu zatknęło takie trzy sztandary.

ANTONI MALCZEWSKI.

Być niepojętym, nie mieć za życia rozgłosu —
W poecie jest to może najwyższy szczyt losu.
Autorowi Maryi — napis, i dość na tem;
Gdy Polska, jak jest cała potrząsła go kwiatem.

BOGDAN ZALESKI.

Dziecię z kolebki Rusałki wykradły,
Poiły rosą, na obłoczkach kładły,
I kołysały śród dumek i szumek —
Ale pieszczoszek niebity w rozumek,
Zrobił krzyż święty — pierzchnęły złe mary —
I chrześcianin zanucił hymn wiary.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

W zgliszczach Kaniowa struna odgrzebana,
Na ukrainnej lirze nawiązana,
Sypała pieśni jak skry, za pieśniami.
Czemuś ją zerwał od ziemi, i czemu
Chcesz strunę zanieść światu zaziemskiemu?
Dopókiś ciałem — o śpiewajże z nami!

JULIUSZ SŁOWACKI.

Za ciasno twojej piersi było w naszym gwarze —
Z razu stepy dnieprowe i puszcze w Saharze
Leczyły swym oddechem pierś wieszcza zbolałą;
Potem gdy już i stepów bezbrzeżnych za mało,
Światłe kolumny duchów sprosiłeś i cienie —
I oneć na bezdenne uniosły przestrzenie. —

SZPETNY MĄŻ.

(Z ARABSKIEGO.)

Pewnego razu beduinkę cudną
Widziałem z szpetnym małżonkiem złączoną:
Więc ją zapytam, azal jej nie trudno
Tak ułomnego brzydala być żoną?
A ona: pięknym jest on, nie dla ziemi,
Lecz Bogu piękny duszą nieskażoną —
A ja nań patrzę oczyma bożemi.

BRODA.

Broda najdowcipniejszy wynalazek mody! —
Blichtr i czczość tegoczesną pokrywają brody.
Niby to senatorska powaga oblicza!
Ogól — a wymokłego odkryjesz panicza.

DO ZNAWCY.

Zkąd wziąłem to, lub owo? — pytasz znawco biegły. —
Gdy sklepienie związane, nie pytaj zkąd cegły.

ŁATWY I TRUDNY ŻYWOT.

Nieraz myślę: com pragnął, tego już dopiąłem!
Aż tu naraz przeciwnem obróci się kołem.

Rozdrób swój żywot — zleci ptasim lotem;
Skup go, a trudniej pcha się z czoła potem.

BAJKI.

BEDUIN I WĄŻ.

Beduin zbrojny kopją, jechał sobie piaskiem.
Noc była — w tem na stepie mignęło coś blaskiem —
Więc pocisnąwszy konia dotarł w oka mgnieniu,
I ujrzał, jak wąż srogi zwijał się w płomieniu;
Chciałby wyleźć, nie może, bo zewsząd go piecze.
— Ratuj mię Beduinie! dam co chcesz — wąż rzecze.
Na to Arab: złośnika ratować się boję;
Nuż ukąsisz?
— Przenigdy, na sumienie moje!
Wzruszon Arab uzdeczkę zawiesił na dzidzie,
I podał mu przez płomień — wąż do góry idzie
A sunąc się po drzewcu, przypełzał nieznacznie,
I skoczywszy na szyję, jeźdca dusić zacznie.
— Co robisz? krzyknął Arab.
— Duszę.
— Och! i za co?
Taki zwyczaj; tu zawsze za dobre złem płacą.
— Pofolguj! — rzeknie Arab — zwłoka nie zaszkodzi,
Póki się na to zdanie trzech sędziów nie zgodzi.
— Mniejsza oto, gad rzecze, sfolguję na razie —
I jechali pustynią, póki na oazie
Nie ujrzeli wiatrami palmy kołysanej.
— Słuchaj palmo! rzekł Arab — ten gad uwiązany
Na mej szyi, winien mi swoje ocalenie,
A teraz chce mię dusić! I gdzież tu sumienie
Utrzymywać, że dobre zawsze złem się płaci?! —
Palma na to: — ma słuszność, a ty nie masz racyi.

Mój los niech ci dowiedzie; wszak co dzień przez wieki
Pielgrzyma liściem mojem zasłaniam od spieki,
Grzeję w zimno, owocem karmię go obficie,
A jednak on toporem odbiera mi życie! —
Na te słowa wąż silniej pocisnął za szyję.
Jadą dalej, gdzie źródło z pod opoki bije;
Arab rzecz opowiedział — a źródło po chwili
Odmruknęło: — mój człecze! ten wąż się nie myli.
Patrz na mnie: odkąd z głębi wylewam zdrój szklany,
Pragnienie tu przychodzą gasić karawany;
A kiedy się napiją i ludzie i stada,
Wiesz co robią? ot każdy brud swój we mnie składa! —
Dwóch sędziów się zgodziło; wąż z radości bryknął
I tak ścisnął pierścienie, że Arab aż krzyknął.
Lecz jeszcze sędzia trzeci nie wydał wyroku —
W tem spostrzegają lisa: myszkował na boku
I już, już się wynosił, gdy oni: Stój bracie!
Na pół słówka prosimy!
— Z daleka! co macie
Mówcie do mnie; nie głuchym! — rzekł, i stanął w dali,
A oni mu o sprawie swej opowiadali.
Gdy skończyli, frant główką pokiwał wątpliwie
I rzekł: — Oczom nie wierzę, dla tego się dziwię;
Więc ażebym zrozumiał, pokażcie mi przecie
Jak to było? —
A oni: — Rzecz najprostsza w świecie! —
I Arab znów przywiązał uzdę do kopii,
A gad po drzewcu na dół spuścił się ze szyi.
— Łap zdrajcę! krzyknął lisek. I wąż siedział w matni,
Gdzie niewdzięcznik był zduszon. Szkoda! nie ostatni.

1855.

BAJKA KRÓLA JANA.

Mędrzec prostoty dziecięcej,
Wcielony dowcip, wdzięk szczery,
Lafonten, co bawi więcej,
Choć przedstawia świat zwierzęcy,
Niż Rasyna bohatery —
W jednej bajeczce dowodzi
Na złość zdaniu Kartezyusza,
Że się zwierz z rozumem rodzi —
I konceptem czasem rusza
Tak dowcipnym, niespodzianym,
Zwłaszcza kiedy jest ściganym —
Że nawet człowiek — nie mówię półgłówek —
Chcąc z podobnego wybrnąć położenia,
Nie żałowałby złotówek
Za kuropatwi rozum, lub jelenia.
Otóż Lafonten szukając przykładów
Śród czworonogów i ptaków i gadów,
Między innemi co słyszał, powtarza
Z ust północnego mocarza;
A tym był hetman od zwycięztw kochany,
Twierdza Chrześciaństwa, piorun na pogany,
Król nasz, Jan trzeci.
(Królowie nigdy nie kłamią,
A tylko ludzie się mamią,
Kiedy im wierzą jak dzieci)
Otóż Sobieski tak mu opowiadał:
Że na granicach polskiego kraju,
Gdzie berłem władał,
Był rodzaj zwierza, który wciąż napadał
Zwierzęta swego rodzaju,
I zawsze, odkąd pamięć zapamięta,
Wojnę na zabój wiodły te zwierzęta;
Wierne tradycyi wyssanej wraz z mlekiem,
Nienawidzą się gorzej niż człek z człekiem.

Zwierz ten, jak mówią, lisowi pokrewny,
Tak ma być biegły w wojennym fortelu,
A tak w strategii i obrotach pewny,
Że mu w tej sztuce niewielu
Zrówna Jominich, Frydryków —
Nie licząc nowych kilku strategików.
Jakoż czaty i placówki,
Straże przednie, straże tylne,
Zasadzki i samołówki
Szpiegi i ataki mylne
Są mu znane — wie co użyć,
Kiedy napaść, kiedy ztchórzyć —
Zgoła najlepsza w praktyce taktyka:
Jak bronić siebie, gubić przeciwnika. —

Kogo maluje powieść Króla Jana?
Nie można wiedzieć; bo nawet myśliwym,
Pływaczom niepowściągliwym,
Taka zwierzyna nie znana.
Najpewniej sens jej alegoryczny,
Iż lud jaki pograniczny
Przedstawia w walce z sąsiady —?
Bardzo być może,
Lecz się założę,
Że w Polsce drwiono z tej rady,
I miano ją za nic;
Aż w końcu nie stało granic —
Gdy nie ma granic, bajka sens traci.
O! przepraszam panów braci —
Została wiara i mowa:
Święta puścizna Lechowa
Na taką wojnę skazana
Jak zwierzątka Króla Jana.

CHORZY I BOGINI ZDROWIA.

Trzech pacyentów — co się często zdarza,
Przyszło się radzić lekarza;
A że lekarz bardzo wzięty,
Więc nieszczęsne pacyenty
Nie zastawszy zdrowiodawcę,
Usiedli sobie na ławce.
— Witam! witam! — Sługa! — Służka!
— Spotkać bardzo mi przyjemno.
Jakżeż zdrowie? — Ej, źle ze mną!
— Ba i ze mną. — O, i ze mną! —
— Nie opuszczam prawie łóżka. —
I jak to chorzy mają w zwyczaju
O swych defektach baju i baju;
Każdy wylicza chorób symptoma:
Ten tego nie ma, a ten znów to ma,
A stokroć taką chorobę woli,
Jaką ma sąsiad; bo to rzecz znana
Ze cudza rana
Zawsze mniej boli.
W cierpkich przymówkach zazdrość przebija,
Nawet biedaków kąsa ta żmija,
I doprowadza do zwady
Dobre sąsiady.
Bo fuknął któryś: — I toż choroba,
Kiedy waść jadasz co się podoba,
A choć pod skórą rak tam gdzieś wierci,
Fraszka; z tem można żyć aż do śmierci.
I waść mój bracie
Próżno stękacie.
Cóż że paroksyzm mocny napadnie,
Uderzy o ziem, stłucze szkaradnie,
Przecież nie ciągle, i nie co doba
Trwa ta choroba.

Proszę porównać moje suchoty:
Płuca rwą się, kaszel dusi,
Oblewają zimne poty,
A harować człowiek musi
Bez siły i bez ochoty.
To dopiero stan rozpaczy!
Rak! konwulsye! — cóż to znaczy?!
— Chętnie przyjmę to oboje;
Mieniajmy się, oddam moje —
— I ja moje — — I ja moje. —
Wszczęła sprzeczkę trójka chora;
A że w pokoju doktora,
Godło medycznej nauki,
Stała z marmuru bogini w kącie,
Grecka Hygiea, po naszemu Zdrowie,
Więc biedaczkę przeszło mrowie
Po tym afroncie,
Gdy usłyszała rzecz jej nieznaną
Jak za chorobę, chorobę mieniano!
Jęknęła z żalu i łza jej pociekła
(Czasami płaczą kamienie)
I cicho rzekła:
— Jakież to straszne cierpienie
U tych tam ludzi, co na ławie siedzą,
Kiedy o mojem istnieniu nie wiedzą!
Nawet umarli szczęśliwsi, choć leżą
Snem nieprzespanym w grobach,
Niż tacy żywi, co w Zdrowie nie wierzą,
I przebierają w chorobach! —

GODNOŚĆ W NIEWOLI.

W pewnym dworze zwierzęta,
Konie i woły, osły i cielęta,

Ponieważ o nie nie dbano,
Rżnięto i bito i jeść nie dawano,
Postanowiły z godnością żyć,
To jest: dać się rżnąć i bić;
Ale nie lizać pastuchom łapy,
Ani całować harapy,
Ni ogłaszać rykiem, kwikiem,
Jak miło być niewolnikiem.
— Wszak — mówił konik — niewola mniej gniecie
Gdy jej liberyi nie nosim na grzbiecie. —
Uczciwa rada przypadła do smaku,
I nie było między nimi
Słychać o żadnym dworaku;
Byli biednymi, ale nie podłymi.
Lecz pan dziedzic doszedł spisku:
I rozkazał na pastwisku
Złapać osła na postronek:
Ozłocił mu uszy obie,
Kokardą upstrzył ogonek,
I rzekł: Leib-osłem cię robię!
Osioł bryknął, i wesoły
Wpadł pomiędzy konie, woły:
— Czy widzicie te oznaki?
Pan mię wyniósł nad charłaki —!
I błyskając uchem złotem
Tak pozawracał im głowy,
Że o godności zwierzęcej potem
Nie było mowy.
W miarę jak zmieniał się duch
Nietylko uszy, lecz brzuch,
Każdy sobie złocić dał:
A Pan się śmiał.
I rzekł do rządcy: Waść zapisz
Dobre lekarstwo na upartą cnotę:
Ze kiedy wróbla na plewy nie złapisz,
Próżnego zawsze złapiesz na pozłotę.

MĄDRY KRUCZEK.

Natura po kres pewien da się przeistoczyć:
Sroka gadać, koń może sztajera wyskoczyć;
Osioł liczyć godziny; pchła strzelać z armaty;
Zając nawet zające gonić, jak przed laty
Zdarzyło się w myślistwie sławnem Pana Paska —
Człowiek nietylko zwierza pojmie i ugłaska,
Ale go i wyuczy mnóstwa zgrabnych sztuczek.
O tych ludzkich sposobach zasłyszał gdzieś Kruczek,
Pies z podwórza, ochłapów kuchennych amator,
Urodzony polityk i cywilizator.
Więc mu przyszło do głowy, domowym zwierzętom
Gęsiom, kaczkom, jędykom, kurom i prosiętom
Zakazać przyrodzonych gdakań, piań i kwików.
Słowem, Kruczek wystąpił jako metr języków,
I wykładał tej rzeszy co dzień, od świtania
W teoryi i praktyce zacny kunszt szczekania —
Z razu tępo, lecz z czasem szła nauka gładko,
Zwłaszcza że mistrz i łajał i kąsał nierzadko.
Otóż po latach kilku — niesłychane dziwo!
Wszystek drób, nawet chlewnik, choć nieraz fałszywo,
Jednak psiemi głosami warczał, skomlił, szczekał,
Aż kto żył, słuch zatykał, i z dworu uciekał.
Jeden tylko pan Dziedzic, o którym dość jawnie
Gadano, że majętność tę nabył nieprawnie —
(A wiemy że na takim czapka zawsze gore)
Radował się z szczekania w porę i nie w porę —
I głaszcząc po łbie Kruczka, tak mówić doń raczył:
— Toś mi zuch, żeś co żyło, w zagrodzie mej spsiaczył;
Bo i prawy właściciel do niej się nie przyzna:
Gdy usłyszy szczekanie, rzeknie: psia ojczyzna! —

Szczęściem słowik na drzewie śpiewał co rok w maju
O dźwięku brzmień wrodzonych, starym obyczaju,.

Co rządzi zwierzętami od świata początku —
O długo by snuć można jeszcze z tego wątku!
Ale na co słów wiele, gdy jedno wystarczy:
Gęś niech gęga, kur pieje, a Kruczek niech warczy.

KOTKI I MYSZY.

Była koteczka i kotek
Młoda para, do pustotek,
Igraszek, skoków, jedyna.
Takie stworzeńka chować nie nowina;
Więc się chowały w pańskiej komnacie —
Miały śniadańko, obiad, kolacię,
Wszelką wygodę
I swobodę:
Machać koziołki
Przez stoły, stołki,
Wieczór i zrana
Bawić panią i pana.
Czyż nad wszystkie zwierzęta
Nie najweselsze kocięta? —
I w kochaniu kot najtkliwszy,
Kiedy ślepki przymrużywszy,
Koteczkę myje łapkami,
A ona myje kocura — —
Gołąbki za nic z swemi pieszczotami:
U kotów tkliwsza natura.

Myszy siedząc pod podłogą,
Z podziwienia wyjść nie mogą
Że je teraz nikt nie straszy.
— Kto ma straszyć? jedna rzeknie —
Znam państwa kotów, na kaszy
Bywam u nich; jak tam pięknie!

A jaki grzeczny jegomość!
A jejmość jeszcze grzeczniejsza!
Radzę zawiązać znajomość;
Bo potwarz najnikczemniejsza,
Że to są wrogi odwieczne!
Przecież wrogi nie są grzeczne:
Drapią, gryzą i dławią,
A te karmią i bawią.
Trzeba żyć z nimi, to nam się przyda;
Bronić nas będą, gdy przyjdzie bieda
Na nasze schowki i nory.
Wszak to nie zwykłe koty — to Angory
Z długim włosem na nich skórka,
U łapek nigdzie pazurka.

Ta przemowa w gronie myszek
Dodała myszkom ochoty,
Że wyskoczyły z komyszek
Dzielić kocie pustoty,
I równo z niemi
To po stołach, to po ziemi,
Wyprawiać bale
Jak w karnawale.

Już ta zażyłość trwała czas długi —
Ale że Pani myszy nie lubiła,
Więc raz rzekła do sługi:
Czemuś koty okarmiła?
Tyle myszy w mej sypialni —
Zjadły mydło z gotowalni!
Na rozkaz Pani skończyło się święto:
Kotkom ujęto
Kaszy i mleka —
Kocia natura już mordem dyszy:
Ostrzą pazurki na swych towarzyszy,
I naraz w wirze żwawego walczyka
Padło sto myszy!

Dwa stare szczury
Widziały to z dziury
I rzekły: — dobra nauka!
Niechaj mysz kota nie szuka;
Czy się Angorą, czy Maćkiem zwie,
Zawsze ją zje. —

SATYR I SZTUKA GRECKA.

Pewnego razu zwykły leśny Satyr
Na pół pjany, na pół dziki,
Zatem nie mędrzec, ani też bohater,
Zwiedzał ateńskie portyki.
I bardzo go to zgorszyło,
Gdy ujrzał przybrane ściany
W same mędrce i hetmany,
A satyrów nie było.
— O zuchwalstwo! o sromoto!
Krzyknął satyr gniewem blady —
Precz ztąd łotry, precz hołoto,
Temistokle, Milcyady!
I machając w koło drągiem,
Walił posąg za posągiem —
Gdy narobił rumowiska,
Przypadł ktoś będący z bliska
I zawołał: — O szalony!
Cóżeś zrobił?! —
— Cóżem zrobił? —
Odparł satyr — otom pobił
Grecką sztukę; a pomszczony,
Zwołam wasze Pigmaliony
I ze złota odlać każę
Kozie nogi, małpie twarze.

Bo też zbyt rządziły długo,
Ideał, piękność klasyczna;
Rozpoczyna erę drugą
Satyr i Fryne uliczna. —
Na to, ów rzeknie do leśnego bożka:
— Żebyś miał w głowie oleju troszka,
Wiedziałbyś o tem w ślepocie
Że glinę łatwo rozbić, bo krucha;
Lecz żeby natchnienie brać w błocie,
Trzeba rozbić Grecyi ducha. —

1858.

KRÓL LEW
I DRAPIEŻNE ZWIERZĘTA.

Król Lew w szlachetnym zapale,
Bo zawsze myśli wspaniale,
Wydał rozkaz urzędowy
Takiemi słowy:
— Zważywszy, jak wiele ginie
Zwierząt na moim dworze,
Pozwalam wiernej zwierzynie
Swobodnie mnożyć się w borze.
Raz: że to szkodę przynosi,
Gdy liczba wiernych ubywa;
Po drugie: dzban wodę nosi,
Póki się ucho nie zrywa —
Więc dla przykładu odtąd nie inną
Będziem się żywić strawą, jak roślinną. —
Gdy rozkaz pański to zapowiada,
Między zwierzęty radość nie lada;
Głównie zające, sarny, jelenie,
Co najsmaczniejszą mają pieczenię,
W swem uniesieniu nie znając miary
Zeszły się razem, i pełne wiary

W święte lwie słowo, zaczęły radzić
Jakby to pańskie serce pogładzić,
Wdzięczne uczucia zanieść w podzięce
Za zaręczone życie zwierzęce;
A przytem błagać, aby podrzędne
Łapczywe lisy i wilki błędne
Brzmienie rozkazu ceniły więcej,
I nie dusiły sarn ni zajęcy. —
Już ułożono mowę dziękczynną
Tkliwą, niewinną,
Którą z ich grona wybrana
Miała mieć sarna do Pana.
Kiedy tak radzą, aż tu do koła
Psów, wilków, lisów gromada,
Nachmurzywszy gniewne czoła,
Do nich przypada:
— Co tu robicie? Precz głupie zgraje!
Znów jakieś bunty i spiski?
Lwia mość nie dla was prawa wydaje;
Tu prawem są nasze pyski —
Lew nie usłyszy, co lis nie wysłucha,
A wilk nie włoży do brzucha — —
— Cóż to myślicie, że nam zdychać chce się?
Z lasu ten żyje, kto zamieszka w lesie. —
— Cóżbyśmy jedli, czy szyszki, korzonki?
Niech wam wylecą z głowy takie mrzonki.
Lew lwem, choć rozkaz jego nie do rzeczy
Przeciwny prawu natury;
Nas nie nakarmi, was nie ubezpieczy —
Tu prawem zęby, pazury! —
— Tak jest! wilk krzyknął — zaraz wam dowiodę —
I stante pede zjadł dwie sarny młode.
Król Lew nie miał więc racyi
W obec leśnej biórokracyi. —

KURA NA ŚMIECIU.

— Kochana kuro! zaczem to i po co?
Grzebiesz w śmietniku zamczyska?
Tu w dzień nie znajdzie włożyć co do pyska
A ty coś znaleźć chcesz nocą? —
Tak mówił Brytan spuszczony z obróży.
A kura na to: — praca mię nie nuży;
Ot szukam sobie na los, na trafunek,
Gdyż bardzo stare to śmiecie;
Tu wygrzebała prababka pierścionek
I za to słynie w gazecie. —
— Szukajże sobie, bo ja nie mam czasu:
Idę, by wilka przepędzić do lasu,
Lisa z kurnika, złodziei od brogów —

Przepędź też Brysiu i archeologów!

DRAŻLIWA KWESTYA.

— Nie nie rozumiem myśli Opatrzności,
Na co owady dokuczliwe dała?
Zapewne szatan utworzył je w złości
Aby mógł niemi dręczyć nasze ciała,
Gdy go od duszy odpędza Krzyż święty —
Tak mówił w łóżku od stóp do głów cięty
Gość oberżowy, męczennik dwojaki:
Bo i krew własną dawał i pieniądze.
Na to męczennik jak on drugi taki,
Ozwał się z łóżka: — Ja przeciwnie sądzę:
Nie winuj Stwórcy, ani też szatana,
Lecz oberżystę tyrana,
Co pisze kredką podwójną,

A cierpi czeladź niechlujną.
Owady gubić, lub mnożyć,
Rzecz ta ludziom zostawiona —
Bogu chciało się je stworzyć,
Człek je czystością pokona.
Gdziekolwiek potworność dzika
Bierze przewagę nad nami,
Niedołęztwo się spotyka
Jak w kwestyi tej z owadami.
Podobnie, wierz przyjacielu,
Bywa w innych kwestyach wielu
Tak zwanych kwestyach żywotnych,
Kiedy gnuśnych, nie obrotnych,
Wypiera szwab pracowity,
Albo toczą pasożyty. —

BADACZ NATURY I ŻABY.

Badacz natury, dość ciekawa sztuka,
Bo zawsze czegoś tam szuka,
Idąc spacerem złapał u sadzawki
Dwie żaby, i dla zabawki
Anatomicznej, jedną wziął pod nóż
Rozpłatał w szerz, w dłuż,
Odciął nogi, łeb, zdjął skórę,
Pod szkło mikroskopu kładzie,
I gapiącej się gromadzie
Tłumaczy naturę.
A nagadawszy wiele mądrych rzeczy,
Gdy nikt nieprzeczy,
Skończył prelekcyę — że zaś dobra dusza
Drugi egzemplarz żaby wypuścił — niech rusza!
Żabsko szczęśliwe, bo wolność jej dał;
Do sadzawki sunie w cwał,

I dostawszy się do wody
Zgromadzonej żab czeredzie
Opowiada swe przygody:
— Och sąsiadko! och sąsiedzie!
Na dziwne patrzałam rzeczy;
Słyszałam geniusz człowieczy,
Rozprawiający przez dwie godziny
Nad ciałem mojej kuzyny,
A w ogólności, nad nami.
Kiedy człowiek tak nas waży,
Któż się poważy
Żaby nazywać gadami?
O, my nie gady; my znaczymy wiele
W stworzenia dziele;
Pokora już nie przystoi;
Na żabach świat stoi. —

Dziwić-że się, jeźli lada
Autorek, za prawdę bierze
Co gazeciarz o nim gada
Jakby o Homerze;
A w osobne paragrafy
Mieszczą go historyografy. —
Biedna głowina wciąż roi,
Że na niej świat stoi. —

MENAŻERYA.

W pewnem miasteczku, większem niż Słomniki,
Pokazywano menażeryę w budzie;
Z ciekawością biegli ludzie
Widzieć lwy, małpy, niedźwiedzie i żbiki,
Psy morskie, koty, cielęta,
Papugi w różnym kolorze,

I inne jeszcze zwierzęta —
Któż je tam zpamiętać może?
Bardzo ten widok bawił z początku,
Kiedy właściciel karmił je, lub droczył —
Lecz do małpeczki jednej, w samym kątku
Każdy się tłoczył;
Tak była śmieszna, i tak do człowieka
Podobna twarzą i ruchem,
Że i filozof, co wszystko docieka,
Nazwał ją upadłym duchem.
Co znowu pochwyciwszy gawiedź na języki,
Utrzymywała: że to człowiek dziki —
Słuchał tych rozpraw figlarz zawołany
(W każdem mieście taki bywa)
I rzekł: — Co znowu? wszak to wykapany
Nasz burmistrz, tylko mu piwa
Postawcie spory antałek
I zapisany szpargałek —
— Ach prawda! Burmistrz! on sam, w miniaturze!
Wtórzyła gawiedź z czystem przekonaniem —
Bo to w gawiedzi naturze
Na oślep lecieć za zdaniem
Lada figlarza, albo też filuta —
Na tem najwięcej mądrość jej osnuta.

Początek dany — a więc na ten sposób
Poodkrywano podobieństwa nowe
Do różnych osób:
Zarośniętą jak lew głowę,
A nogi, jak u żyrafy
Kto ma w mieście? jużcić grafy,
Eleganty żurnalowe.
Ten szakal — to lichwiarz faktor,
Za lwami zwykle się włóczy —
A ten niedźwiedź co tam mruczy,
To niby gazet redaktor. —
Papuga — znana dewota,
Bo gadatliwa i szczypie —

Komendant ma znowu ślepie
Wytrzeszczone jak u kota:
A lis — patron trybunału —
I tak dalej — aż pomału
Każdy w zwierzętach poznawał
Swego wroga, lub sąsiada —
A gdy szukać nie przestawał,
Na własny portret napada —
— A, to zgroza! ten, ów krzyknie —
Z oburzeniem podziw niknie:
I ta, przed chwilą chychocąca tłuszcza
Prawie się gwałtu dopuszcza
Na biednym Włochu, właścicielu budy,
Że takie rozwozi brudy,
Co szczypią honor onych posesyonatów —
— Dać mu sto batów!

Byłaby pewnie przetrzepała Włocha
Ta zgraja płocha,
Gdyby nie starzec sędziwy,
Posłyszawszy wyrok krzywy,
Nie był się wmięszał jako rozjemca,
Pomiędzy widzów i cudzoziemca.
Jakoż wysłuchał strony obojej,
I rzekł po chwili:
— Widzowie mili!
Usłuchajcie rady mojej
I pójdźcie sobie jakoście przyszli;
Ten Włoch nic złego nie miał na myśli:
Ze zwierzętami
Jeździ po świecie —
Czemuż się sami
W nich poznajecie? —

Mógłbym podobnej użyć odpowiedzi,
Do tej gawiedzi,
Co w tych bajeczkach znachodzi przycinki
Bądź do drugich, bądź do siebie. —

Ja tylko chłoszczę podłe uczynki,
Godność obudzam w potrzebie.
Strzelając na wiatr w nikogo nie mierzę —
Kto zaś do siebie to bierze,
Jeżeli nie jest junakiem,
Niech się tej rady uczepi:
Że mu lepiej siedzić makiem,
A poprawić się najlepiej. —

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.